

Legendarny bestseller, który zmienił
nasze spojrzenie na przeszłość ludzkości

.. ERICH VON
DÄNIKEN
**WSPOMNIENIA
Z PRZYSZŁOŚCI**

**.. ERICH VON
DÄNIKEN
WSPOMNIENIA
Z PRZYSZŁOŚCI**

Przekład
ROMAN KAZIOR



Redakcja stylistyczna
Barbara Nowak

Korekta
Barbara Cywińska
Hanna Lachowska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Ilustracje na okładce
© Xavier Fargas/Shutterstock

Wszystkie zdjęcia w środku, jeśli nie podano innego źródła,
pochodzą z archiwum fotograficznego Ericha von Dänikena.

Tytuł oryginału
Erinnerungen an die Zukunft

Copyright © Erich von Däniken
All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2018 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6624-4

Warszawa 2018. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Przedmowa

Wspomnienia z przyszłości – czy coś takiego istnieje? Wspomnienia o czymś, co przyjdzie znowu? Czy w przyrodzie istnieje wieczny obieg rzeczy, wieczne zlewianie się czasów?

Czy liszka przeczuwa, że na wiosnę zbudzi się jako motyl? Czy cząsteczka gazu jakimś sposobem czuje prawo, zgodnie z którym wcześniej czy później znów zniknie w Słońcu? Czy umysł ludzki wie o swoim powiązaniu z wszystkimi zakamarkami wieczności?

Człowiek dzisiejszy różni się od człowieka dnia wczorajszego lub przedwczorajszego. Człowiek staje się ciągle na nowo i zmienia się nieustannie w tym nieskończonym ciągu, który nazywamy CZASEM. Człowiek będzie musiał zrozumieć i opanować czas! Czas jest bowiem nasieniem uniwersum. I nie ma końca czas, w którym łączą się wszystkie czasy.

Istnieją wspomnienia z przyszłości. To, czego dzisiaj jeszcze nie wiemy, skrywa przed nami Wszechświat. Być może dzisiaj, jutro lub kiedyś w przyszłości niektóre tajemnice zostaną wyjaśnione. Wszechświat nie zna czasu ani jego pojęcia.

Ta książka nie powstałaby bez zachęty i pomocy wielu ludzi. Mojej żonie, która w ostatnich latach rzadko widywała mnie w domu, dziękuję za wyrozumiałość. Dziękuję mojemu przyjacielowi Hansowi Neunerowi, który towarzyszył mi przez 100 000 kilometrów w moich podróżach i służył zawsze cenną pomocą. Dziękuję doktorowi Stehlinowi i Louisowi Emrichowi za to, że tak długo dodawali mi otuchy. Dziękuję wszystkim pracownikom NASA w Houston, na Przylądku Kennedy'ego i w Huntsville, którzy oprowadzali mnie po swoich wspaniałych naukowo-technicznych ośrodkach badawczych. Dziękuję profesorowi doktorowi Wernherowi von Braunowi, doktorowi Willy'emu Leyowi i panu Bertowi Slattery'emu. Dziękuję wreszcie wszystkim niezliczonym mężczyznom i kobietom na całym świecie, którzy przez rozmowy, sugestie i bezpośrednią pomoc umożliwili powstanie tej książki.

Erich von Däniken

Wprowadzenie

Napisanie tej książki wymagało odwagi, jej przeczytanie wymaga odwagi nie mniejszej.

Uczni wezmą ją na indeks dzieł, o których lepiej nie mówić, bo jej tezy i dowody nie pasują do mozolnie zlepionej mozaiki skostniałej już wiedzy szkolnej. Laicy z kolei, których nawet we śnie niepokoją wizje przyszłości, schronią się niczym ślimaki do bezpiecznej i znanej im skorupy przed możliwością, więcej – przed prawdopodobieństwem, że odkrywana przeszłość będzie w porównaniu z przyszłością jeszcze bardziej tajemnicza, zuchwała i zagadkowa.

Jedno jest bowiem pewne: w naszej przeszłości, tej sprzed tysięcy milionów lat, coś się nie zgadza! Roi się w niej od nieznanymi bogów, którzy w załogowych statkach kosmicznych składali wizyty naszej dobrej, wiekowej Ziemi. Przeszłość ta pełna była broni tajemnych, superbroni i trudnej do wyobrażenia wiedzy technicznej, której po części do dzisiaj nie jesteśmy w stanie odtworzyć.

W naszej archeologii coś się nie zgadza! Oto znajduje się baterie elektryczne sprzed wielu tysięcy lat. Na artefaktach widać dziwne istoty w nienagannych skafandrach kosmicznych, których pasy zapinane są na klamerki z platyny. Występują piętnastocyfrowe liczby, których nie obliczył przecież żaden komputer. W zamierzchłej przeszłości spotykamy wiele rzeczy, których nie sposób sobie wyobrazić. Skąd jednak ci prapraludzie zdobyli umiejętność tworzenia tak niewyobrażalnych rzeczy?

Z naszymi religiami też coś jest nie tak! Wszystkie religie mają tę wspólną cechę, że obiecują ludziom zbawienie i pomoc. Takie obietnice składali również najstarsi bogowie. Dlaczego jednak ich nie dotrzymywali? Dlaczego używali supernowoczesnej broni przeciwko prymitywnym ludziom? I dlaczego planowali ich zagładę?

Powinniśmy przyzwyczać się do myśli, że powstały w ciągu tysięcy lat świat wyobrażeń – załamię się. Nawet niewiele lat dokładnych badań wystarczyło, by zburzyć gmach pojęć, w którym było nam tak przytulnie. Na nowo odkrywana jest wiedza, ukryta przedtem w bibliotekach tajnych stowarzyszeń. Era podróży kosmicznych nie jest już czasem skrywanych tajemnic. Loty kosmiczne w kierunku Słońca i gwiazd pozwalają także na sondowanie otchłani naszej przeszłości. Z ciemnych grobowców podnoszą się bogowie i kapłani, królowie i bohaterowie. Musimy wydrzeć im ich sekrety, bo mamy środki do tego, by odkryć naszą przeszłość gruntownie i – jeśli tylko tego chcemy – bez żadnych luk.

Starożytność trzeba badać w nowoczesnym laboratorium.

Archeolog musi na zgliszczach przeszłości posługiwać się czułymi urządzeniami pomiarowymi.

Szukający prawdy współczesny kapłan musi zacząć od nowa wątpić we wszystko, co zostało ustalone.

Bogowie z zamierzchłej przeszłości pozostawili widoczne ślady, które umiemy odczytać i odszyfrować dopiero dzisiaj, bo przez tysiące lat nie istniał dla ludzi problem podróży kosmicznej, który dla nas stał się tak bliski. Wysuwam bowiem twierdzenie: dawno w starożytności nasi przodkowie doświadczyli odwiedzin z kosmosu! Choć do dzisiaj nie wiemy, kim były te pozaziemskie istoty inteligentne i z jakiej przybyły planety, jestem przekonany, że ci „obcy” zgładzili część żyjącej wówczas populacji i spłodzili nowego człowieka, być może pierwszego *Homo sapiens*.

Twierdzenie to zbija z nóg, bo niszczy podstawy, na których zbudowano tak pozornie doskonały gmach dotychczasowych pojęć. Celem tej książki jest próba dostarczenia dowodów na poparcie tego twierdzenia.

Rozdział 1

Czy kosmos zamieszkują istoty podobne do człowieka?

Czy rozwój bez tlenu jest możliwy?

Czy istnieje życie w śmiertelnościm środowisku?

Czy jest do pomyślenia, żebyśmy my, obywatele świata w XX wieku i w kolejnym, nie byli jedynymi rozumnymi istotami w kosmosie? Do tej pory w żadnym jeszcze muzeum antropologicznym nie ma wśród eksponatów spreparowanego homunkulusa z innej planety, a więc odpowiedź, że „tylko naszą Ziemię zamieszkują istoty ludzkie”, wydaje się przekonywająca i uzasadniona. Jednak las znaków zapytania zagęszcza się, skoro tylko połączymy ze sobą w ciąg przyczynowy wyniki najnowszych znalezisk i badań naukowych.

Astronomowie twierdzą, że w pogodną noc człowiek może zobaczyć gołym okiem na nieboskłonie około 4500 gwiazd. Jednak już zwykła luneta w małym obserwatorium

astronomicznym pozwala ujrzeć prawie 2 000 000 gwiazd, podczas gdy nowoczesny teleskop zwierciadłowy wychwytuje światło miliardów gwiazd... punktów świetlnych Drogi Mlecznej. Na tle ogromu kosmosu nasz system gwiazdny jest zaledwie małą cząstką nieporównanie większego systemu – który można by nazwać wiązką (układem) dróg mlecznych. Obejmuje on około 20 galaktyk w promieniu 1 500 000 lat świetlnych (1 rok świetlny = 9,5 bilionów kilometrów). Z kolei nawet ta wielka liczba gwiazd wcale nie jest duża w porównaniu z wieloma tysiącami galaktyk spiralnych, których istnienie przybliżyły nam teleskopy elektroniczne. Wszystko to odnosi się do dzisiejszego stanu wiedzy, a badania dopiero się rozpoczęły.

Astronom Harlow Shapley zakłada, że w zasięgu naszych teleskopów znajduje się 10^{20} gwiazd. Jest on skłonny uznać, że tylko 1 na 1000 ma swój układ planetarny i jest to z pewnością bardzo ostrożna kalkulacja. Pójdźmy tropem tych szacunków i przypuśćmy, że tylko na 1 z 1000 gwiazd istnieją warunki do powstania życia. Mielibyśmy zatem w wyniku tego rachunku wciąż jeszcze wielką liczbę 10^{14} . Shapley zadaje pytanie: ile gwiazd z tej doprawdy astronomicznej liczby ma atmosferę umożliwiającą procesy życiowe? Może 1 na 1000? Skoro tak, to pozostawałaby jeszcze niewyobrażalna liczba 10^{11} gwiazd z przesłankami do powstania tam życia. Nawet gdybyśmy założyli, że z tej liczby tylko co tysięczna gwiazda istotnie wykształciła życie, to nadal pozostałoby dla naszych spekulacji jeszcze 100 000 000 planet. Przy czym obliczenie to opiera się

na dostępnych dzisiaj możliwościach technicznych, podczas gdy teleskopy cały czas są ulepszone.

Biochemik doktor S. Miller wysuwa hipotezę, że na niektórych z tych planet warunki do powstania życia i ono samo rozwinęły się być może szybciej niż na Ziemi. Idąc tropem naszych śmiałych obliczeń, trzeba by uznać, że na tych 100 000 000 planet mogły się rozwinąć cywilizacje bardziej zaawansowane od naszej. Profesor doktor Willy Ley, znany pisarz naukowy i przyjaciel Wernhera von Brauna, powiedział mi w Nowym Jorku:

„Liczbę gwiazd tylko w naszej Drodze Mlecznej szacuje się na 30 miliardów. Współczesna astronomia przyjmuje założenie, że w Drodze Mlecznej znajduje się co najmniej 18 miliardów układów planetarnych. Gdybyśmy spróbowali sprowadzić wchodzące w grę liczby do najmniejszych wielkości i przyjęli, że odległości między nimi są tak dobrane, że tylko 1 planeta na 100 obiega swe słońce w ekosferze, to i tak pozostaje jeszcze 180 000 000 planet mogących być środowiskiem dla życia organicznego. Przyjmijmy dalej, że tylko 1 planeta na 100 spośród nich rzeczywiście stanowi siedlisko życia, a mielibyśmy jeszcze 1 800 000 planet, na których życie istnieje. Kolejne przypuszczenie zakładałoby, że na 100 życiodajnych planet przypada jedna zamieszкана przez istoty o inteligencji nieustępującej *Homo sapiens*. Jednak nawet to ostatnie założenie pozostawia naszej Drodze Mlecznej potężny zastęp 18 000 zaludnionych planet”.

Ponieważ najnowsze obliczenia mówią o 100 miliardach stałych gwiazd w Drodze Mlecznej, to zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa liczba zamieszkaných planet byłaby zdecydowanie wyższa, niż szacuje to profesor Ley w swym ostrożnym obliczeniu.

Nie angażując w nasze rozważania utopijnych liczb i nie uwzględniając obcych galaktyk, możemy przypuszczać, że względnie blisko Ziemi znajduje się 18 000 planet mających warunki życia podobne do naszych. Możemy pójść dalej w spekulacjach: nawet gdyby z tych 18 000 w rzeczywistości tylko jeden procent był zaludniony, to nadal mamy jeszcze 180 planet.

Nie ulega wątpliwości istnienie planet podobnych do Ziemi – z analogicznym składem atmosfery, podobną grawitacją, światem roślinnym, a nawet zwierzęcym. Powstaje jednak pytanie, czy życiodajne planety koniecznie muszą charakteryzować się właściwościami podobnymi do ziemskich?

Badania naukowe modyfikują opinię, zgodnie z którą życie może się rozwijać tylko w warunkach zbliżonych do tych, jakie panują na Ziemi. Błędny jest pogląd, że bez wody i tlenu nie ma życia. W rzeczywistości nawet na naszej Ziemi są organizmy niepotrzebujące w ogóle tlenu. Są to żyjące bez niego bakterie (beztlenowce), a określona ilość tego gazu stanowi dla nich truciznę. Dlaczego zatem nie miałyby być wyżej rozwiniętych organizmów, które obywatyby się bez tlenu? Pod wpływem coraz to nowszych wyników badań naukowych będziemy musieli zmieniać nasze wyobrażenia i pojęcia o świecie. Nasza

pasja badawcza ograniczająca się do niedawna tylko do Ziemi uczyniła z niej idealną planetę. Nie jest ona zbyt gorąca i nie jest zbyt zimna; wody jest tu pod dostatkiem; tlen występuje w dużych ilościach; procesy organiczne ciągle na nowo regenerują przyrodę.

W rzeczywistości założenie, że tylko na jakiejś podobnej do Ziemi planecie mogłoby się rozwinąć i trwać życie, jest nie do utrzymania. Na Ziemi żyje – według szacunkowych danych – 2 000 000 różnych gatunków istot żywych. Z tego – znowu szacunkowo – 1 200 000 zostało „uchwycone” przez naukę. Okazuje się, że wśród tych naukowo zbadanych organizmów jest kilka tysięcy takich, które zgodnie z utartymi poglądami w ogóle nie powinny były istnieć! Przesłanki niezbędne do pojawienia się życia muszą zatem zostać na nowo przemyślane i zweryfikowane.

Można by na przykład sądzić, że woda o dużym stopniu napromieniowania radioaktywnego powinna być jałowa. Jednak niektóre rodzaje bakterii radzą sobie jakoś ze śmiertelnością wodą, opływającą reaktory atomowe. Doświadczenie doktora Siegela wydaje się cokolwiek niepokojące. Uczony ten stworzył w laboratorium takie warunki życia, jakie występują w atmosferze Jowisza i w środowisku tym, które nie ma niczego wspólnego z wymaganiami, jakie do tej pory kojarzymy z życiem, hodował bakterie i roztocza. Okazało się, że nie zabił ich ani amoniak, ani metan czy wodór. Doświadczenia entomologów Hintona i Bluma z angielskiego uniwersytetu w Bristolu przyniosły nie

mniej zadziwiające wyniki. Obaj uczeni suszyli jeden z gatunków komara przez wiele godzin w temperaturze dochodzącej do 100°C, a następnie natychmiast zanurzyli obiekty doświadczalne w ciekłym helu, który, jak wiadomo, ma temperaturę przestrzeni kosmicznej. Po silnym naświetleniu ponownie zapewnili komarom normalne dla nich warunki życia. I wówczas nastąpiło coś prawie niemożliwego: larwy kontynuowały swoje procesy życiowe i wykluły się z nich całkowicie „zdrowe” komary. Wiemy też o bakteriach żyjących w wulkanach i o innych – pożerających kamień i takich, które wytwarzają żelazo. Las znaków zapytania zagęszcza się.

W wielu ośrodkach naukowych prowadzone są doświadczenia i przybywa dowodów, że zjawisko życia w żadnym wypadku nie jest nierozdzielnie związane z warunkami panującymi na naszej planecie. Z przesłanek do życia i praw przyrodniczych obowiązujących na Ziemi uczyniono w ciągu stuleci coś w rodzaju „pępka świata”. Przeświadczenie takie zniekształciło i zatarło perspektywy, nałożyło badaczom końskie okulary, które kazały im stosować w badaniach kosmosu nasze miary i sposoby myślenia. Teilhard de Chardin, myśliciel na miarę epoki, głosił: „W sprawach kosmosu tylko to, co fantastyczne, ma szansę być realne!”

Odwrócenie naszego sposobu myślenia – równie fantastyczne, jak i realne – polegałoby na zdaniu sobie sprawy, że istoty inteligentne z jakiejś innej planety również przyjmują własne warunki życia za punkt odniesienia. Jeśli żyją one w temperaturach minus 150–200°C, to byłyby skłonne uznać takie

właśnie temperatury, unicestwiającej nasze życie, za warunek jego istnienia na innych planetach. Odpowiadałoby to logice, z jaką próbujemy rozjaśnić mroki naszej przeszłości.

Jesteśmy winni naszemu dziedzicznemu z pokolenia na pokolenie poczuciu własnej godności, aby być ludźmi rozumnymi i obiektywnymi; słowem – zawsze odważnie i pewnie stojącymi obiema nogami na ziemi. Każda śmiała teza wydaje się w swoim czasie utopijna, ale jakże wiele utopii stało się już dawno codzienną rzeczywistością! Rzecz jasna, przytoczone tu w książce przykłady mają całkiem świadomie posłużyć do skrajnych interpretacji. Jednak w momencie, gdy to, co dziś jeszcze jest nieprawdopodobne, stanie się myślowym standardem – upadną wszelkie bariery i dzięki temu poznamy w sposób naturalny te niewiarygodne dzisiaj tajemnice, które skrywa przed nami kosmos. Przyszłe pokolenia spotkają zapewne w przestrzeni kosmicznej wiele nieprzeczuwanych jeszcze obecnie postaci życia. Choć nam nie będzie już dane tego doświadczyć, nasi potomkowie będą się musieli pogodzić z tym, że nie są jedynymi i z pewnością nie najstarszymi istotami rozumnymi w kosmosie.

Wiek Wszechświata szacuje się na 8–12 miliardów lat. Meteority dostarczają śladów związków organicznych dla naszych mikroskopów. Bakterie liczące sobie miliony lat budzą się do nowego życia. Zarodniki, unoszące się w przestrzeni pod wpływem ciśnienia promieni słonecznych i przemierzające kosmos, są wcześniej czy później przechwytywane przez siłę przyciągania planet. Nowe życie od milionów lat bierze

początek w nieskończonym obiegu stworzenia. Liczne wnikliwe badania najróżniejszych warstw skalnych we wszystkich częściach świata dowodzą, że skorupa ziemska uformowała się przed około 4 miliardami lat. A dopiero od 1 000 000 lat istnieje coś takiego, jak człowiek – głosi nauka. Z tego ogromnego strumienia czasu udało się przy dużym nakładzie pracy, po licznych przygodach i dzięki pasji badawczej wyodrębnić strużkę 7000 lat historii człowieka społecznego. Cóż jednak znaczy 7000 lat dziejów ludzkości w porównaniu z miliardami lat przeszłości Wszechświata?

My – zwińczenie stworzenia? – potrzebowaliśmy 400 000 lat, by osiągnąć nasz obecny status i dzisiejszy wygląd. Kto może dostarczać materiału dowodowego w kwestii, dlaczego jakaś inna planeta nie miałaby stworzyć równie korzystnych warunków do rozwoju odmiennych od nas lub podobnych nam istot rozumnych? Dlaczego mielibyśmy nie mieć na innych planetach „konkurencji”, która by nam dorównywała, a może nas przewyższała? Czy wolno nie brać pod uwagę takiej możliwości? Do tej pory tak właśnie czyniliśmy.

Jak często podstawy naszej mądrości rozsypują się w gruzy! Setki pokoleń wierzyły, że Ziemia ma kształt tarczy. Wiele tysięcy lat obowiązywało żelazne prawo: Słońce obraca się wokół Ziemi. Jeszcze dzisiaj jesteśmy przekonani, że nasza planeta jest środkiem Wszechświata – choć zostało dowiedzione, że Ziemia jest całkiem zwykłym, pod względem wielkości nieznacznym ciałem niebieskim, oddalonym o 30 000 lat świetlnych od centrum Drogi Mlecznej.

Nadszedł już czas, abyśmy dzięki odkryciom w nieskończonym i niezbadanym kosmosie uznali własną znikomość. Dopiero wówczas zrozumiemy, że jesteśmy mrówkami w kosmicznym państwie. Nasza szansa znajduje się jednak we Wszechświecie – czyli tam, gdzie nam ją obiecali bogowie.

Dopiero po spojrzeniu w przyszłość będziemy mieli dosyć siły i śmiałości, aby uczciwie i bez uprzedzeń badać naszą przeszłość.

Rozdział 2

Fantastyczna podróż statku kosmicznego we Wszechświecie

„Bogowie” przybywają w odwiedziny Nieprzemijające ślady

Juliusz Verne, protoplasta wszystkich autorów powieści fantastycznych, okazał się nadzwyczaj zdolnym pisarzem. Jego sięganie do gwiazd nie jest już utopią, a w naszych czasach kosmonauci potrzebują na okrążenie Ziemi nie 80 dni, lecz zaledwie 86 minut. Fantastyczna podróż, której okoliczności i etapy opiszemy, będzie możliwa do zrealizowana szybciej niż po upływie czasu, jaki musiał minąć, aby szalona wizja Juliusza Verne’a osiemdziesięciodniowej podróży dookoła Ziemi przybrała postać błyskawicznej osiemdziesięciominutowej wycieczki. Nie zadowalajmy się jednak tak krótkimi odcinkami czasu! Przypuśćmy zatem, że nasz statek kosmiczny za 150 lat

wyruszyłyby z Ziemi w kierunku jakiegoś nieznanego, odległego słońca...

Statek miałby wielkość dzisiejszego parowca oceanicznego – czyli jego masa startowa wynosiłaby 100 000 ton, z czego 99 800 ton przypadałoby na paliwo, a efektywna masa użyteczna byłaby mniejsza niż 200 ton.

Niemożliwe?

Już dzisiaj moglibyśmy na orbicie dowolnej planety zmontować część po części statek kosmiczny. Nawet jednak taki montaż okaże się niedługo zbyt techniczny, bo wielki statek kosmiczny będzie można przygotować na Księżycu. Na pełnych obrotach toczą się prace nad silnikami przyszłości. Przyszłe zespoły napędowe będą przede wszystkim silnikami fotonowymi, wykorzystującymi syntezę jądrową – przemianę wodoru w hel lub też anihilację materii. Ich szybkość osiągnie prędkość światła. Nowa, odważna droga prowadzi w świecie techniki do rakiet fotonowych, a przeprowadzone już doświadczenia fizyczne na pojedynczych cząstkach elementarnych dowodzą, że z powodzeniem można pójść tą drogą. Paliwa rakiet fotonowych umożliwią tak duże przybliżenie szybkości lotu do prędkości światła, że efekt względności, wynikający z teorii Einsteina, a zwłaszcza różnica w upływie czasu między miejscem startu a położeniem statku kosmicznego, ujawni się w pełni. Materiał pędny zamieni się w promieniowanie elektromagnetyczne, emitowane jako wiązka promieni napędowych o prędkości światła. Teoretycznie statek kosmiczny wyposażony w silniki fotonowe będzie mógł osiągnąć

nąć szybkość dochodzącą do 99% prędkości światła. Szybkość taka pozwoliłaby pokonać granice Układu Słonecznego!

Już samo wyobrażenie sobie tego może przyprawić o zawrót głowy. Na progu nowej epoki powinniśmy jednak pamiętać, że równie oszałamiające były wielkie postępy techniki, jakich w swoim czasie doświadczyli nasi dziadkowie: kolej – elektryczność – telegraf – pierwsze auto – pierwszy samolot... Nasze pokolenie z kolei jako pierwsze usłyszało „music in the air” – oglądamy kolorową telewizję – byliśmy świadkami pierwszych startów rakiet kosmicznych i odbieramy informacje oraz zdjęcia z satelitów krążących wokół Ziemi. Nasi wnukowie wezmą z kolei udział w podróżach gwiazdnych i będą prowadzili badania kosmiczne na politechnikach.

Prześledźmy jednak dalej podróż naszego fantastycznego statku kosmicznego, który zmierza do odległej gwiazdy stałej. Z pewnością byłoby zabawne, gdybyśmy mogli wyobrazić sobie, jak załoga statku spędza czas swej podróży. Choćby odległości były nie wiadomo jak wielkie, a czas dla oczekujących w domu włókł się niemiłosiernie powoli, teoria Einsteina zachowuje swą ważność! Może się to wydać trudne do pojęcia, ale czas w statku kosmicznym poruszającym się z szybkością zbliżoną do prędkości światła – biegnie wolniej niż na Ziemi.

Jeśli prędkość statku wynosiłaby 99% prędkości światła, to nasza załoga spędziłaby podczas lotu we Wszechświecie 14,1 roku, podczas gdy dla mieszkańców Ziemi minęłoby całe stulecie. Tę różnicę czasu między kosmonautami a Ziemią

można obliczyć według równania, wywodzącego się ze wzoru Lorentza:

$$\frac{t}{T} = \sqrt{1 - (v/c)^2}$$

(t – czas upływający dla kosmonautów, T – czas upływający na Ziemi, v – prędkość lotu, c – prędkość światła).

Prędkość lotu statku kosmicznego można obliczyć według wyprowadzonego przez profesora Ackereta równania podstawowego dla rakiet:

$$v/w = \frac{1 - (1-t)^{2w/c}}{w/c \cdot [1 + (1-t)^{2w/c}]}$$

(v – prędkość lotu, w – prędkość strumienia wyrzucanego z silnika, c – prędkość światła, t – udział paliwa w ciężarze statku podczas startu).

Gdy statek zbliży się do gwiazdy docelowej, załoga z pewnością wykryje planety, ustali ich położenie, zmierzy temperaturę na podstawie analizy widmowej i obliczy orbity. W końcu wybierze na miejsce lądowania tę planetę, której właściwości są najbardziej zbliżone do ziemskich. Gdyby nasz statek po podróży na odległość przykładowo 80 lat świetlnych składał się już tylko z masy podstawowej, bo cała energia napędowa zostałaaby zużyta, załoga musiałaby na miejscu

uzupełnić zbiorniki pojazdu materiałem rozszczepialnym na drogę powrotną.

Założmy zatem, że wybrana do lądowania planeta byłaby podobna do Ziemi. Powiedzieliśmy już, że takie założenie w żadnym wypadku nie jest niemożliwe. Odważmy się jeszcze i na takie przypuszczenie, że cywilizacja na tej planecie znajduje się mniej więcej w takim punkcie rozwoju, w jakim nasza była przed 8000 lat, co aparaty pomiarowe statku ustaliłyby już na długo przed wylądowaniem. Nasi kosmonauci oczywiście wybrali lądowisko w pobliżu złóż materiałów rozszczepialnych, ponieważ instrumenty wskazują przecież szybko i niezawodnie, w jakim łańcuchu górskim i w jakiej formacji geologicznej można znaleźć uran.

Lądowanie odbyło się zgodnie z planem.

Kosmonauci widzą istoty, które ostrzą kamienne narzędzia; widzą, jak polują z oszczepami na dzikie zwierzęta; widzą stada owiec i kóz pasące się na stepie; dostrzegają prosty sprzęt gospodarski, wytwarzany przez prymitywne garncarstwo. Zaiste, przedziwny to widok dla naszych kosmonautów.

Co jednak myślą sobie prymitywne istoty z planety o tym monstrum, które właśnie wylądowało, i o postaciach, które z niego wysiadły? Przed 8000 lat my także – nie zapominajmy o tym – byliśmy półdzikusami. Byłoby aż nadto zrozumiałe, gdyby półdzicy świadkowie tego wydarzenia padli twarzą na ziemię i nie odważyli się podnieść oczu. Jeszcze tego samego dnia modlili się do Słońca i Księżyca, a teraz wydarzyło się coś niesamowitego: z nieba przybyli bogowie!

Pierwotni mieszkańcy planety obserwują z bezpiecznej kryjówki naszych kosmonautów, noszących na głowie dziwaczne kapelusze z drążkami (hełmy wyposażone w anteny). Dziwią się, że noc jest widna jak dzień (reflektory), ogarnia ich lęk, gdy obce istoty bez trudu wznoszą się w powietrze (paski z raketami), chowają głowy ponownie w trawie, gdy parszcząc, dudniąc i warcząc, wzbijają się w powietrze nieznane, budzące trwogę „zwierzęta” (helikoptery poduszkowce, pojazdy wielozadaniowe) i w końcu salwują się ucieczką do swych bezpiecznych jaskiń, kiedy z gór dobiega przejmujący lękiem huk i grzmot (próbna eksplozja). Niewątpliwie tym prymitywnym istotom nasi kosmonauci muszą wydawać się wszechpotężnymi bogami!

Podczas gdy kosmonauci kontynuują swą ciężką rutynową pracę, po pewnym czasie delegacja kapłanów względnie czarowników podejdzie zapewne do tego astronauty, w którym instynktownie wyczuje wodza, aby nawiązać kontakt z bogami. Przyniosą ze sobą dary, chcąc w ten sposób oddać cześć gościom. Jest całkiem możliwe, że nasi ludzie szybko nauczyli się z pomocą komputera mowy tubylców i potrafią podziękować im za doznane uprzejmości. Jednak nic nie pomoże tłumaczenie, nawet w tubylczej mowie, że to nie bogowie wylądowali, nie żadne wyższe, godne czci istoty składają im wizytę. W to nie uwierzą bowiem nasi prymitywni przyjaciele. Kosmonauci przybyli z innych gwiazd i widać przecież gołym okiem, że posiadają niesłychaną moc i zdolność czynienia cudów. Muszą być zatem bogami! Nie ma też żadnego

sensu, by im coś wyjaśniać. Wszystko to przekracza wyobraźnię straszliwie zaskoczonych niespodziewanym najściem istot.

Niezależnie od tego, co się wydarzy od dnia lądowania, wcześniej opracowany plan mógłby zawierać następujące punkty:

- Część tubylców zostanie zjednana i przyuczona do współpracy w poszukiwaniu w rozsadzonym kraterze materiału rozszczepialnego, niezbędnego do powrotu na Ziemię.

- Najmądrzejszy spośród tubylców wybrany zostanie „królem” i jako widomy znak swej władzy dostanie radiostację, dzięki której może w każdej chwili nawiązać z „bogami” kontakt i porozumieć się z nimi.

- Kosmonauci próbują przyswoić tubylcom najprostsze formy współżycia i parę pojęć moralnych, aby umożliwić przez to rozwój ładu społecznego.

- Naszą grupę tubylczą zaatakują inny „lud”. Z uwagi na to, że nie zebrano jeszcze dostatecznej ilości materiału rozszczepialnego, napastnikom po wielu ostrzeżeniach zostanie udzielona zbrojna odprawa z użyciem nowoczesnych środków bojowych.

- Kosmonauci zapładniają niektóre miejscowe kobiety. W ten sposób może powstać nowa rasa, która przeskoczy pewien szczebel ewolucji.

Z własnego doświadczenia wiemy, jak długo trwa, zanim nowa rasa będzie zdolna do badania Wszechświata. Dlatego też przed powrotem na Ziemię kosmonauci pozostawią widoczne i

wyraźne ślady, które jednak dopiero dużo później będą mogły zostać zrozumiane przez społeczeństwo dzięki rozwojowi techniki i matematyki.

Próba ostrzeżenia naszych podopiecznych przed nadchodzącymi niebezpieczeństwami okaże się daremna. Nawet gdy pokażemy im najokrutniejsze filmy o ziemskich wojnach i eksplozjach atomowych, przykłady te tak samo nie przeszkodzą istotom z tej planety popełniać podobnych głupstw, jak nie odstraszą one (prawie) całej myślącej ludzkości, by ciągle na nowo nie igrała z ogniem wojny.

Kiedy statek ponownie zniknie w kosmicznej mgle, nasi przyjaciele będą rozpamiętywać cud: „bogowie byli u nas”. Utrwalą go w swej prostej mowie, stworzą z niego legendę przekazywaną dzieciom, zaś z prezentów, narzędzi i wszystkich rzeczy pozostawionych przez kosmonautów uczynią święte relikwie.

Gdy nasi przyjaciele opanują sztukę pisania, będą mogli zapisać to, co się im niegdyś przydarzyło, a co było pełne dziwów, niesamowite i cudowne. Będzie można zatem przeczytać – a malowidła przedstawią to plastycznie – że bogowie w złotych szatach przybyli w latającej barce, która opadła z niesamowitym hałasem. Będą pisać o pojazdach, którymi bogowie jeździli nad morzem i lądem, i o straszliwej broni, podobnej do pioruna. Będzie się też mówić, że bogowie obiecali powrócić.

Mieszkańcy wykują i wyskrobią w kamieniu obrazy tego, co niegdyś tu widziano:

- nieforemnych olbrzymów, noszących na głowach hełmy i drążki, a na piersi skrzynki,
- kule, na których siedzą bliżej nieokreślone istoty, przemierzając przestworza,
- laski wyrzucające promienie, niczym słońce,
- podobne do olbrzymich insektów twory, będące czymś w rodzaju pojazdów.

Można puścić wodze nieograniczonej fantazji, jakie to obrazowe przedstawienia staną się pokłosem odwiedzin kosmonautów. W dalszej części książki zobaczymy, jakie ślady wyryli na tablicach dziejów „bogowie”, którzy w epoce prehistorycznej nawiedzili Ziemię.

Rozwój cywilizacji na planecie, którą odwiedził statek kosmiczny, można sobie dosyć łatwo wyobrazić. Tubylcy wiele podpatrzyli i nauczyli się. Miejsce, na którym wylądował statek, zostanie ogłoszone świętą strefą i stanie się celem pielgrzymek, gdzie sławione będą w pieśniach bohaterskie czyny bogów. Wzniesione tu zostaną piramidy i świątynie, rzecz jasna na podstawie zdobytej wiedzy astronomicznej. Liczba ludności wzrasta, dochodzi do wojen niszczących święte miejsca, ale późniejsze pokolenia ponownie je odkrywają, prowadzą prace wykopaliskowe i próbują zinterpretować odkryte znaki.

O tym, co będzie dalej, można przeczytać w naszych książkach historycznych...

Aby zbliżyć się do „prawdy” historycznej, trzeba w gąszczu znaków zapytania przebić dukt, wiodący do naszej przeszłości.

Rozdział 3

Mapy sprzed 11 000 lat?

Prehistoryczne lotniska?

Pasy startowe dla „bogów”?

Najstarsze miasto świata

Kiedy topi się kamień?

Gdy następował potop

Mitologia Sumerów

Kości, które nie pochodzą od małpy

Wszyscy dawni malarze mieli tę samą manierę?

Czy naszych przodków odwiedzili przybysze z Wszechświata?

Czy archeologia opiera się po części na błędnych założeniach?

Czy mamy urojone wyobrażenie o przeszłości?

Czy również inteligencja rozwija się w ramach wiecznego obiegu rzeczy?

Zanim udzieli się „wypróbowanych” odpowiedzi na tego typu pytania, trzeba mieć jasność, na jakiej podstawie opiera się nasza wiedza o przeszłości. Otóż składa się ona z poszlak i hipotez. Wykopaliska, starodawne przekazy pisane, malowidła jaskiniowe, legendy i inne źródła posłużyły do zbudowania pewnego modelu myślowego, a więc hipotezy roboczej. Ta mieszanka faktów ułożyła się w interesującą i budzącą uznanie mozaikę. Powstała ona jednak według z góry przyjętej teorii, do której udało się dopasować poszczególne części składowe – niekiedy z nazbyt widocznym spoiwem wiążącym. W rezultacie otrzymujemy koncepcję, według której musiało być tak, a nie inaczej, dokładnie tak właśnie, jak się przedstawia. Co więcej, fakty można przykrawać do zakładanych hipotez. Wątpliwości odnośnie do każdej teorii są zasadne, a nawet konieczne, bo niekwestionowanie aktualnie obowiązującej wiedzy prowadzi do zaniku badań naukowych. A zatem nasza wiedza o przeszłości jest tylko względną prawdą. Kiedy ujawniają się nowe okoliczności, dawna teoria – choćby była nie wiem jak zadomowiona – musi zostać zastąpiona przez nową. Wydaje się, że nadszedł czas, aby do naszych badań nad przeszłością zastosować nowe metody.

Ten postulat jest uzasadniony pojawieniem się nowych okoliczności. Nie wolno nam już dłużej postrzegać przeszłości na starą modłę. Początki naszej cywilizacji i geneza wielu religii mogły przecież wyglądać zupełnie inaczej, niż do tej pory przyjmowaliśmy.

Poznanie Układu Słonecznego i Wszechświata, zgromadzona wiedza o makro- i mikrokosmosie, niebywale postępy w technice i medycynie, biologii i geologii, zapoczątkowanie podróży w przestrzeni kosmicznej – to wszystko w połączeniu z wieloma innymi jeszcze czynnikami całkowicie zmieniło nasz obraz świata w ostatnim niespełna półwieczu.

Dzisiaj wiemy, że można produkować ubiory dla kosmonautów, które są odporne na skrajnie niskie i wysokie temperatury. Wiemy, że podróże kosmiczne nie są już utopią. Doświadczamy spełnionego cudu kolorowej telewizji, podobnie jak umiemy zmierzyć prędkość światła i obliczyć konsekwencje teorii względności. Wiemy czy przeczuwamy, że w żadnym wypadku nie musimy być jedynymi istotami rozumnymi w kosmosie? Wiemy czy przeczuwamy, że nieznanne istoty inteligentne mogły już przed 10 000 lat dysponować taką wiedzą, jaką my mamy dzisiaj?

Nasz sztywny, poniekąd sielankowy, obraz świata zaczyna się kruszyć. Nowe teorie wymagają nowych metod. I tak na przykład archeologia nie może w przyszłości ograniczać się wyłącznie do wykopalisk, bo nie wystarcza już jedynie zbieranie i porządkowanie znalezisk. Jeśli ma powstać wiarygodny obraz naszej przeszłości, to niezbędny jest do tego wysiłek i współpraca także innych dyscyplin naukowych.

Bez zahamowań i z ciekawością wejdźmy zatem do świata nieprawdopodobieństwa! Spróbujmy sięgnąć po dziedzictwo, które pozostawili nam „bogowie”!

Na początku XVIII wieku w pałacu Topkapi w Stambule znaleziono stare mapy geograficzne należące do admirała Piriego Reisa, oficera tureckiej marynarki. Do Reisa, który miał znaleźć mapy na Wschodzie, należały też znajdujące się obecnie w bibliotece państwowej w Berlinie dwa atlasy, zawierające dokładne odwzorowania regionu Morza Śródziemnego i obszaru nad Morzem Martwym.

Cały ten pakiet map został przekazany do ekspertyzy amerykańskiemu kartografowi Arlingtonowi H. Mallery'emu, który doszedł do zadziwiającej konkluzji, że co prawda wszystkie dane geograficzne są zaznaczone, ale nie są naniesione na właściwych miejscach. Szukając pomocy, zwrócił się do kartografa Waltersa z Urzędu Hydrologicznego Marynarki USA. Mallery i Walters skonstruowali siatkę kartograficzną i nałożyli stare mapy na współczesny globus. W ten sposób dokonali rzeczywiście sensacyjnego odkrycia. Mapy okazały się bardzo dokładne, i to nie tylko w odniesieniu do regionu śródziemnomorskiego i Morza Martwego. Także wybrzeża Ameryki Północnej i Południowej, a nawet kontury Antarktydy były zaznaczone na mapach Piriego Reisa z taką samą precyzją. Co więcej, mapy ukazywały nie tylko zarysy kontynentów, lecz zawierały także topografię wnętrza lądów! Łańcuchy górskie, szczyty, wyspy, rzeki i wyżyny były naniesione z niesłychaną dokładnością.

W 1957 roku – Roku Geofizyki – mapy zostały przekazane jezuitcie o. Linehamowi, który był zarazem dyrektorem obserwatorium w Weston i specjalistą od kartografii w

marynarce amerykańskiej. Ojciec Lineham po bardzo gruntownych badaniach mógł tylko potwierdzić, że mapy charakteryzują się zupełnie wyjątkową dokładnością – nawet na tych obszarach, które dzisiaj jeszcze są bardzo słabo zbadane.

Pomyślmy tylko, dopiero w 1952 roku odkryto na Antarktydzie łańcuchy górskie, zaznaczone już na mapach Reisa. Prace profesora Charlesa H. Hapgooda oraz matematyka Richarda W. Strachana dostarczają nam wprost szokujących wyników. Porównanie map Piriego Reisa ze współczesnymi zdjęciami satelitarnymi kuli ziemskiej wykazało mianowicie, że ich oryginały musiały być zdjęciami lotniczymi, wykonanymi z bardzo dużej wysokości! W jaki sposób można to wytłumaczyć?

Jakiś statek kosmiczny unosi się wysoko nad Kairem i kieruje obiektyw swej kamery prosto na dół. Po wywołaniu zdjęć powstałby następujący obraz: wszystko to, co znajdowało się w promieniu około 8000 kilometrów pod obiektywem, zostało dokładnie odwzorowane, bo leżało bezpośrednio pod soczewką. Im dalej jednak od środka zdjęcia, tym bardziej zniekształcone są krainy i kontynenty. Dlaczego tak się dzieje?

Z powodu kulistego kształtu Ziemi kontynenty oddalone od centrum „zapadają się ku dołowi”. Zarys Ameryki Południowej na przykład będzie charakterystycznie zniekształcony i wydłużony, dokładnie tak, jak widzimy to na mapie Piriego Reisa!

Nasuwa się parę pytań, które domagają się szybkiej odpowiedzi. Z pewnością nasi przodkowie nie wykreślili tych

map. Jednak jest sprawą niewątpliwą, że musiały one zostać zrobione z powietrza, i to przy pomocy najnowocześniejszej techniki.

W jaki sposób możemy to wyjaśnić? Czy powinniśmy zadowolić się legendą, że bóg podarował je jakiemuś arcykapłanowi? Czy też nie powinniśmy ich przyjmować do wiadomości i bagatelizować ten „cud”, bo zestaw map nie pasuje do naszych wyobrażeń? A może powinniśmy odważnie wetknąć kij w mrowisko, utrzymując twardo, że mapy Ziemi zostały wykonane z lecącego bardzo wysoko samolotu lub ze statku kosmicznego?!

Mapy tureckiego admirała nie są oczywiście oryginałami, są kopiami z kopii, które były z kolei kopiami z jeszcze wcześniejszych kopii. Jedno nie ulega jednak wątpliwości: ktokolwiek wykonał je przed tysiącami lat, musiał umieć unosić się w powietrzu, a także fotografować!

Z pewnością twierdzenie to niejednemu zapiera dech w piersiach. Prastare mapy, wykonane z bardzo dużej wysokości – to myśl, której lepiej nie prowadzić do końca. Niekiedy wydaje się, jak gdyby człowiek odczuwał lęk, gdy dostrzega rozpraszanie się pomroki osłaniającej zamierzchną przeszłość. Dlaczego? Czyżby z tego powodu, że można tak wygodnie i spokojnie żyć, opierając się na oficjalnie obowiązującej wiedzy?

Niedaleko wybrzeża morskiego, na peruwiańskim pogórzu Andów, leży stare miasto Nazca. Po obu stronach doliny Palpa znajduje się równinny pas ziemi długości 60 kilometrów i szerokości 2 kilometrów, zasypany kamiennym gruzem

przypominającym zardzewiałe kawałki żelaza. Ludność miejscowa nazywa ten teren pampą, choć nie ma tu żadnej roślinności. Podczas lotu nad płaskowyżem Nazca widać olbrzymie, geometryczne linie, niektóre z nich przebiegają równolegle, inne krzyżują się lub są obramowane wielkimi trapezowatymi figurami.

Archeolodzy mówią, że są to drogi Inków...

Co za absurdalna myśl! Do czego miałyby się Inkom przydać drogi biegnące równolegle? Albo takie, które się krzyżują? Czy też takie, które przebiegając równinę – gwałtownie się urywają?

Rzecz jasna również tutaj znajdują się typowe dla kultury Nazca obiekty ceramiczne. Jednak przypisywanie z tego tylko powodu kulturze Nazca także geometrycznych figur – jest pójściem po linii najmniejszego oporu.

Na terenie tym aż do 1952 roku nie podjęto w ogóle stosownych prac archeologicznych i wszystkie znaleziska pozbawione są datowania. Dopiero później dokonano pomiarów linii i figur. Ich wyniki jednoznacznie potwierdzają hipotezę, że linie zostały wykreślone zgodnie z zasadami astronomicznymi. Profesor Alden Mason, specjalista od starożytnego Peru, przypuszcza, że ten układ geometryczny ma znaczenie symbolu religijnego, choć może być także kalendarzem.

Według nas widziana z lotu ptaka długa na 60 kilometrów równina Nazca jednoznacznie kojarzy się z lotniskiem!

Co miałyby być w tej idei tak niezrozumiałego?

Naturalnie żaden archeolog o wykształceniu akademickim nie zechce przyznać, że kosmici mogliby niegdyś odwiedzić naszą Ziemię. Roztropny człowiek niechętnie naraża się na śmieszność przez wysuwanie śmiałego, choćby nawet możliwego teoretycznie twierdzenia. „Nauka” nadal wypowiada się dopiero wówczas, gdy znaleziony zostanie przedmiot, mający być obiektem badań. Kiedy zaś zostanie już znaleziony, jest tak długo polerowany i obrabiany, aż stanie się kamykiem dokładnie pasującym – o dziwo! – do istniejącej mozaiki. Klasyczna archeologia nie dopuszcza bowiem myśli, że ludy preinkaskie mogły dysponować perfekcyjną techniką pomiarów. Hipoteza, że w głębokiej starożytności mogłyby istnieć maszyny latające, nie jest dla archeologów niczym innym, jak tylko głupstwem.

Czemu zatem służyły linie i figury z Nazca?

Wyobrażamy sobie, że mogły one zostać przeniesione w ten gigantyczny układ geometryczny za pomocą jakiegoś modelu układu współrzędnych lub zostać skonstruowane według wskazówek z samolotu. Dzisiaj nie da się jeszcze powiedzieć z całą pewnością, czy płaskowyż Nazca istotnie był kiedykolwiek lotniskiem. Na pewno nie znajdzie się tu żelaznych wzmocnień, bo metale korodują w ciągu niewielu lat w przeciwieństwie do kamienia, który korozji nie ulega. Co jest zdroźnego w przypuszczeniu, że linie zostały wykreślone, aby przekazać „bogom” następującą informację: lądujcie tutaj! Wszystko jest przygotowane zgodnie z waszymi rozkazami! Być może budowniczy geometrycznych figur nie zdawali sobie

sprawy, co w rzeczywistości robią, ale możliwe, że wiedzieli, czego „bogowie” potrzebują do lądowania.

W wielu miejscach spotyka się w Peru na górskich zboczach ogromnych rozmiarów rysunki, które bez wątplenia zostały wykonane jako sygnały dla istot poruszających się w przestrzeni powietrznej. Do czego innego bowiem mogłyby służyć?

W zatoce Pisco w czerwonej, wysokiej ścianie stromego skalistego wybrzeża wyłobiono dłutem jeden z najdziwniejszych rysunków. Patrząc od strony morza, już z odległości 2 kilometrów można rozpoznać figurę wysokości prawie 250 metrów. Stosując porównanie typu „wygląda tak, jak...”, należałoby powiedzieć: ta płaskorzeźba wygląda jak ogromny trójząb albo jak gigantyczny trójramienny lichtarz. A w środkowym filarze tego kamiennego obrazu znaleziono długą linę! Czyżby służyła swego czasu jako wahadło?

Musimy szczerze przyznać, że próbując zinterpretować to dzieło, poruszamy się po omacku w ciemnościach. W utarte schematy myślowe nie daje się go sensownie wmontować – co nie znaczy, że nie znalazłoby się jakiegoś chwytu, który pozwoliłby „wczarować” również i to zjawisko w rozległą mozaikę dotychczasowych teorii. Co jednak mogło skłonić preinkaskie ludy do budowania fantastycznych linii, lądowisk w Nazca? Jakie szaleństwo legło u podstaw wyrycia w skale wysokiego na 250 metrów rysunku na czerwonym stromym wybrzeżu na południe od Limy?

Prace te wymagały dziesiątków lat, gdy nie było do dyspozycji nowoczesnych maszyn i urządzeń. Wysiłek byłby całkowicie bezsensowny, gdyby twórcy nie chcieli dać poprzez swe dzieło sygnału istotom, które niegdyś przybyły do nich z przestworzy. Trzeba by też odpowiedzieć na intrygujące pytanie: po co ludzie robili to wszystko, skoro nie mieli pojęcia, że istnieją „latające istoty”?

Interpretacja tych zjawisk nie może być tylko sprawą archeologów. Wspólnie pracujące gremium uczonych z różnych dziedzin wiedzy z pewnością zbliżyłoby nas już do rozwiązania zagadki, bo wymiana opinii i dyskusja na pewno wywołałyby cenne skojarzenia. Niebezpieczeństwo, że badania naukowe nie przyniosą żadnego konkretnego efektu, tkwi w tym, że pytania takie jak nasze nie są brane poważnie pod uwagę i są wyśmiewane. Kosmonauci w zamierzchłej przeszłości? Cóż za przedziwny problem dla tradycyjnych uczonych. Najlepiej byłoby oddać pytającego w ręce psychiatry.

Jednak pytania pozostają i są – dzięki Bogu – ze swej natury na tyle bezczelne, aby uparcie domagać się odpowiedzi. A niewygodnych pytań jest dużo. Co na przykład należałoby powiedzieć, gdyby z zamierzchłej przeszłości zachował się kalendarz pozwalający na odczytanie zrównania dnia z nocą, astronomicznych pór roku, pozycji Księżyca o każdej godzinie oraz jego ruchów – i to przy uwzględnieniu obrotu Ziemi?!

To nie jest wydumane, prowokacyjne pytanie! Taki kalendarz rzeczywiście istnieje. Znaleziono go w zasuszonej mule w Tiahuanaco. To kłopotliwe odkrycie jest niedającym się

zakwestionować faktem i dowodzi – lecz czy nasza świadomość dopuszcza takie dowody? – że istoty, które kalendarz wymyśliły, stworzyły i stosowały, reprezentowały kulturę wyższą od naszej.

W mieście Tiahuanaco roi się od tajemnic. Leży ono na wysokości 4000 metrów i do tego na końcu świata. Czy właśnie w takim miejscu można by oczekiwać prastarej, potężnej kultury? Wyruszając z Cuzco (w Peru), dociera się po jednodniowej podróży koleją i statkiem do miasta i stanowisk archeologicznych. Płaskowyż robi wrażenie krajobrazu z obcej planety. Praca fizyczna staje się tu męką dla każdego przybysza, bo ciśnienie powietrza jest o połowę niższe w porównaniu z poziomem morza i, co za tym idzie, w atmosferze jest odpowiednio mniej tlenu. A mimo to znajdowało się w tym miejscu wielkie miasto.

Na temat Tiahuanaco nie ma wiarygodnych przekazów. Może powinniśmy cieszyć się, bo dzięki temu nie da się w tym przypadku dojść do „wypróbowanych” rozwiązań na szczytach tradycyjnej mądrości akademickiej. Ruiny, o których wieku do tej pory niczego nie wiadomo, spowite są mrokiem przeszłości, niewiedzy i tajemnicy.

Bloki piaskowca ważące 100 ton poprzedzielane są fragmentami muru o wadze 60 ton. Gładkie powierzchnie z precyzyjnie wykonanymi rowkami przylegają do wielkich prostopadłościanów, które połączone są miedzianymi klamrami. Jest to przedziwne rozwiązanie, niespotykane do tej pory nigdzie w świecie starożytnym. Wszystkie prace

kamieniarskie wykonane są bardzo starannie. W ważących 10 ton blokach występują dziury długości 2,5 metra, których przeznaczenia nie udaje się wyjaśnić. Także wystające płyty kamienne długości 5 metrów, wykonane z jednego bloku, nie przyczyniają się do rozwiązania zagadek, jakie skrywa Tiahuanaco. W ziemi znajdują się kamienne przewody wodociągowe, porozbijane i rozrzucone na wszystkie strony jakby w wyniku katastrofy o niewyobrażalnej skali. Mają one po 2 metry długości, pół metra szerokości i taką samą mniej więcej wysokość. Obiekty zadziwiają doskonałym wykończeniem. Czyżby nasi przodkowie z Tiahuanaco nie mieli niczego lepszego do roboty, niż – bez odpowiednich narzędzi zresztą – szlifować całymi latami przewody wodociągowe z taką precyzją, że współczesne odlewy z betonu są w porównaniu z nimi tandetne?

W odrestaurowanym budynku znajduje się zbiór kamiennych głów, a ściślej mówiąc – zestaw najróżniejszych ras antropologicznych. Są tu oblicza o wargach wąskich i wargach wydatnych, z nosami długimi i nosami wygiętymi, z uszami delikatnymi i uszami niezgrabnymi, o rysach łagodnych bądź ostrych. Na niektórych głowach tkwią dziwne hełmy. Czyżby te wszystkie obce i dziwaczne postacie chciały przekazać nam przesłanie, którego my – z powodu uporu i uprzedzeń – nie chcemy lub nie możemy zrozumieć?

Jednym z największych archeologicznych cudów Ameryki Południowej jest monolityczna Brama Słońca w Tiahuanaco – olbrzymia, wykuta w jednym bloku skalnym rzeźba wysokości

3 metrów i szerokości 4 metrów. Ciężar tego dzieła sztuki kamieniarskiej szacuje się na ponad 10 ton. Czterdzieści osiem kwadratowych figur otacza tam w trzech rzędach postać latającego boga.

A co opowiada legenda o tajemniczym mieście Tiahuanaco?

Opowiada o złotym statku, który przybył z gwiazd, a w nim kobieta o imieniu Orjana, aby spełnić misję pramatki Ziemi. Orjana miała tylko cztery palce, połączone błoną. Pramatka Orjana zrodziła 70 dzieci ziemskich, a następnie z powrotem podążyła do gwiazd.

W Tiahuanaco spotykamy rysunki naskalne i posągi istot o czterech palcach. Ich wieku nie można ustalić. Żaden człowiek z żadnej znanej nam epoki nie widział Tiahuanaco innego niż tylko w gruzach.

Jaką tajemnicę skrywa przed nami to miasto? Jakie przesłanie innych światów czeka na rozszyfrowanie na boliwijskim płaskowyżu? Nie ma żadnego przekonywającego wyjaśnienia ani co do początku, ani końca tej kultury, ale oczywiście nie przeszkadza to kilku archeologom utrzymywać śmiało i z pewnością siebie, że ruiny mają 3000 lat. Podstawą datowania jest parę nieistotnych figurek glinianych, które w ogóle nie muszą mieć nic wspólnego z epoką monolitów. Archeolodzy ułatwiają sobie życie, zlepiają kilka starych skorup, szukają kilku najbardziej podobnych spośród znanych już obiektów, na tej podstawie nakleją etykietę na odrestaurowane właśnie znalezisko i – hokus-pokus – wszystko znowu wspaniale pasuje do potwierdzonej w ten sposób teorii. Taka metoda

postępowania jest, rzecz jasna, bez porównania łatwiejsza, niż gdyby trzeba było wyobrazić sobie nielinearny rozwój techniki na świecie lub wręcz zaryzykować myśl o odwiedzinach kosmitów w zamierzchłej przeszłości. To przecież niepotrzebnie skomplikowałyby całą sprawę.

Nie zapominajmy o Sacsahuamán! Nie chodzi w tym wypadku o fantastyczną twierdzę inkaską leżącą niewiele metrów nad dzisiejszym Cuzco ani o monolityczne bloki o wadze ponad 100 ton, ani o tarasowe mury długości ponad 500 metrów i wysokości 18 metrów, na których tle współczesny turysta robi sobie pamiątkowe zdjęcia. Chodzi nam o nieznaną Sacsahuamán, oddaloną niespełna o kilometr od znanej twierdzy Inków.

Nasza fantazja jest zbyt uboga, aby sobie wyobrazić, za pomocą jakich środków technicznych nasi przodkowie pozyskiwali w kamieniołomach bloki skalne o wadze ponad 100 ton, jak transportowali je i obrabiali w odległym miejscu. Nawet jednak z tą naszą „zdemoralizowaną” przez współczesną technikę fantazją doznajemy głębokiego wstrząsu, gdy stoimy przed blokiem kamienia ważącym około 20 000 ton. Monstrum to spotkać można w drodze powrotnej z twierdzy Sacsahuamán, w odległości kilkuset metrów, przy zboczu górskim w jednym z kraterów. Monolityczny blok o rozmiarach czteropiętrowego domu, nienagannie obrobiony według najlepszych wzorów sztuki kamieniarskiej, ma stopnie i rampy oraz przyozdobiony jest spiralami i otworami. Czy da się odeprzeć twierdzenie, że Inkowie nie mogli obrabiać tego

niespotykanej wielkości bloku kamienia po prostu dla rozrywki i praca ta musiała służyć jakiemuś nieznanemu jeszcze dzisiaj celowi? Jakby dla utrudnienia zagadki monstrualny blok stoi do góry nogami. Stopnie prowadzą zatem od sufitu z góry na dół, otwory wychodzą, niczym perforacje po wybuchu granatu, na różne strony świata, a dziwne zagłębienia, przypominające nieco fotele, zawieszono są w powietrzu. Kto może sobie wyobrazić, że ludzkimi rękami blok został wydobyty, przeniesiony i obrobiony? Jaka siła przewróciła go?

Jacy tytani przyłożyli rękę do tego dzieła?

I w jakim celu?

Jeszcze nie minęło zdziwienie kamiennym potworem, a już po przejściu niespełna 300 metrów widać zeszklone skały, które mogły powstać w zasadzie tylko w wyniku topnienia skały pod wpływem niezwykle wysokiej temperatury. Zdziwionemu turyście serwuje się na miejscu lapidarne wyjaśnienie, że skała została wygładzona przez masy topniejącego lodowca. Niestety wyjaśnienie jest absurdalne! Lodowiec spływałby – podobnie jak wszelka masa płynna – logicznie rzecz biorąc, tylko w jedną stronę. Niezależnie od tego, kiedy powstały zeszklone skały, ta zasada przyrodnicza raczej nie uległa zmianie. W każdym razie nie sposób wyobrazić sobie, aby wody lodowca spływały na powierzchni 15 000 metrów kwadratowych w sześciu różnych kierunkach!

Sacsahuamán i Tiahuanaco skrywają liczne tajemnice z prehistorycznych czasów, dla których proponuje się powierzchowne i nieprzekonywujące wyjaśnienia. Poza tym

zeszklenia piasku spotyka się także na pustyni Gobi i w rejonie starych irackich wykopalisk. Kto zna odpowiedź na pytanie, dlaczego te piaskowe zeszklenia podobne są do tych, jakie powstały pod wpływem eksplozji atomowych na pustyni Nevada?

Czy uczyniono dostatecznie wiele, by dla prehistorycznych zagadek znaleźć przekonujące rozwiązanie? W Tiahuanaco znajdują się nienaturalnie zwieńczone wzgórza, których „dachy” są całkowicie płaskie na powierzchni równej 4000 metrów kwadratowych. Jest całkiem prawdopodobne, że są w nich ukryte jakieś budowle. Do tej pory jednak nie przeciągnięto przez pagórki żadnego wykopu, ani jedna łopata nie zagłębia się w tamtejszą ziemię, by rozwiązać zagadkę. To prawda, że brakuje pieniędzy, ale turyści nierzadko obserwują żołnierzy i oficerów, którzy najwyraźniej niezbyt dobrze wiedzą, jak sensownie spędzić czas. Czy byłoby złym pomysłem, aby zlecić jakiejś kompanii wojska prace wykopaliskowe pod fachowym nadzorem?

Na tyle rzeczy znajduje się na świecie pieniądze, a badania dla przyszłości są przecież palącą koniecznością! Dopóki nasza przeszłość jest niezbadana, otwarta pozostaje jedna pozycja w rachunku dla przyszłości. Pytanie brzmi, czy przeszłość nie pomogłaby nam w znalezieniu rozwiązań technicznych, których nie trzeba byłoby dopiero odkrywać, bo znane już były w czasach prehistorycznych?

Skoro sama pasja odsłaniania naszej przeszłości nie jest wystarczającym bodźcem do podjęcia nowoczesnych,

intensywnych badań, to może pomógłby wzgląd na korzyści ekonomiczne. W każdym razie żadnemu uczonemu nie zlecono dotychczas przeprowadzenia przy użyciu najnowszej aparatury badań izotopowych w Tiahuanaco czy Sacsahuamán, na pustyni Gobi albo w legendarnych Sodomie i Gomorze. Wszystkie zapisane pismem klinowym teksty i tabliczki z Ur – najstarsze księgi ludzkości – przekazują informacje o „bogach”, którzy jeździli barkami po niebie, przybyli z gwiazd, posiadali straszliwą broń i powrócili z powrotem do gwiazd. Dlaczego nie szukamy dawnych „bogów”? Nasze teleskopy wysyłają sygnały w kosmos i starają się odebrać jakieś sygnały od istot rozumnych. Dlaczego jednak nie poszukujemy śladów obcych istot najpierw albo równocześnie na naszej, przecież znacznie bliższej, planecie? Tym bardziej że nie poruszamy się po omacku w ciemnościach, bo ślady te są wyraźnie widoczne.

Sumerowie zaczęli około 2300 roku p.n.e. spisywać pełną chwałę przeszłość swego ludu. Jeszcze dzisiaj nie wiemy, skąd przybył ten lud, choć wiemy, że Sumerowie przynieśli wysoko rozwiniętą kulturę, którą narzucili barbarzyńskim jeszcze po części Semitom. Wiemy też, że Sumerowie poszukiwali bogów zawsze na szczytach górskich, a jeśli na obszarze osadniczym nie było naturalnych wzniesień – usypywali na równinach sztuczne „góry”. Ich wiedza astronomiczna była niewiarygodnie zaawansowana, a ich obserwatoria dokonywały obliczeń obrotów Księżyca, które różniły się od dzisiejszych pomiarów zaledwie o 0,4 sekundy. Poza wspaniałym eposem o Gilgameszu, o którym będziemy jeszcze pisać, pozostawili nam

prawdziwą małą sensację. Na wzgórzu Kujundżyk (niegdyś Niniwa) znaleziono obliczenie, którego wynik końcowy w przeliczeniu na naszą arytmetykę wynosił 195 955 200 000 000. Jest to liczba piętnastocyfrowa! Nawet mądrzy, starzy Grecy, ojcowie zachodniej kultury, na których tak często się powołujemy i tak dokładnie badamy ich dzieła, nie zdołali przekroczyć w najświetniejszym okresie swego rozwoju liczby 10 000. Wszystko, co ją przekraczało, określano po prostu mianem „nieskończone”.

Starodawne pisma przypisywały Sumerom wprost fantastycznie długi czas życia. I tak 10 pradawnych władców miało panować w sumie 456 000 lat, zaś okres panowania 23 królów, którym po potopie przypadł trud odbudowy, wynosić miał 24 510 lat, trzy miesiące oraz trzy i pół dnia.

Są to dane całkowicie sprzeczne z naszymi dzisiejszymi pojęciami, choć dokładne imiona wszystkich tych licznych władców, starannie uwiecznione na glinianych tabliczkach i monetach, umieszczone są na długiej liście.

Jaki byłby efekt, gdybyśmy i w tym wypadku odważyli się zdjąć końskie okulary i spojrzeli na stare dzieje nowym okiem?

Przyjmijmy, że kosmici przed tysiącami lat nawiedzili obszar Sumeru. Wysuńmy hipotezę, że położyli podwaliny cywilizacji i kultury Sumerów, a spełniwszy misję, wrócili na swoją planetę. Załóżmy, że wiedzeni ciekawością wracaliby co 100 lat czasu ziemskiego na miejsce swego pionierskiego trudu, by sprawdzić, jak wzeszło zasiane przez nich ziarno. Przyjmując za podstawę dzisiejszą średnią długość życia, kosmici mogliby

bez trudu przeżyć 500 lat w skali czasu ziemskiego. Jak to możliwe? Teoria względności dowodzi, że astronauci podczas lotu w obie strony, w statku kosmicznym poruszającym się z szybkością zbliżoną do prędkości światła, postarzeliby się w tym czasie tylko o około 40 lat! Zacořani Sumerowie wznieśli w ciągu stuleci zikkuraty, piramidy i wygodne domy, składali ofiary swoim „bogom” i oczekiwali ich powrotu. Po upływie 100 lat istotnie przybyliby oni znowu. „A wtedy przyszedł potop, a po potopie zstąpiło królestwo ponownie z nieba...” – czytamy w jednym z sumeryjskich tekstów zapisanych pismem klinowym.

W jaki sposób Sumerowie wyobrażali sobie i przedstawiali swoich „bogów”? Pojęcie o tym daje sumeryjska mitologia oraz niektóre akadyjskie tabliczki i obrazy. „Bogowie” nie mieli postaci człowieczej, a w każdym przypadku symbol danego boga związany był z jakąś gwiazdą. Tabliczki akadyjskie przedstawiają gwiazdy w taki sposób, jak zaznaczono by je również dzisiaj. Dziwi tylko, że wokół gwiazd krążą różnej wielkości planety. Skąd Sumerowie, którzy nie mieli naszych możliwości obserwacji nieba, mogli wiedzieć, że gwiazda stała ma planety? Znalaziono rysunki, na których ludzie noszą na głowie gwiazdy lub dosiadają uskrzydłonych kul. Istnieje obraz, który natychmiast przywołuje skojarzenie z modelem atomu. Jest to okrąg z nanizanymi obok siebie promieniującymi na zmianę kulami. Żadna otchłań nie jest tak przerażająca i żadne niebo tak pełne cudów, jak spuścizna Sumerów pełna jest pytań, zagadek i niesamowitości, jeśli tylko rozpatrywać ją pod kątem związków z kosmosem.

Wymieńmy tu jeszcze tylko kilka osobliwych przedmiotów z tego samego obszaru geograficznego:

- W Geoy Tepe rysunki spiral, niewątpliwa rzadkość przed 6000 lat!
- W Gar Kobeh przemysłowa obróbka krzemienia sprzed 40 000 lat.
- W Baradostian podobne znalezisko pochodzące sprzed 30 000 lat.
- W Tepe Asiab posążki, groby i narzędzia kamienne, których wiek datuje się na 13 000 lat.
- W tym samym miejscu znaleziono skamieniałe ekskrementy, które być może nie pochodzą od ludzi.
- W Karim Szahir znaleziono narzędzia i dłuto do rytowania.
- W Barda Balka leżały pięściaki i narzędzia.
- W jaskini Szanidar znajdowały się szkielety dorosłych mężczyzn i jednego dziecka. Ich wiek (określony metodą ^{14}C) datuje się na około 45 000 lat p.n.e.

Listę tę można uzupełniać wieloma przykładami i ciągnąć dalej, a każdy fakt będzie wspierał stwierdzenie, że przed około 40 000 lat rejon późniejszego Sumeru zamieszkała zbieranina ludzi prymitywnych. Nagle, z nieznanych dotąd przyczyn, pojawili się Sumerowie ze swoją astronomią, kulturą i techniką.

Wnioski o obecności na Ziemi w zamierzonych czasach przybyszy z kosmosu są na razie czystą spekulacją. Można jednak założyć, że pojawili się wówczas „bogowie”, którzy skupili wokół siebie półdzikich jeszcze ludzi w Sumerze i przekazali im część swojej wiedzy.

Figurki i posąжки, które przypatrują się nam dziś zza muzealnych szyb, wykazują zróżnicowanie antropologiczne: wyłupiaste oczy, dobrze wysklepione czoła, wąskie wargi i na ogół proste i długie nosy. Jest to obraz, który zupełnie nie pasuje do obowiązujących schematów myślowych i potocznego wyobrażenia o istotach prymitywnych.

Czyżby byli to przybysze z kosmosu w zamierzonych czasach?

- W Libanie znaleziono szkliste okruchy skalne, tak zwane tektyty, w których Amerykanin doktor Stair odkrył radioaktywny izotop glinu.

- W Iraku i Egipcie znajdują się oszlifowane krystaliczne soczewki, które współcześnie produkuje się tylko przy użyciu tlenku cezu, czyli związku, jaki otrzymuje się w procesie elektrolizy.

- W Heluanie jest kawałek materiału, tkaniny tak delikatnej i cienkiej, jaką współcześnie można tkać tylko w specjalistycznych fabrykach z dużym doświadczeniem produkcyjnym.

- W muzeum w Bagdadzie są suche baterie elektryczne, działające na zasadzie galwanicznej.

- W tym samym miejscu można podziwiać ogniwa elektryczne z miedzianymi elektrodami i nieznanymi elektrolitami.

- Uniwersytet w Londynie posiada w dziale egipskim prastarą kość prawej ręki, która została fachowo amputowana 10

centymetrów powyżej nadgarstka, cięciem gładkim i pod kątem prostym.

- Na górzystym terenie Kohistanu znajduje się w jaskini rysunek dokładnie oddający pozycje gwiazd, jakie zajmowały one przed 10 000 lat. Wenus i Ziemia połączone są liniami.

- Na wyżynie w Peru znaleziono ozdoby z platyny.

- W pewnym grobie w Chu-Chu (Chiny) leżały części paska, wykonane z aluminium.

- W Delhi stoi prastary słup z żelaza, które nie zawiera ani fosforu, ani siarki i dlatego jest odporny na erozję atmosferyczną.

To zestawienie „nieprawdopodobieństw” powinno jednak zaostrzyć naszą ciekawość i wzbudzić niepokój. Jakie to środki i jaka intuicja pozwoliły żyjącym w pieczarach prymitywnym istotom przedstawić właściwe położenie ciał niebieskich? Jaki warsztat mechaniki precyzyjnej wyprodukował oszlifowane soczewki krystaliczne? Jakim sposobem umiano topić i modelować platynę, skoro ów metal szlachetny zaczyna się topić dopiero w temperaturze 1800°C? Jaką wreszcie metodą uzyskano aluminium – metal, który z dużym trudem pozyskuje się z boksytów?

Zgoda, są to trudne pytania, ale czy nie powinniśmy ich stawiać? Ponieważ nie jesteśmy skłonni założyć lub przyznać, że naszą kulturę poprzedziła inna – wyższa, a naszą technikę – podobnie perfekcyjna, pozostaje tylko hipoteza odwiedzin z kosmosu! Jednak dopóty, dopóki badania archeologiczne prowadzi się dotychczasowymi metodami, nie będziemy mieli

większych szans, by dowiedzieć się, czy nasza zamierzchła starożytność rzeczywiście była tak szara i ciemna, czy też może całkiem pogodna...

Nadszedł czas, aby ogłosić Rok Archeologii Utopijnej! W roku takim archeolodzy, fizycy, chemicy, geolodzy, metalurdzy i przedstawiciele wszystkich pokrewnych dziedzin nauki zajęliby się jednym tylko pytaniem: czy nasi przodkowie doświadczyli odwiedzin ze Wszechświata?

Metalurg mógłby na przykład krótko i zwięźle wytłumaczyć archeologowi, jak skomplikowaną sprawą jest wyprodukowanie aluminium. Czy nie jest możliwe, że fizyk natychmiast odkryje w jakimś rysunku naskalnym znany wzór? Chemik dysponujący specjalistyczną aparaturą mógłby zapewne potwierdzić przypuszczenie, że obeliski zostały oddzielone od skały wilgotnymi drewnianymi klinami bądź też przy pomocy nieznanymi związków chemicznych. Geolog winien nam cały szereg odpowiedzi na pytanie, jak to właściwie jest z konkretnymi osadami z epoki lodowcowej. W skład zespołu Roku Archeologii Utopijnej wchodziłaby oczywiście także drużyna nurków, która szukałaby w Morzu Martwym radioaktywnych śladów ewentualnej eksplozji jądrowej nad Sodomą i Gomorą.

Dlaczego najstarsze biblioteki świata są tajne? Przed czym właściwie ten lęk? Czy to obawa, że w końcu wyjdzie na światło dzienne chroniona i ukrywana przez tysiące lat prawda?

Badań naukowych i postępu nie uda się zatrzymać. Egipcjanie przez 4000 lat uważali swych „bogów” za istoty

realne. W naszym kręgu kulturowym jeszcze w średniowieczu skazywano na śmierć „czarownice” z gorejącej żarliwości religijnej. Przypuszczenie inteligentnych skądinąd Greków, że umieją przepowiadać przyszłość z gęsiego żołądka, jest obecnie równie przestarzałe, jak przeświadczenie ludzi „wiecznie wczorajszych”, że nacjonalizm ma jeszcze jakieś znaczenie.

Musimy naprawić 1001 błędów przeszłości. Okazywana na zewnątrz pewność siebie jest pozorna i stanowi po prostu ostrą formę tępoty. Ciągłe jeszcze oficjalnie panuje przesąd, że jakieś zjawisko musi zostać dowiedzione, zanim „poważnemu” człowiekowi będzie wypadało nim się zajmować.

Przy tym wszystkim nasze życie stało się znacznie łatwiejsze i prostsze. Kto wypowiadał nową, pionierską myśl, musiał się niegdyś liczyć z wygnaniem i prześladowaniem ze strony kurii i kolegów. Można powiedzieć, że na tym tle los współczesnych prekursorów jest lżejszy. Nie ma już wszak ekskomuniki i nie podpala się stosów. Z drugiej jednak strony metody praktykowane w naszych czasach, choć wprawdzie mniej spektakularne, jednakże w nie mniejszym stopniu hamują postęp. Działa się dziś dyskretniej i bardziej elegancko. Hipotezy i niewygodne, śmiałe myśli są odrzucane i unieszkodliwiane za pomocą – jak mówią Amerykanie – *killer-phrases*. Możliwości jest dużo:

- To jest niezgodne z regułami! (Zawsze dobre!)
- To jest niedoskonałe! (Imponująco niezawodne!)
- To jest zbyt radykalne! (Jeśli chodzi o efekt odstraszący, nadzwyczaj skuteczne!)

- Tego nie podejmą się uniwersytety! (Przekonywające!)
- Tego próbowali już inni! (Oczywiście, ale z jakim skutkiem?)
- Nie dostrzegamy w tym żadnego sensu! (Otóż to!)
- Tego zabrania religia! (Co można na to odpowiedzieć?)
- To nie zostało jeszcze dowiedzione! (*Quod erat demonstrandum!*)

„Na zdrowy rozum wiadomo – wołał przed 500 laty na sali sądowej pewien uczonek – że Ziemia w żadnym wypadku nie może być kulą, bo w takim razie ludzie z jej dolnej połowy spadliby w otchłań!”

„Nigdzie w Biblii nie napisano – rzeki inny – że Ziemia kręci się wokół Słońca. Zatem takie twierdzenie jest szatańską sprawką!”

Wydaje się, jakby tępota była nieodłączną cechą towarzyszącą pojawianiu się nowych systemów myślowych. U progu XXI wieku badacz powinien być jednak otwarty na „fantastyczne realia”. Powinien chcieć modyfikować prawa i ustalenia naukowe, które – choć przez stulecia uchodziły za tabu – są kwestionowane w świetle nowych wyników badań. Nawet gdyby gwardia laureatów Nagrody Nobla usiłowała zahamować ten intelektualny nurt, to w imię prawdy i realizmu należy zdobyć nowy świat wbrew wszystkim ludziom niereformowalnym. Ktoś, kto jeszcze w połowie XX wieku mówił w kręgach naukowych o satelitach, popełniał coś w rodzaju akademickiego samobójstwa. Dzisiaj sztuczne ciała niebieskie, satelity właśnie, krążą wokół Słońca, sfotografowały Marsa i wylądowały miękko na Księżycu i Wenus, aby przesłać

na Ziemię pierwszorzędne zdjęcia obcych krajobrazów, wykonane (turystycznymi) kamerami. Kiedy wiosną 1965 roku pierwsze zdjęcia z Marsa przesłano na Ziemię, zrobiono je aparatami operującymi wprost niewyobrażalnie małą mocą: 0,000 000 000 000 000 01 wata.

A jednak: NIC nie jest już niewyobrażalne. Słowo „niemożliwe” powinno stać się dla współczesnego badacza dosłownie niemożliwe. Kto dzisiaj nie pójdzie z nami, tego jutro stłamsi rzeczywistość.

Pozostajemy zatem uparcie przy naszej hipotezie, zgodnie z którą przed iluś tysiącami lat Ziemię nawiedzili astronauci z obcych planet. Zdajemy sobie sprawę, że nasi niewykształceni i prymitywni przodkowie nie potrafili pojąć wysoko rozwiniętej techniki kosmitów. Czcili więc ich jako „bogów”, którzy przybyli z gwiazd, a im nie pozostało nic innego, jak tylko cierpliwie znosić to ubóstwienie. Nawiasem mówiąc, nasi kosmonauci muszą być dobrze przygotowani psychicznie na podobne hołdy na nieznanach planetach.

W niektórych zakątkach Ziemi jeszcze obecnie żyją ludzie prymitywni, dla których karabin maszynowy jest bronią diabelską. Czy samolot odrzutowy nie jest dla nich przypadkiem pojazdem aniołów? Czy przez radio nie słyszą głosu boga? Ostatnie ludy prymitywne z dziecinną naiwnością przekazują w swoich podaniach, z pokolenia na pokolenie, wrażenia z tych technicznych osiągnięć, które nam wydają się już oczywiste. Kreślą na ścianach jaskiń i skał postacie swoich

bogów i ich cudem przybyłe z nieba statki. W ten sposób ludzie dzicy utrwalili to, czego obecnie szukamy.

Malowidła jaskiniowe we Francji, w Ameryce Północnej i południowym Zimbabwie, na Saharze i w Peru, a nawet w Chile potwierdzają naszą hipotezę. Francuski badacz Henri Lhote odkrył w Tasili na Saharze kilkaset (!) pokrytych malowidłami ścian skalnych z wieloma tysiącami wizerunków zwierząt i ludzi. Są wśród nich postacie w krótkich, eleganckich spódnickach, noszące drążki i bliżej nieokreślone czworokątne skrzynki na drążkach. Obok malowideł zwierząt zdziwienie budzą istoty ubrane w strój przypominający kostium nurka. Wielki bóg Mars – tak Lhote nazwał wielkie malowidło – miał 6 metrów wysokości. „Dzikus”, który pozostawił po sobie to dzieło, raczej nie mógł być tak prymitywny, jak byśmy sobie tego życzyli, aby wszystko zgrabnie pasowało do starej teorii. Potrzebował przecież jakiegoś rusztowania do pracy, aby móc malować perspektywicznie, bo w jaskiniach tych w ciągu ostatnich tysięcy lat nie nastąpiły żadne przesunięcia tektoniczne. Wydaje się nam, bez zbytniego nadwerężania wyobraźni, że wielki bóg Mars został przedstawiony w skafandrze kosmicznym lub kostiumie nurka. Na jego potężnych, nieforemnych barach spoczywa hełm, połączony z korpusem czymś w rodzaju przegubu. Tam, gdzie powinny się znajdować usta i nos, w hełmie są szpary. Skłonni bylibyśmy uwierzyć w przypadek bądź po prostu w fantazję prehistorycznego „artysty”, gdyby to był jedyny taki wizerunek. Jednak w Tasili znajduje się kilka rysunków nieforemnych

postaci z takim samym ekwipunkiem, a bardzo podobne malowidła naskalne znaleziono także w USA (region Tulare, Kalifornia).

Jesteśmy gotowi przyjąć potulnie i takie założenie, że ludzie prymitywni byli niewprawnymi malarzami i dlatego portretowali postacie niezbyt szczęśliwie. Dlaczego jednak ci sami prymitywni mieszkańcy pieczar potrafili perfekcyjnie rysować woły lub zwykłych ludzi? Wydaje się więc bardziej prawdopodobne, że „artyści” potrafili bardzo dobrze przedstawiać to, co istotnie oglądali na własne oczy. Jedno z naskalnych malowideł w hrabstwie Inyo w Kalifornii ukazuje jakąś figurę geometryczną, w której bez wysiłania wyobraźni można rozpoznać prostokątny suwak logarytmiczny w podwójnej oprawce. Archeolodzy uważają natomiast, że są to postacie boskie...

Na pewnym naczyniu ceramicznym znalezionym w irańskim Siyalk paraduje nieznanego gatunku zwierzę z wielkimi, prostymi jak świece, rogami na głowie. Dlaczego by nie? Jednak oba rogi mają po lewej i prawej stronie po pięć spiral. Jeśli wyobrazić sobie dwa pręty z dużymi porcelanowymi izolatorami, wyglądałoby to mniej więcej tak samo. Jakie jest stanowisko archeologii w tej sprawie? Całkiem zwyczajne: chodzi o symbol jakiegoś boga. Bogowie w ogóle są w cenie. Wiele rzeczy – z pewnością wszystkie niewyjaśnione – interpretuje się przez odwołanie do świata nadprzyrodzonego. W „nieudowodnialnej” krainie można żyć spokojnie. Każdą znalezioną statuettę, każdy poskładany przedmiot, każdą

wyłaniającą się ze skorup postać przyporządkowuje się z miejsca do jakiejś dawnej religii. Jeśli jednak dana rzecz nawet na siłę nie da się dopasować do żadnej znanej religii, wyczarowuje się szybko – niczym królika z cylindra – jakiś nowy, zwariowany starożytny kult. I rachunek znowu się zgadza!

A jeżeli freski w Tasili czy w USA albo we Francji istotnie odtwarzają to, co człowiek prymitywny niegdyś widział? Co począć, jeśli spirale przy drążkach przedstawiają rzeczywiście anteny, jakie zobaczył kiedyś u obcych „bogów”? Czy nie mogło istnieć coś, czego być nie powinno? „Dzikus”, zdolny do namalowania fresków, nie mógł być taki dziki. Naskalny rysunek białej damy w Brandbergu w RPA mógłby zostać uznany za malarstwo XX-wieczne. Jest to postać w swetrze z krótkimi rękawami, w obcisłych spodniach ze ściągaczami, w rękawiczkach i pantoflach. Kobieta nie jest sama, za nią stoi chudy mężczyzna z dziwnym kolczastym drągiem w ręku, a na głowie ma bardzo skomplikowany hełm z czymś w rodzaju przyłbicy. Jako malarstwo nowoczesne jak najbardziej do zaakceptowania! Kłopot tylko w tym, że chodzi o rysunek w jaskini!

Wszyscy bogowie przedstawieni na malowidłach jaskiniowych w Szwecji i Norwegii mają niemal jednakowe, trudne do zinterpretowania głowy. Archeolodzy mówią, że są to głowy zwierząt. Jakaż tu jednak sprzeczność: czcić „boga”, którego się jednocześnie zarzyna i spożywa. Często widać na

malowidłach skrzydlate statki i bardzo często całkiem typowe anteny.

W Val Camonica we włoskiej Brescii także występują postacie w niezgrabnych ubraniach, które – na domiar złego – mają również rogi na głowach. Nie posuniemy się do twierdzenia, że mieszkańcy italskich pieczar uprawiali ożywioną turystykę do Ameryki Północnej lub Szwecji, względnie na Saharę i do Hiszpanii (Ciudad Real) w celu wymiany artystycznych doświadczeń i nowinek formalnych. Pozostaje zatem na porządku dziennym uporczywe pytanie, dlaczego ludzie prymitywni malowali postacie w niezgrabnych ubraniach i z antenami na głowie...

Nie poświęcalibyśmy tym niewyjaśnionym dziwom ani jednego słowa, gdyby występowały tylko w jednym miejscu, ale znajduje się je prawie wszędzie.

Skoro tylko spojrzymy na przeszłość z naszego punktu widzenia i wypełnimy ją współczesną fantazją techniczną, zaczynają unosić się zasłony skrywające mroki historii. Studium prastarych świętych ksiąg pomoże nam tak urealnić naszą hipotezę, że nauka badająca przeszłość nie zdoła na dłuższą metę uniknąć rewolucyjnych pytań.

Rozdział 4

Biblia na pewno ma rację

Czy Bóg był uzależniony od czasu?

**Mojżeszowa Arka Przymierza pod napięciem
elektrycznym**

**Wielofunkcyjne pojazdy „bogów” na pustynnych
piaskach**

Potop był z góry zaplanowany

Dlaczego „bogowie” żądali określonych metali?

Biblia jest pełna tajemnic i sprzeczności. Jej Księga Rodzaju rozpoczyna się od stworzenia świata, przedstawionego dokładnie pod względem geologicznym. Skąd jednak autorzy wiedzieli, że minerały powstały przed roślinami, a po tych z kolei zjawily się zwierzęta?

„Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas” – czytamy w I Księdze Mojżeszowej^[1].

Dlaczego Bóg mówi w liczbie mnogiej? Dlaczego mówi „nasz”, a nie „mój”, dlaczego „nam”, a nie „mnie”? Można by przecież słusznie przypuszczać, że jedyny Bóg będzie przemawiał do ludzi w liczbie pojedynczej, a nie mnogiej.

A kiedy ludzie zaczęli rozmnażać się na ziemi i rodziły im się córki, ujrzeni synowie boży, że córki ludzkie były piękne. Wzięli więc sobie za żony te wszystkie, które sobie upatrzyli (I Mojż. 6, 1-2).

Kto umie udzielić zadowalającej odpowiedzi na pytanie, jacy to synowie Boga brali sobie ziemskie kobiety za żony? Izrael miał przecież tylko jednego jedyne, nietykalnego Boga. Skąd zatem wzięli się „synowie Boga”?

A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły.

To są mocarze, którzy z dawien dawna byli sławni (I Mojż. 6, 4).

Znowu zatem pojawiają się synowie Boga, którzy wchodzą w związki z ludźmi. Jest też po raz pierwszy mowa o olbrzymach! „Olbrzymi” pojawiają się zawsze i wszędzie: w mitologii Wschodu i Zachodu, legendach z Tiahuanaco i eposach Eskimosów. „Olbrzymi” straszą prawie we wszystkich starych księgach. Musieli zatem istnieć naprawdę. Kim byli? Naszymi przodkami, którzy wznosili ogromne budowle i bez trudu przesuwali monolity – czy może byli to biegli w sprawach technicznych kosmici? Jedno nie ulega wątpliwości: Biblia mówi o „olbrzymach” i nazywa ich „synami bożymi”, a ci „synowie

boży” wchodzą w związki z córkami ludzi i płodzą z nimi potomstwo.

Mojżesz przekazuje nam (I Mojż. 19, 1) bardzo obszerne, szczegółowe i wstrząsające sprawozdanie z katastrofy w Sodomie i Gomorze. Zestawienie naszej pozabiblijnej wiedzy z tym opisem pozwoli na całkiem ciekawe skojarzenia.

Oto kiedy ojciec Lot siedział wieczorem przed bramą miasta, do Sodomy przybyli dwaj aniołowie. Najwidoczniej Lot oczekiwał „aniołów”, którzy zresztą okazali się wkrótce mężczyznami, bo poznał ich natychmiast i gościnnie zaprosił na noc do swego domostwa. Lubieżnicy sodomscy – jak opowiada Biblia – zapragnęli tych mężczyzn. Jednak obaj przybysze potrafili jednym jedynym gestem odeprzeć seksualną chęć miejscowych playboyów, pozbywając się intruzów.

„Aniołowie” nalegali (I Mojż. 19, 12–14), aby Lot jak najszybciej wyprowadził z miasta swoją żonę, synów, córki, zięciów i synowe, bo – jak ostrzegali – miasto zostanie lada moment zniszczone. Rodzina Lota nie bardzo chciała uwierzyć i uważała to wszystko za kiepski dowcip ojca. Zacytujmy dosłownie:

A gdy wzeszła zorza, przynaglali aniołowie Lota, mówiąc: Wstań, weź żonę swoją i dwie córki, które się tu znajdują, abyś nie zginął wskutek winy tego miasta. Lecz gdy się ociągał, wzięli go owi mężowie za rękę i żonę jego za rękę, i obie córki jego za rękę, bo Pan chciał go oszczędzić, i wyprowadzili go, i pozostawili poza miastem. A gdy ich wyprowadzili poza miasto, rzekł jeden: Ratuj się, bo chodzi o życie twoje; nie oglądaj się za siebie życie twoje; nie oglądaj się za siebie i nie zatrzymuj się w

całym tym okręgu; uchodź w góry, abyś nie zginął. [...] Schroń się tam szybko, bo nie mogę nic uczynić, dopóki tam nie wejdziesz! (I Mojż. 19, 15–17, 22).

Z opisu wynika niewątpliwie, że obaj „aniołowie” dysponowali nieznaną mieszkańcom mocą. Zastanawia także pośpiech i naleganie, jakim popędzali rodzinę Lota. Kiedy Lot się ociągał, wzięli go za ręce. Każda minuta musiała być droga. Lot miał, jak mu polecili, pójść w góry i nie odwracać się po drodze. Jednak wydaje się, że ojciec Lot nie miał bezwzględnego respektu przed „aniołami”, bo odważał się zgłaszać coraz to nowe zastrzeżenia: „Lecz ja nie mogę ujść w góry, zanim mnie nie dosięgnie nieszczęście i umrę” (I Mojż. 19, 19). Zaraz potem aniołowie wyznali, że niczego nie będą mogli dla niego zrobić, jeśli ich nie posłucha.

Co właściwie wydarzyło się w Sodomie? Trudno sobie wyobrazić, aby wszechmocny Bóg uzależniony był od jakiegoś rozkładu zajęć. Skąd zatem pośpiech jego „aniołów”? A może zagłada miasta została zaplanowana co do minuty przez jakąś inną siłę? Może rozpoczęło się już odliczanie i „aniołowie” dobrze o tym wiedzieli? W takim wypadku terminu zagłady nie dało się, rzecz jasna, przesunąć. Czy jednak nie było prostszego sposobu zapewnienia bezpieczeństwa rodzinie Lota? Dlaczego musiała iść w góry? I dlaczego – na miłość boską – nie pozwolono im ani razu nawet spojrzeć za siebie?

Zgoda, są to niestosowne pytania w tak poważnej sprawie. Ale od czasu zrzucenia w Japonii dwóch bomb atomowych wiemy,

jakie szkody wyrządza ta broń. Wiemy, że żywe stworzenia narażone na bezpośrednie działanie promieni umierają lub zapadają na nieuleczalną chorobę. Powiedzmy bez ogródek – Sodoma i Gomora zostały zniszczone celowo, według planu, w wyniku eksplozji jądrowej. Być może „aniołowie” – pospekulujmy dalej – chcieli pozbyć się po prostu niebezpiecznego materiału rozszczepialnego, z pewnością jednak przyświecał im też cel wytępienia niemilej im ludzkiej rasy. Czas zagłady był dokładnie ustalony. Kto miał ujść z życiem – tak jak rodzina Lota – musiał schronić się w górach kilka kilometrów od centrum eksplozji. Skalne ściany pochłaniają bowiem groźne, twarde promieniowanie. Zaś żona Lota – jak wszyscy wiedzą – odwróciła się i spojrzała w błysk atomowego słońca. Nikogo już nie dziwi, że zginęła na miejscu. „Wtedy Pan spuścił na Sodomę i Gomorę deszcz siarki i ognia...” (I Mojż. 19, 24).

Sprawozdanie o katastrofie kończy się następująco:

Abraham zaś, wstawszy wcześniej rano, udał się na to miejsce, gdzie stał przed Panem. I spojrzawszy na Sodomę i Gomorę, i na całą okolicę, ujrzał, że dym wznosił się z ziemi, jak dym z pieca (I Mojż. 19, 27–28).

Możemy być tak samo wierzący, jak nasi przodkowie, ale na pewno jesteśmy mniej łatwowierni. Jak moglibyśmy – nawet przy najlepszych chęciach – wyobrazić sobie wszechpotężnego, wszechobecnego i absolutnie dobrego Boga, który nie zna pojęcia czasu i zarazem nie wie, co się wydarzy. Bóg stworzył człowieka i był zadowolony ze swego dzieła. Wygląda na to,

jakby później pożałował jednak swego czynu, bo ten sam stwórca postanawia zniszczyć ludzką rasę. Nam, wyemancypowanym dzieciom naszych czasów, z trudem przychodzi wyobrazić sobie arcydobrego ojca, który wśród niezliczonych innych dzieci faworyzuje garstkę ulubieńców, takich jak rodzina Lota. Stary Testament przedstawia sugestywne opisy, w których sam Bóg lub jego aniołowie z wielkim hałasem, w oparach dymu zlatują na ziemię bezpośrednio z nieba.

Jeden z najbardziej niezwykłych opisów zawdzięczamy prorokowi Ezechielowi:

W trzydziestym roku, w czwartym miesiącu, piątego dnia tego miesiąca, gdy byłem wśród wygnańców nad rzeką Kebar, otworzyły się niebiosa i miałem widzenie Boże [...] I spojrzałem, a oto gwałtowny wiatr powiał z północy i pojawił się wielki obłok, płomienny ogień i blask dokoła niego, a z jego środka spośród ognia lśniło coś jakby błysk polerowanego kruszcu. A pośród niego było coś w kształcie czterech żywych istot. A z wyglądu były podobne do człowieka. Lecz każda z nich miała cztery twarze i każda cztery skrzydła. Ich nogi były proste, a stopa ich nóg była jak kopyto cielęcia i lśniły jak polerowany brąz (Ez. 1, 4–7).

Ezechiel podaje bardzo precyzyjną datę lądowania pojazdu. Dokładnie widzi przybywający z północy pojazd, który połyskuje, promieniuje i wzbija w powietrze olbrzymią chmurę piaskową. Wyobraźmy sobie wszechpotężnego boga wielkiej religii. Czy musiałby on zdążać z określonego kierunku, w tak

namacalny sposób – czy nie mógłby znaleźć się tam, gdzie zechce, nie wzbudzając wielkiego zamieszania i gwaru?

Prześledźmy dalej informację o przeżyciu Ezechiela:

A gdy spojrzałem na żywe istoty, oto na ziemi obok każdej z wszystkich czterech żywych istot było koło. A wygląd tych kół i ich wykonanie były jak chryzolit i wszystkie cztery miały jednakowy kształt; tak wyglądały i tak były wykonane, jakby jedno koło było w drugim. Gdy jechały, posuwały się w czterech kierunkach, a jadąc, nie obracały się. I widziałem, że wszystkie cztery miały obręcze, wysokie i straszliwe, i były dokoła pełne oczu. A gdy żywe istoty posuwały się naprzód, wtedy i koła posuwały się obok nich, a gdy żywe istoty wznosiły się ponad ziemię, wznosiły się i koła (Ez. 1, 15–19).

Opis jest zadziwiająco trafny: Ezechiel uważa, że jedno koło znajdowało się w drugim. To oczywiście złudzenie optyczne! Według naszej dzisiejszej wiedzy widział on ślimacznicę umieszczoną na walcu, jedną z takich, jakich Amerykanie używają na piaskach pustyni i terenach bagiennych. Ezechiel zaobserwował, że koła podnosiły się z ziemi równocześnie ze skrzydłami. To by się zgadzało. Rzecz jasna, koła żadnego pojazdu wielofunkcyjnego, np. amfibiowego helikoptera, nie pozostają na ziemi, gdy ten wznosi się w powietrze.

Czytamy dalej u Ezechiela: „Synu człowieczy! Stań na nogi, a będę z Tobą rozmawiał” (Ez. 2, 1). Usłyszawszy te słowa, opowiadający ukrył oblicze w ziemi z lęku i wielkiego podziwu. Obce istoty, chcące rozmawiać z Ezechielem, zwróciły się do niego, nazywając go „synem człowieczym”. Oto dalszy ciąg relacji:

[...] i słyszałem za sobą potężny łoskot, gdy chwała Pana podniosła się ze swego miejsca. A był to szum skrzydeł żywych istot, gdy się nawzajem dotykały, oraz turkot kół tuż przy nich, potężny łoskot (Ez. 3, 12–13).

Ezechiel nie tylko dosyć dokładnie opisuje pojazd, ale odnotowuje także hałas, jaki wytwarzało to nigdy przedtem niewidziane monstrum. Zwraca uwagę na szum skrzydeł i hałaśliwy turkot kół. Czy opis naocznego świadka nie daje do myślenia? „Bogowie” rozmawiali z Ezechielem i nakazali mu, aby troszczył się o porządek i czystość w kraju. Wzięli go do swojego pojazdu, upewniając, że nie opuszczają jeszcze kraju. Przeżycie to wywarło silne wrażenie na Ezechielu, który będzie później niestrudzenie opisywać niezwykły pojazd. Jeszcze trzykrotnie napisze, że każde koło znajdowało się w środku innego koła, a cztery koła potrafiły poruszać się we wszystkie strony, nie zmieniając kierunku podczas ruchu. Szczególnie zafrapowało go, że cały korpus pojazdu, tył, ramiona i skrzydła, a nawet koła naszpikowane były oczami. Powód i cel podróży „bogowie” ujawnili mu później, mówiąc, że żyje pośród krnąbrnego plemienia, które ma oczy, by widzieć, jednak niczego nie dostrzega, ma uszy, by słyszeć, ale niczego nie słyszy. Po pogadance uświadamiającej Ezechiela o jego otoczeniu nastąpiły – jak we wszystkich opisach podobnych lądowań – porady i zalecenia dotyczące porządku i czystości, czyli ogólnie rzecz biorąc, wskazówki potrzebne do funkcjonowania porządnej cywilizacji. Ezechiel potraktował

zleczone mu zadanie bardzo poważnie i przekazał dalej uwagi „bogów”.

Znowu stajemy przed pytaniami.

Kto rozmawiał z Ezechielem? Kim były te istoty?

Na pewno nie byli to „bogowie” w tradycyjnym rozumieniu tego słowa, bo ci nie potrzebowaliby żadnego pojazdu, aby przenosić się z miejsca na miejsce. Zaprezentowany zaś sposób transportu wydaje się nie do pogodzenia z wyobrażeniem o wszechmocnym Bogu.

W Księdze nad Księgami jest informacja o jeszcze jednym wynalazku technicznym, o którym warto w tym kontekście obiektywnie opowiedzieć.

W II Księdze (25, 10) Mojżesz informuje o szczegółowych wskazówkach, jakich „Bóg” udzielał, do budowy Arki Przymierza. Instrukcje określały z dokładnością do jednego centymetra, jak i gdzie przymocować drążki i pierścienie oraz z jakiego stopu powinny być wykonane metale. Wskazówki te miały zapewnić dokładne sporządzenie dzieła, zgodnie z życzeniami „Boga”, który wielokrotnie upominał Mojżesza, aby ten nie popełnił żadnych błędów.

Bacz, abyś uczynił to według wzoru, który ci ukazano na górze
(II Mojż. 25, 40).

„Bóg” powiedział także Mojżeszowi, że sam będzie z nim rozmawiał, a mianowicie za pośrednictwem pokrywy. Nikomu nie wolno – surowo przykazywał Mojżeszowi – podchodzić do Arki Przymierza. Dał też dokładne wytyczne odnośnie do

ubrania i obuwia, jakie trzeba nosić podczas jej transportu. Mimo całej staranności doszło jednak do wypadku (II Sam. 6). Kiedy Dawid nakazał przeniesienie Arki Przymierza, Uzza szedł obok niej. Gdy ciągnące świętość woły szarpnęły i Arka się przechyliła, Uzza dotknął jej ręką i padł martwy, jak rażony piorunem.

Bez wątpienia Arka Przymierza była pod napięciem elektrycznym! Gdyby mianowicie zrekonstruować przekazane przez Mojżesza wskazówki, to powstałby kondensator o napięciu kilkuset woltów. Tworzyły go złote płytki, z których jedne były naładowane dodatnio, a inne ujemnie. Jeśli do tego jeden z dwóch cherubów na pokrywie Arki działał jako magnes, to powstały w ten sposób głośnik – a może nawet coś w rodzaju „domofonu” między Mojżeszem a statkiem kosmicznym – był urządzeniem perfekcyjnym. O szczegółach konstrukcyjnych Arki Przymierza można dokładnie przeczytać w Biblii. Jednak nawet nie zaglądając do źródła, pamiętamy, że wokół Arki często sypały się iskry, a Mojżesz zawsze, gdy potrzebował rady i pomocy, posługiwał się tym „nadajnikiem”. Mojżesz słyszał głos swego Pana, ale nigdy go nie zobaczył. Kiedy raz poprosił go, by mu się ukazał, otrzymał od „Boga” odpowiedź:

Nie możesz oglądać oblicza mojego, bo nie może mnie człowiek oglądać i pozostać przy życiu. I rzekł Pan: Oto miejsce przy mnie. Stań na skale. A gdy przechodzić będzie chwała moja, postawię cię w rozpadlinie skalnej i osłonię cię dłonią moją, aż przejdę. A gdy usunę dłoń moją, ujrzysz mnie z tyłu, oblicza mojego oglądać nie można (II Mojż. 33, 20–23).

Istnieją zaskakujące analogie z innymi źródłami. O wiele starszy sumeryjski epos o Gilgameszu dziwnym trafem zawiera na piątej tabliczce to samo zdanie:

Żaden śmiertelny nie wejdzie na górę, gdzie mieszkają bogowie.
Kto spojrzy w oblicze bogów, musi zginąć.

W wielu starych księgach, relacjonujących fragmenty historii ludzkości, występują bardzo podobne opowieści. Dlaczego „bogowie” nie chcieli ukazać ludziom swego oblicza? Dlaczego nie chcieli zdjąć masek? Czego się obawiali? A może opowieść z II Księgi Mojżeszowej pochodzi zgoła z eposu o Gilgameszu? Jest to również możliwe; w końcu Mojżesz wychowywał się podobno na dworze królewskim w Egipcie. Być może miał wówczas dostęp do bibliotek lub w inny sposób dowiedział się o starych, tajemnych sprawach.

Może będziemy musieli postawić pod znakiem zapytania datowanie Starego Testamentu, bo wiele przemawia za tym, że o wiele później żyjący Dawid walczył jeszcze z olbrzymami, którzy mieli „po sześć palców u rąk i nóg, czyli razem dwadzieścia cztery” (II Sam. 21, 18–21). Trzeba wziąć pod uwagę i taką możliwość, że wszystkie te prastare historie, legendy i opowieści zostały zebrane w jednym miejscu, a następnie w kopiach i z nieco pomieszanyymi wzajemnie wątkami krążyły po świecie.

Teksty z Qumran, znalezione w minionych latach nad Morzem Martwym, stanowią cenne i zadziwiające uzupełnienie biblijnej Księgi Rodzaju. Tu także w wielu nieznanym przedtem

pismach pojawiają się opowieści o niebiańskich wehikułach, o synach niebios, o kołach i dymie, który otaczał latające obiekty. W Apokalipsie Mojżeszowej (rozdział 33) czytamy, jak Ewa spojrzała ku niebu i zobaczyła zbliżający się wóz świetlisty, ciągnięty przez cztery lśniące orły. Żadna ziemská istota nie byłaby w stanie opisać tego wspaniałego zjawiska – czytamy u Mojżesza. W końcu wóz podjechał do Adama, a spomiędzy kół wydobył się dym. Historia ta, opowiedziana na marginesie, nie przekazuje nam wiele nowego; jednak już w związku z Adamem i Ewą po raz pierwszy mówi się o świetlistych wozach, kołach i dymie jako o wspaniałych zjawiskach.

W tzw. zwoju Lamecha udało się odczytać rewelacyjną historię. Choć zachowały się tylko fragmenty tekstu i brakuje w nim całych zdań i akapitów, jednak to, co pozostało, zasługuje na relację, bo jest bardzo osobliwe.

Pewnego pięknego dnia Lamech, ojciec Noego, przybywszy do domu, zdziwił się obecnością jakiegoś chłopca o wyglądzie zupełnie odmiennym od reszty rodziny. Zrobił zatem swej żonie Bat-Enosz awanturę, twierdząc, że nie jest to jego dziecko. Ta jednak przysięgała na wszystkie świętości, że nasienie pochodziło od niego właśnie – Lamecha, nie zaś od jakiegoś żołnierza, ani obcego, ani od jednego z „synów Niebios”. (Zapytajmy, nawiasem mówiąc, o jakich to „synach Niebios” mówiła Bat-Enosz? Wszak ten rodzinny dramat wydarzył się przed potopem). Lamech nie wierzył jednak zapewnieniom połowicy i do głębi zaniepokojony wyruszył do swego ojca Matuzalema pytać o radę. Przybywszy, opowiedział mu tę

pożałowania godną rodzinną historię. Matuzalem wysłuchał, pomyślał i sam wyruszył w drogę, by poradzić się mądrego Henocha. Kukułcze jajo wywołało tyle zamieszania w rodzinie, że starszy pan podjął się trudów dalekiej podróży, aby zdobyć jasność co do pochodzenia chłopca. Matuzalem opowiedział, że w rodzinie jego syna pojawił się jakiś chłopak, który wygląda bardziej na syna nieba niż na człowieka, bo jego oczy, włosy, skóra i cała postać nie pasują do pozostałej rodziny.

Mądry Henoch wysłuchał opowieści i odesłał Matuzalema w drogę powrotną z niesłychanie niepokojącą wiadomością, że dojdzie oto do wielkiego sądu nad Ziemią i ludźmi, a wszelkie „mięso” będzie zniszczone, bo jest zepsute i brudne. Jednak ten tak podejrzany dla rodziny obcy malec przeznaczony jest na założyciela rodu tych, którzy przeżyją wielki sąd nad światem. Dlatego Matuzalem powinien polecić Lamechowi, by nazwał dziecko imieniem Noe. Matuzalem powraca i informuje syna o tym, co ich wszystkich czeka. Cóż pozostaje Lamechowi innego, niż uznać niezwykle dziecko za własne i nadać mu imię Noe!

W opowiadaniu zwraca uwagę, że już rodzice Noego zostali poinformowani o mającym nadejść potopie i że dziadek Matuzalem został przygotowany na straszliwe wydarzenie przez tego samego Henocha, który wkrótce potem zgodnie z przekazem na zawsze zniknął w wozie ognistym.

W związku z tym całkiem poważnie nasuwa się pytanie, czy rasa ludzka nie powstała w wyniku celowej „hodowli” prowadzonej przez istoty z kosmosu. Jaki bowiem inny sens miałyby ciągle powtarzające się zapładnianie ludzkości przez

olbrzymów i synów Niebios wraz z następującą potem zagładą nieudanych egzemplarzy? Z tego punktu widzenia potop staje się zaplanowanym, z góry posunięciem obcych istot, mającym zniszczyć rasę ludzką z wyjątkiem nielicznych szlachetnych egzemplarzy. Skoro jednak potop, którego istnienie jest historycznie dowiedzione, został z zimną krwią zaplanowany i przygotowany – i to jeszcze kilkaset lat wcześniej, zanim Noe otrzymał polecenie budowy arki – to nie sposób uznać go za sąd boski.

Teza o wyhodowaniu inteligentnej rasy ludzkiej nie brzmi już dzisiaj absurdalnie. O ile legendy z Tiahuanaco i napis na szczycie Bramy Słońca informują o statku kosmicznym, którym na Ziemię przybyła w celach rozrodczych pramatka, o tyle stare święte pisma niestrudzenie podają, że „Bóg” stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Według niektórych tekstów posłużono się w tym celu różnymi eksperymentami, zanim człowiek był tak udany, jak chciał tego „Bóg”. Konsekwencją wynikającą z hipotezy o odwiedzinach kosmitów na Ziemi byłoby założenie, że współcześni ludzie są podobni do tych legendarnych obcych istot ze Wszechświata.

W naszym łańcuchu dowodowym przedziwną zagadkę stanowią dary ofiarne, jakich „bogowie” domagali się od naszych przodków. Bynajmniej nie żądano bowiem tylko kadzideł i zwierząt ofiarnych! Na liście zamówień znajdowały się często monety o dokładnie określonym stopie metali. W Ezeon-Geber znaleziono największe na starożytnym Wschodzie urządzenie do wytapiania metali: prostokątny, wprost

nowoczesny piec z systemem kanałów powietrznych, kominów i celowo rozmieszczonych otworów. Współcześni eksperci od hutnictwa głowią się nad niewyjaśnionym do tej pory fenomenem, w jaki sposób w tym pradawnym urządzeniu wytapiano miedź. O tym, że tak niewątpliwie było, przekonują znajdowane w jaskiniach i sztolniach wokół Ezeon-Geber duże ilości siarczanu miedzi. Wiek tych znalezisk szacuje się na 5000 lat.

Nasi kosmonauci, jeśli pewnego dnia spotkają na jakiejś planecie istoty prymitywne, wydadzą się im przypuszczalnie również „synami Niebios” lub „bogami”. Być może nasi wysłannicy na tych nieznanym obszarach będą cywilizacyjnie wyprzedzać tubylców w takim samym stopniu, w jakim legendarni przybysze ze Wszechświata przewyższali w rozwoju naszych pradziadów. Jakże jednak byłoby rozczarowanie, gdyby w tej jeszcze nieznanym krainie czas płynął szybciej i nasi astronauta nie zostaliby powitani jako „bogowie”, lecz wyśmiani jako istoty nader zacofane?

Rozdział 5

„Bogowie” i ludzie chętnie łączyli się w pary

Kolejna rewia nowych pojazdów

Parę danych o sile przyspieszenia

Pierwsze sprawozdanie z podróży kosmicznej

Mówi osoba, która przeżyła potop

Co to jest „prawda”?

Na przełomie XIX i XX wieku na wzgórzu Kujundżyk dokonano głośnego znaleziska. Była to epepeja o wielkiej sile wyrazu, zapisana na 12 glinianych tabliczkach, które należały do biblioteki asyryjskiego króla Assurbanipala. Dzieło zostało napisane w języku akadyjskim, potem znaleziono drugi egzemplarz, wywodzący się z czasów króla Hammurabiego.

Badacze jednomyślnie stwierdzili, że pierwotną redakcję eposu o Gilgameszu zawdzięczamy Sumerom, tajemniczemu ludowi, którego pochodzenia nie znamy, a który pozostawił nam zadziwiające sekwencje liczb i imponującą wiedzę

astronomiczną. Nie ulega też wątpliwości, że główny wątek eposu wykazuje podobieństwa do biblijnej Księgi Rodzaju.

Pierwsza znaleziona w Kujundżyk tabliczka podaje, że zwycięski bohater Gilgamesz wznosił mury wokół miasta Uruk. Czytamy, że „syn Niebios” zamieszkał we wspaniałym domu ze spichlerzem zbożowym, a na murach miejskich czuwali strażnicy. Z tekstu można się dowiedzieć, że Gilgamesz był bosko-ludzkim mieszańcem: w dwóch trzecich – „bogiem”, zaś w jednej trzeciej – człowiekiem. Przybywających do Uruk pielgrzymów widok jego ciała napawał podziwem i lękiem, bo nigdy przedtem nie widzieli kogoś równie pięknego i silnego. Znowu więc na początku opowieści pojawia się idea o wspólnym poczęciu przez „boga” i człowieka.

Druga tabliczka informuje, w jaki sposób bogini Aruru stworzyła innego bohatera utworu – Enkidu. Jest on opisany bardzo dokładnie: owłosiony na całym ciele, nie ma żadnej wiedzy, ubrany w skóry, żywi się polnym zieleń, pije razem z bydlęciem u tego samego wodopoju i tapla się w wodach rzeki.

Kiedy Gilgamesz, władca miasta Uruk, dowiedział się o tej niezbyt pociągającej istocie, polecił dać prymitywowi jakąś ładną kobietę, aby odciągnęła go od świata zwierząt. Prymitywny Enkidu wpadł w królewską zasadzkę (nie wiadomo, czy zadowolony) i spędził sześć dni i sześć nocy z półboską pięknnością. Ten drobny przykład królewskich swatów daje do myślenia, bo w świecie barbarzyńskim idea połączenia się półboga z półbestią wcale nie była rozpowszechniona.

Z kolei trzecia tabliczka mówi o chmurze, która nadeszła z daleka. Niebo zagrzmiało, ziemia się zatrzęsała i zjawił się „Bóg Słońca”, który pochwycił Enkidu w swe potężne szpony i uniósł się z nim na skrzydłach. Czytamy ze zdziwieniem, że na ciele Enkidu położył się wówczas ołowiany ciężar, a jemu samemu własne ciało wydało się ciężkie jak skała.

Nawet jeśli przypiszemy dawnym autorom nie mniejszą dozę fantazji, niż przyznajemy ją sobie samym, i odrzucimy dodatki wprowadzone przez tłumaczy i kopistów, to nadal pozostaje jeszcze pytanie: skąd dawni kronikarze mogliby wiedzieć, że ciało podczas przyspieszenia staje się ciężkie jak ołów? My znamy prawa grawitacji i przyspieszenia i wiemy, że podczas startu siła ciężenia wciśnie astronautę w fotel.

Jakaż fantazja podsunęła jednak taką ideę dawnym autorom?

Piąta tabliczka opowiada, jak Gilgamesz i Enkidu wyruszyli w drogę, by wspólnie zwiedzić siedzibę „bogów”. Z daleka już widać było promieniującą wieżę, w której mieszkała bogini Irninis. Strzały i pociski, które obaj, jako ostrożni wędrowcy, miotali w stronę strażników, odbijały się od nich, nie czyniąc żadnej krzywdy. A kiedy dotarli do posesji „bogów”, jakiś głos zahuczał:

Wracajcie! Żaden śmiertelny nie wejdzie na świętą górę, gdzie mieszkają bogowie, kto zobaczy oblicze bogów, ten musi umrzeć.

„Nie możesz oglądać oblicza mojego, bo nie może mnie człowiek oglądać i pozostać przy życiu...” – czytamy w II

Księdze Mojżeszowej.

Siódma tabliczka zawiera sprawozdanie pierwszego naocznego świadka podróży kosmicznej, przekazane przez Enkidu, który przez cztery godziny leciał w spiżowych szponach orła. Oto dosłowny tekst:

Powiedział do mnie: Spójrz w dół, na ziemię! Jak ona wygląda? Patrz na morze! Co ci przypomina? I ziemia była jak góra, a morze jak mały zbiornik. I znowu leciał wyżej, przez cztery godziny, i powiedział do mnie: Spójrz w dół, na ziemię! Jak wygląda? Patrz na morze! Co ci przypomina? I ziemia była jak ogród, a morze jak potok wody. I ponownie leciał cztery godziny jeszcze wyżej i powiedział: Spójrz w dół na ziemię! Jak wygląda? Patrz na morze! Co ci przypomina? I ziemia wyglądała jak papka mączna, a morze jak koryto wodne.

Ktoś rzeczywiście musiał mieć okazję obserwowania kuli ziemskiej z dużej wysokości! Opis jest bowiem zbyt wierny, aby mógł być wytworem czystej fantazji! Kto mógł wówczas wiedzieć, że ląd przypomina papkę mączną, a morze koryto wodne, skoro ludzie nie mieli jeszcze najmniejszego wyobrażenia widoku kuli ziemskiej „z góry”? A ze znacznej wysokości Ziemia istotnie robi wrażenie układanki z papki mącznej i koryt wodnych.

Ta sama tabliczka opowiada o drzwiach mówiących niczym żywy człowiek, w których bez trudu rozpoznajemy głośnik. Ten sam Enkidu, który najpewniej obserwował Ziemię ze znacznej wysokości, umiera – jak czytamy na ósmej tabliczce – na tajemniczą chorobę, tak dziwną, że Gilgamesz pyta, czy nie dosięgnęło go może trujące tchnienie „zwierzęcia z nieba”. Skąd

jednak Gilgamesz mógł przypuszczać, że trujący oddech takiej istoty może spowodować śmiertelną, nieuleczalną chorobę?

Dziewiąta tabliczka przedstawia, jak Gilgamesz opłakuje śmierć swego przyjaciela i postanawia wybrać się w długą podróż do bogów, ponieważ nie opuszcza go obawa, że mógłby umrzeć na to samo schorzenie, co Enkidu. Gilgamesz dotarł do dwóch podtrzymujących niebo gór, między którymi wznosiła się Brama Słońca. Przed bramą spotkał olbrzymów, którzy przepuścili go po dłuższej wymianie zdań, bo był przecież w dwóch trzecich bogiem. W końcu Gilgamesz znalazł siedzibę bogów, za którą rozciągało się nieskończenie rozległe morze. Bogowie dwukrotnie ostrzegli przechodzącego Gilgamesza:

Gilgameszu, dokąd idziesz? Nie znajdziesz tego życia, którego poszukujesz. Kiedy bogowie stworzyli ludzi, przeznaczili im śmierć, wieczne życie zachowali tylko dla siebie.

Gilgamesz nie zważał na ostrzeżenia, zdecydowany, bez względu na wszelkie niebezpieczeństwa, dotrzeć do Utnapisztima, ojca ludzi. Utnapisztim żył jednak po drugiej stronie wielkiego morza, nie prowadziła do niego żadna droga, nie dolatywał z wyjątkiem Boga Słońca żaden statek. Wystawiając się na wielorakie niebezpieczeństwa, Gilgamesz przeszedł morze i jedenasta tabliczka ukazuje jego spotkanie z Utnapisztimem.

Gilgamesz zauważył, że ojciec ludzi pod względem postury nie jest ani wyższy, ani grubszy od niego, i doszedł do wniosku, że są do siebie podobni jak syn i ojciec. Utnapisztim

opowiedział Gilgameszowi swoje dzieje, dziwnym trafem, w pierwszej osobie.

Ku naszemu zdziwieniu Utnapisztim dokładnie opowiada o potopie, mówi, że „bogowie” ostrzegli go przed nadchodzącą wielką wodą i polecili zbudować barkę, na której miały znaleźć schronienie kobiety i dzieci, jego krewni oraz przedstawiciele wszelkich rzemiosł. Opis nawałnicy, ciemności, podnoszących się wód i rozpaczy ludzi, których nie był w stanie zabrać, jeszcze dzisiaj robi na czytelniku duże wrażenie. Podobnie jak w biblijnej historii Noego występuje tu wątek wypuszczonego kruka i gołębia. Kiedy zaś w końcu wody opadły, barka osiadła na górze. Podobieństwa między potopem biblijnym a opisanym w eposie są niewątpliwe, nie kwestionuje ich także żaden badacz. Fascynująca w tym podobieństwie jest okoliczność, że w obu przypadkach mamy do czynienia z innymi zwiastunami nieszczęścia i innymi „bogami”.

O ile biblijna opowieść pochodzi z drugiej ręki, o tyle stosowana w relacji Utnapisztima forma pierwszej osoby liczby pojedynczej wskazuje, że do głosu doszedł naoczny świadek.

Fakt katastrofalnej powodzi na starożytnym Wschodzie przed kilkoma tysiącami lat jest potwierdzony. Starobabilońskie teksty zapisane pismem klinowym podają bardzo dokładnie, gdzie można znaleźć resztki barki. Na południowym zboczu góry Ararat znaleziono trzy kawałki drewna, które być może wskazują miejsce, gdzie osiadła barka. Jednak szanse znalezienia resztek statku, zbudowanego głównie z drewna,

który przed ponad 6000 lat przetrwał potop, są wyjątkowo nikle.

Epos o Gilgameszu zawiera nie tylko najstarsze relacje, ale także utopijne opisy, które nie mogły zostać wymyślone ani przez żadną osobę współczesną powstaniu tabliczek, ani przez tłumaczy lub kopistów w następnych stuleciach. W opisach tych ukryte są bowiem fakty, które – jak to obecnie widzimy – musiały być znane autorom eposu.

Czy nowe pytania mogłyby rozświetlić nieco ciemności? Czy możliwe jest, aby akcja eposu o Gilgameszu wcale nie rozgrywała się na starożytnym Wschodzie, lecz w rejonie Tiahuanaco? Może potomkowie Gilgamesza przybyli z Ameryki Południowej, przywożąc ze sobą epopeję? Twierdząca odpowiedź na te pytania wyjaśniałaby wzmiankę o Bramie Słońca, przeprawę bohatera przez morze, a zarazem nagłe pojawienie się Sumerów, ponieważ wszystkie dzieła późnego Babilonu wywodzą się oczywiście od nich! Bez wątpienia Egipt faraonów dysponował bibliotekami, w których przechowywano pradawne tajemnice, przepisywano je, uczono się ich i nauczano o nich. Mojżesz, który – jak już pisaliśmy – wychowywał się na dworze egipskich faraonów, z pewnością miał dostęp do szacownych bibliotecznych sal. Był on człowiekiem pojętym i uczonym, i podobno pierwszym autorem pięciu ksiąg biblijnych, choć do dzisiaj pozostaje zagadką, w jakim języku mógłby je zredagować.

Przyjmijmy hipotezę, że epos o Gilgameszu dotarł od Sumerów do Egiptu za pośrednictwem Asyryjczyków i

Babilończyków, zaś młody Mojżesz odkrył go i przystosował do swoich celów. Wówczas jednak sumeryjska, a nie biblijna opowieść o potopie byłaby autentyczna...

Czy nie wolno stawiać takich pytań? Wydaje się nam, że tradycyjna metoda badania prehistorii znalazła się w martwym punkcie i nie jest w stanie przynieść trafnych i niepodważalnych wyników. Za bardzo jest związana z obowiązującym paradygmatem, w rezultacie czego brakuje już miejsca na fantazje i spekulacje, a tylko one mogłyby przydać jej twórczego impulsu.

Wiele inicjatyw badawczych na starożytnym Wschodzie upadło ze względu na przekonanie o nienaruszalności i świętości ksiąg Biblii. Zabrakło odwagi, aby zakwestionować tabu i głośno wyrazić wątpliwości. Tak oświeceni rzekomo badacze XIX i XX wieku byli duchowo skrupowani więzami starych, liczących tysiące lat błędów. Rzetelne badanie przeszłości musiałoby bowiem zakwestionować niektóre informacje z Biblii. Przy tym nawet bardzo religijni chrześcijanie zrozumieliby, że wiele z opisanych w Starym Testamencie spraw absolutnie nie da się pogodzić z ideą dobrego, wielkiego i wszechobecnego Boga. Właśnie ludzie pragnący zachować nienaruszalność idei religijnych Biblii muszą lub powinni być zainteresowani wyjaśnieniem, kto wychował ludzi w starożytnych czasach, przekazał im pierwsze zasady współżycia społecznego, przybliżył zasady higieny i wreszcie kto skazał na zagładę osobniki zdegenerowane.

Nasz sposób myślenia i stawiane pytania nie znaczą, że jesteśmy bezbożnikami. Wyrażamy głębokie przekonanie, że kiedy ostatnia zagadka naszej przeszłości doczeka się prawdziwego i przekonywającego wyjaśnienia, to w nieskończoności pozostanie jeszcze COŚ, co z braku lepszego określenia nazywamy BOGIEM.

Jednak przypuszczenie, że niewyobrażalny Bóg potrzebował jako środka komunikacji pojazdów z kołami i skrzydłami, wchodził w związki z prymitywnymi ludźmi i nie pozwalał odsłonić swej twarzy, pozostaje – dopóki nie ma na to dowodów – niesłychanym nadużyciem. Odpowiedź teologów, że Bóg jest mądry i nie możemy mieć pojęcia, w jaki sposób zechce się objawić i uczynić ludzi sobie poddanymi, nie leży w dziedzinie naszych dociekań i jest niezadowolająca. Istnieje tendencja do zamykania oczu także na nowe fakty, jednak każdego kolejnego dnia przyszłość odsłania nieco naszą przeszłość. Niedługo pierwsi ludzie wylądują na Marsie. Jeśli znajdzie się tam jedna jedyna prastara, dawno już opuszczona budowla albo choćby jeden przedmiot wskazujący na pochodzenie od istot rozumnych, na przykład jakieś nieznane ludziom malowidło naskalne, to znaleziska te zakwestionują nasze religie i wywrócą do góry nogami całą wiedzę o przeszłości. Jedno takie odkrycie zapoczątkuje największą rewolucję i reformację w dziejach ludzkości.

Czy w związku z nieuniknioną konfrontacją z przyszłością nie byłoby mądrzej zastanowić się nad pełnymi fantazji ideami z naszej przeszłości? Choć w żadnym wypadku niepozbawieni

wiary, nie możemy sobie jednak pozwolić na łatwowierność. Każda religia ma pewien obraz swego boga i wyobrażenie to wyznacza ramy, w jakich wyznawcy myślą i wierzą. Tymczasem wraz z erą lotów kosmicznych coraz bardziej zbliża się do nas dzień Sądu Ostatecznego. Teologiczne chmury ulotnią się jak strzępy mgły. Pierwszy decydujący krok w kosmosie uświadomi nam, że nie ma dwóch milionów bogów ani dwudziestu tysięcy kultów, ani dziesięciu wielkich religii, lecz tylko jedna.

Rozwijajmy jednak dalej naszą hipotezę utopijnej przeszłości rodzaju ludzkiego! Wyglądałaby ona następująco. W zamierzchłych, trudnych jeszcze do określenia czasach obcy statek kosmiczny odkrył naszą planetę. Jego załoga szybko stwierdziła, że Ziemia ma wszelkie warunki do powstania istot rozumnych. Rzecz jasna, ówczesny „człowiek” nie należał jeszcze do gatunku *Homo sapiens*, lecz był jakąś inną istotą...

Kosmici sztucznie zapłodnili kilka żeńskich istot, wprowadzili je – jak opowiadają stare legendy – w stan głębokiego snu i odjechali. Wróciwszy po tysiącach lat, zastali pojedyncze egzemplarze gatunku *Homo sapiens*. Kilkakrotnie powtarzali zabieg uszlachetniania rasy, aż w końcu narodziły się istoty o inteligencji na tyle rozwiniętej, że można je było nauczyć zasad życia społecznego. Jednak ludzie nadal byli barbarzyńcami. Istniało niebezpieczeństwo uwstecznienia gatunku i ponownego krzyżowania się ze zwierzętami. W tej sytuacji kosmici zniszczyli nieudane osobniki albo wzięli je ze sobą, by osadzić na innych kontynentach. Zaczęły powstawać pierwsze

grupy społeczne i wykształcały się pierwsze umiejętności: malowano ściany skał i jaskiń, wynaleziono garncarstwo, powodzeniem zakończyły się pierwsze próby architektoniczne.

Pierwsi ludzie mieli niesłychany respekt przed obcymi kosmonautami, którzy przybywali znikąd, a potem gdzieś znikali i dlatego zostali uznani za „bogów”. Z nieznanego powodu „bogowie” byli zainteresowani rozwojem istot rozumnych. Opiekowali się wyhodowanymi podopiecznymi, chronili ich przed degeneracją i nie dopuszczali do nich zła. Chcieli skierować te prymitywne istoty na tory pozytywnej ewolucji. Nieudane osobniki eliminowali w trosce o to, aby pozostali mogli zorganizować się w zdolne do rozwoju społeczeństwo.

Zgadzą się, że spekulacje te tworzą konstrukcję o wielu lukach. „Nie ma dowodów” – powiedzą nam. Ile z tych luk zostanie wypełnionych, pokaże przyszłość. Nasza książka stawia tylko zbudowaną z wielu spekulacji hipotezę, która w żadnym wypadku nie musi być prawdziwa. Jednak porównując ją z teoriami, dzięki którym wiele religii żyje wygodnie pod osłoną swych tabu, skłonni jesteśmy także dla naszej hipotezy upomnieć się o minimalny choćby stopień prawdopodobieństwa.

Nie zaszkodzi chyba powiedzieć w tym miejscu paru słów o „prawdzie”. Uwagi te dotyczą nie tylko chrześcijan, lecz w równym stopniu wyznawców innych wielkich i małych religii. Teozofowie, teolodzy i filozofowie, zastanawiając się nad swoimi naukami, nad swoim mistrzem i jego nauką, są

przekonani, że znaleźli „prawdę”. Oczywiście każda religia ma swoje dzieje i dane przez boga obietnice, ma własne układy z bogiem, ma jego proroków i swoich mądrych „ojców Kościoła”, którzy powiedzieli, że... Dowody „prawdy” wywodzą się zawsze z własnej religii. Wynikiem tego jest skrepowany światopogląd, w którego ramach od wczesnego dzieciństwa uczeni jesteśmy myśleć i wierzyć w taki, a nie inny sposób. Całe pokolenia żyły i żyją jednak w przekonaniu, że posiadły „prawdę”.

Jesteśmy bardziej skromni i uważamy, że „prawdy” nie można mieć. W najlepszym wypadku można w nią wierzyć. Ktoś, kto rzeczywiście szuka prawdy, nie może jej poszukiwać tylko w obrębie własnej religii. Czy nie byłoby to nieuczciwe? Czy sensem i celem życia jest wiara w „prawdę”, czy jej szukanie? Nawet jeśli archeologia potwierdzi w Mezopotamii informacje Starego Testamentu, to przecież tak zaświadczone fakty nie stanowią jeszcze dowodów na prawdziwość religii. Odkrycie gdzieś prastarych miast, wsi, studni czy pism potwierdza, że dzieje danego ludu są autentyczne. Ale nie oznacza to automatycznie, że bóg tego ludu był jedyną istotą boską, a nie przybyszem z kosmosu.

Współczesne wykopaliska na całym świecie świadczą o zgodności przekazów literackich z odkrywanymi faktami. Czy jednak na podstawie wykopalisk choć jeden wyznawca na przykład chrześcijaństwa byłby skłonny uznać bóstwo preinkaskiej cywilizacji za „prawdziwego” boga? Uważamy po prostu, że wszystkie przekazy są mitami lub pogłosem

wydarzeń przeżytych przez dany lud. Niczym więcej, ale jest to, jak sądzimy, i tak bardzo dużo.

Kto zatem rzeczywiście szuka prawdy, nie może odrzucać nowych i śmiałych, choć niedowiedzionych jeszcze też tylko dlatego, że nie pasują one do jego schematu myślowego lub religijnego. Sto lat temu nie było lotów kosmicznych i co za tym idzie nasi ojcowie i dziadkowie nie mieli powodu zastanawiać się, czy nasi dalecy przodkowie doświadczyli odwiedzin z kosmosu. Przyjmijmy straszne, ale niestety możliwe założenie, że nasza obecna cywilizacja zostałaby całkowicie zniszczona przez wojnę jądrową. Po upływie 5000 lat archeolodzy znaleźliby fragmenty nowojorskiej Statui Wolności. Zgodnie z obowiązującym dzisiaj schematem przyszli badacze powinni utrzymywać, że chodzi o jakąś nieznaną istotę boską – prawdopodobnie bóstwo ognia (z powodu pochodni) lub bóstwo słoneczne (z powodu promieni wokół głowy posągu). Pozostając przy obecnych schematach, nikt nie odważyłby się powiedzieć, że może chodzić o rzecz całkiem prostą, mianowicie o posąg wolności.

Blokowanie dróg do przeszłości przez dogmaty wiary jest już niemożliwe.

Jeśli chcemy podjąć trud poszukiwania prawdy, musimy zdobyć się na wielką odwagę, opuszczając dotychczasowe koleiny myślenia i od początku podając w wątpliwość wszystko, co przyjmowaliśmy za słuszne i prawdziwe. Czy możemy pozwolić sobie na zamykanie oczu i zatykanie uszu, ponieważ nowe myśli wydają się heretyckie i nierozsądne?

Przecież myśl o lądowaniu na Księżycu była przed przeszło 50 laty też z całą pewnością nierozsądna.

Rozdział 6

**Wszyscy dawni pisarze mieli tę samą zwariowaną
fantazję?**

Kolejne „rydwany niebiańskie”

Wybuch bomby wodorowej w starożytności?

W jaki sposób bez teleskopu odkryto planety?

Osobliwy kalendarz według Syriusza

Na Północy bez zmian

Gdzie były stare księgi?

Wspomnienia o nas w roku 6965

Co zostanie po nas po totalnej zagładzie?

Nasze dotychczasowe uwagi i obserwacje prowadzą do wniosku, że w czasach starożytnych występowały zjawiska, których zgodnie z utartymi poglądami nie powinno było być.

Jednak nasz kolekcjonerski zapal nie konczy sie na zgromadzonym dotad materiale.

Takze mity Eskimosow podaja, ze pierwsze plemiona zostaly przyniesione na polnoc przez „bogow” o spizowych skrzydlach! Najstarsze legendy Indian mowia o grzmiacym ptaku, ktory dal im ogien i plody rolne. Wreszcie mitologia Majow, *Popol Vuh*, przekazuje, ze „bogowie” wiedzieli o wszystkim: o Wszechswiecie, czterech stronach swiata, a nawet o kulistym ksztalcie Ziemi.

Skad wzely sie eskimoskie fantazje o metalowych ptakach? Dlaczego Indianie mowia o jakimis grzmiacym ptaku? Skad przodkowie Majow mieliby wiedziec, ze Ziemia jest kulista?

Majowie byli ludem wykszalconym, dysponowali wysoko rozwinieta kultura. Pozostawili w spadku nie tylko legendarny kalendarz, lecz rowniez niewiarygodne obliczenia. Zнали rok wenusjanski o 584 dniach, a dlugosc roku ziemskiego obliczyli na 365,2420 dnia, podczas gdy wspolczesny dokladny pomiar wynosi 365,2422 dnia! Majowie przekazali nam obliczenia siegajace 64 000 000 lat, zas w pozniejszych zapisach poslugiwali sie nawet jednostkami czasu siegajacymi prawdopodobnie 400 000 000 lat. Slynne „rownanie Wenus” mogloby rownie dobrze byc wynikiem pracy mozgu elektronicznego. Trudno doprawdy pojac, ze pochodzi ono od ludu zamieszkujacego dzungle! Rownanie Wenus przedstawia sie nastepujaco:

Tzolkin ma 260 dni, rok ziemski – 365, a rok wenusjanski – 584. Cyfry te kryja zadziwiajaca podzielnośc: 365 dzieli sie

przez 73 pięć razy, zaś 584 – osiem razy.

Oto postać tego zadziwiającego równania:

$$\text{(Księżyc)} 20 \times 13 \times 2 \times 73 = 260 \times 2 \times 73 = 37\,960$$

$$\text{(Słońce)} 8 \times 13 \times 5 \times 73 = 104 \times 5 \times 73 = 37\,960$$

$$\text{(Wenus)} 5 \times 13 \times 8 \times 73 = 65 \times 8 \times 73 = 37\,960$$

Po 37 960 dniach zatem wszystkie te cykle się zbiegają. Zgodnie z mitologią „bogowie” mieliby udać się wówczas na wielki odpoczynek.

Preinkaskie ludy przekazywały w swoich podaniach o bogach, że gwiazdy były zaludnione, a „bogowie” przybywali do nich z gwiazdozbioru Plejad. Pisma sumeryjskie, asyryjskie, babilońskie i egipskie przedstawiają zawsze ten sam obraz. „Bogowie” przybywali z gwiazd i wracali na nie, podróżowali po niebie statkami ognistymi lub barkami, posiadali niezwykłą broń, a poszczególnym ludziom obiecywali nieśmiertelność.

Jest całkowicie zrozumiałe, że dawne ludy poszukiwały bogów na niebie i puszczały wodze fantazji, aby jak najwspanialej przedstawić niepojęte zjawiska. Nawet jeśli weźmiemy to wszystko pod uwagę, pozostaje jednak zbyt dużo niespójności.

Skąd na przykład autorzy *Mahabharaty* wiedzieli, że może być broń, która potrafi ukarać kraj dwunastoletnią suszą? Broń dostatecznie potężna, by unicestwić płody w łonie matek? Indyjski epos *Mahabharata* jest obszerniejszy niż Biblia i nawet według ostrożnych szacunków powstał w swym trzonie co

najmniej przed 5000 lat. W pełni opłaca się przeczytać to dzieło pod nowym kątem widzenia.

Już prawie nie jesteśmy w stanie dziwić się, gdy z *Ramajany* dowiadujemy się, że wimany, czyli latające maszyny, poruszały się na znacznych wysokościach, wykorzystując rtęć i wielki „wiatr napędowy”. Wimany były w stanie przemierzać nieskończone odległości. Jeździć z dołu do góry, z góry na dół i z tyłu do przodu. Zaiste godna pozazdroszczenia sterowność statków kosmicznych! Nasz cytat pochodzi z tłumaczenia dokonanego przez N. Dutta (Anglia, 1891):

Z rozkazu Ramy wspaniała wóz wzniósł się z wielkim hałasem
na górę chmur...

Zwróćmy uwagę, że mowa jest znowu nie tylko o latającym obiekcie, lecz że kronikarz mówi też o ogromnym hałasie. A oto inny fragment z *Mahabharaty*:

Bhima leciał w swojej wimanie na niezwykłym promieniu, który
miał blask Słońca i którego hałas przypominał grzmot burzy (C.
Roy, 1889).

Jednak także fantazja potrzebuje jakichś podstaw. Jakim sposobem kronikarz mógł przedstawić coś, co sugeruje wyobrażenie o raketach, i wiedział, że taki pojazd może kursować „na promieniu”, powodując niesamowity hałas?

W *Samsaptakabadha* odróżnia się wozy latające od takich, które nie mają tej zdolności. Pierwsza księga *Mahabharaty* zdradza intymną historię niezamężnej Kunti. W wyniku odwiedzin Boga Słońca zrodziła ona syna, podobno równie jak

Słońce olśniewającego. Ponieważ Kunti obawiała się – już w tamtych czasach! – hańby, włożyła dziecko do koszyka, który puściła z prądem rzeki. Pewien dzielny mąż o imieniu Adhirata z kasty Suta wyłowił koszyczek z wody i zajął się wychowaniem dziecka. Historia nie byłaby może godna wspomnienia, gdyby nie była tak bardzo podobna do losów Mojżesza. Po raz kolejny pojawia się też ciągle obecny motyw zapładniania ludzi przez „bogów”. Bohater *Mahabharaty* Ardżuna podejmuje, podobnie jak Gilgamesz, daleką podróż, aby odnaleźć bogów i wyprosić u nich broń. Kiedy po licznych niebezpieczeństwach znalazł ich wreszcie, spotkał się z nim osobiście sam Indra, pan niebios, u boku swej małżonki Sachi. Obydwoje gościnnie przyjęli dzielnego Ardżunę nie byle gdzie, bo w niebiańskim rydwaniu, i zaprosili go nawet do wspólnej przejażdżki po niebie.

W *Mahabharacie* znajdują się tak dokładne dane liczbowe, że powstaje wrażenie, iż autor całkiem dokładnie wiedział, o czym pisze. Pełen zgrozy opisywał broń, która była w stanie zabić wszystkich wojowników, noszących na sobie kawałki metalu. Jeśli żołnierze dostatecznie szybko zorientowali się, że została użyta, zrywali z siebie natychmiast wszystkie metalowe przedmioty, wskakiwali do rzeki, myli dokładnie ciało i wszystkie rzeczy, których dotykali. Mieli ku temu, jak pisze autor, dostateczne powody, bo pod wpływem broni wypadały włosy i odpadały paznokcie u palców rąk i nóg. Wszystkie żywe istoty, ubolewał autor, stawały się blade i słabe.

W księdze ósmej ponownie spotykamy Indrę w jego niebiańskim promienistym wozie. Spośród wszystkich ludzi

wybrał on Judhiszthire, któremu jako jedynemu wolno było wstąpić do nieba w śmiertelnej powłoce. I w tym wypadku nie da się przeoczyć podobieństwa do opowiadań o Henochu i Eliaszu.

Ta sama księga opisuje (co jest być może pierwszym sprawozdaniem z wybuchu bomby wodorowej), jak Gurkha zrzucił z pokładu potężnej wimany jeden jedyny pocisk na potrójne miasto. Sprawozdanie to przypomina znane relacje naocznych świadków zdetonowania pierwszej bomby wodorowej. Żarzący się biało dym 10 000 razy jaśniejszy od Słońca wzniósł się w niesamowitym blasku i zamienił miasto w popioły. Po wylądowaniu Gurkhi jego pojazd przypominał świecący blok antymonu. Z kolei filozofów zainteresuje, że w *Mahabharacie* zapisano, iż czas jest nasieniem Wszechświata...

O prehistorycznych maszynach latających wspominają także księgi tybetańskie *Tandzur* i *Kandzur*, które nazywają je „perłami nieba”. Obie księgi podkreślają wyraźnie, że jest to wiedza tajemna, nieprzeznaczona dla ogółu. W *Samarangana Sutradhara* są całe rozdziały opisujące statki powietrzne, z których wydobywały się ogień i rtęć.

Słowo „ogień” w dawnych pismach nie musiało wcale oznaczać otwartego, płonącego ognia, bo w sumie można wyróżnić około 40 rodzajów „ognia”, odnoszących się głównie do zjawisk elektrycznych i magnetycznych. Z dużym trudem przychodzi nam uwierzyć, aby dawne ludy mogły wiedzieć o możliwości pozyskiwania energii z metali ciężkich i znać na to sposób. Nie wolno zarazem iść na łatwiznę, zbywając stare

teksty sanskryckie jako mity! Duża liczba przytoczonych już fragmentów starych pism pozwala przekształcić prawie w pewność przypuszczenie, że w starożytności spotykano latających „bogów”. Nie zajdziemy daleko, stosując starą, nadal niestety obowiązującą metodę, zgodnie z którą „tego nie ma, to błędne poglądy, to pełna fantazji przesada autorów lub kopistów”. Musimy przeświecić gąszcz skrywający naszą przeszłość nowym sposobem myślenia, który uwzględnia zdobytą w naszych czasach wiedzę techniczną. Fenomen statków kosmicznych w zamierzchłej przeszłości i sprawa często opisywanej straszliwej broni, z której bogowie robili użytek przynajmniej jeden raz w każdym z tekstów, oczekują na przekonujące wyjaśnienie. Tekst *Mahabharaty* zmusza do zastanowienia:

Było tak, jakby rozpuszczono żywioły. Słońce wirowało. Świat osmalony żarem broni zataczał się jak w gorączce. Poparzone słonie pędziły dziko we wszystkie strony świata, szukając schronienia przed straszliwą mocą. Woda zrobiła się gorąca, zwierzęta zdychały, wróg został zmieciony, a szalejący ogień obalał drzewa całymi szeregami, jak podczas pożaru lasu. Słonie przerażająco ryczały i padały martwe na ziemię w całej okolicy. Konie i rydwany płonęły i wszystko wyglądało, jak po pożarze. Tysiące wozów uległo zniszczeniu, a następnie nad morzem zaległa głęboka cisza. Zaczęły wiać wiatry i ziemia rozjaśniła się, ukazując przerażający widok. Zwłoki poległych zniekształcone ogniem nie były już podobne do ludzi. Nigdy przedtem nie widzieliśmy takiej straszliwej broni i nigdy przedtem o takiej broni nie słyszeliśmy (C. Roy, *Drona Parva*, 1889).

Ci, którym udało się ujść, czytamy dalej, kąpali się, myli swoje zbroje i broń, bo wszystko obłożone było śmiertelnym tchnieniem „bogów”. Jak to było w eposie o Gilgameszu? „Czy dosięgło cię może trujące tchnienie zwierzęcia z nieba?”

Alberto Tulli, były kierownik Galerii Sztuki Egipskiej w Muzeum Watykańskim, odnalazł fragment opisu z czasów Tetmosa III, który żył około 1500 roku p.n.e. Napisano tam, że uczeni w piśmie zobaczyli na niebie zbliżającą się kulę ognistą, której oddech miał przykry zapach. Tetmos i jego żołnierze obserwowali to widowisko, zanim kula nie uniosła się w kierunku południowym i nie zniknęła.

Wszystkie cytowane teksty pochodzą z tysiącleci przed naszą erą, a ich autorzy żyli na różnych kontynentach, w różnych kulturach i wyznawali odmienne religie. Nie znano jeszcze agencji informacyjnych, a podróże międzykontynentalne nie były na porządku dziennym. Mimo to analogiczne przekazy pochodzą ze wszystkich czterech stron świata i z niezliczonych źródeł, które podają prawie to samo. Czy autorzy mieli te same fantazje? Czy wszystkich ich wręcz maniakalnie prześladowały te same wyobrażenia? Jest niemożliwe i trudne do pomyślenia, aby autorzy *Mahabharaty*, Biblii, eposu o Gilgameszu, legend Eskimosów, Indian, ludów Północy, Tybetańczyków i wielu, wielu innych dzieł opowiadali przypadkowo i bez żadnych podstaw te same historie o latających „bogach”, o dziwnych pojazdach z nieba i związanych z tymi zjawiskami straszliwych katastrofach.

Żadna fantazja nie może być w takim stopniu uniwersalna. Prawie jednakowo brzmiące opisy mogą mieć za podstawę tylko fakty, a więc prehistoryczne wydarzenia. Informowano w nich po prostu o tym, co swego czasu można było zobaczyć. Choćby reporter z zamierzchłej przeszłości nie wiadomo jak koloryzował swe sprawozdania – a pod tym względem niewiele się zmieniło – rdzeniem wszystkich relacji jest podobnie jak dzisiaj fakt, precyzyjnie przedstawione wydarzenie. To ostatnie nie mogło zostać wymyślone w tak wielu miejscach świata i w różnych czasach.

Odwołajmy się do przykładu.

W afrykańskim buszu po raz pierwszy ląduje helikopter. Żaden tubylec nie widział jeszcze takiego urządzenia. Maszyna osiada z wielkim hukiem na polanie i wyskakują z niej piloci w ubraniach bojowych, w kaskach ochronnych i z karabinami maszynowymi. Dziki człowiek w przepasce na biodrach stoi oszołomiony i przerażony przed obiektem, który przyleciał z nieba, i przed nieznanymi mu „bogami”. Po pewnym czasie helikopter wznosi się i znika w przestworzach.

Pozostawiony samemu sobie, człowiek pierwotny musi jakoś poradzić sobie z tym doświadczeniem. Opowie innym, nieobecnym wtedy współplemieńcom, że widział ptaka, pojazd z nieba, który hałasował i śmierdział, i istoty, które miały białą skórę i nosiły broń plującą ogniem. Niezwykłe odwiedziny zostaną utrwalone po wsze czasy i przekazane następnym pokoleniom. Kiedy ojciec będzie opowiadał o nich synowi, ptak z nieba nie będzie oczywiście mniejszy niż w rzeczywistości,

zaś istoty, które z niego wysiadły, będą z czasem coraz bardziej osobliwe, wspaniałe i potężne. To i owo zostanie jeszcze dodane. Warunkiem powstania tej ciekawej historii było jednak autentyczne lądowanie helikoptera. Maszyna wylądowała na polanie w buszu i wyskoczyli z niej piloci. Odtąd wydarzenie to istnieje już w mitologii plemienia i należy do niej.

Pewnych rzeczy nie da się wymyślić. Nie szperalibyśmy w naszej prehistorii w poszukiwaniu kosmitów i samolotów, gdyby o zjawiskach tych opowiadały dwie lub trzy stare księgi. Skoro jednak prawie wszystkie teksty dawnych ludów całego świata opowiadają to samo, musimy spróbować wyjaśnić tkwiącą w tych relacjach obiektywną prawdę.

Synu człowieczy! Mieszkasz pośród domu przekory, który ma oczy, by widzieć, a jednak nie widzi, ma uszy, by słyszeć, a jednak nie słyszy (Ez. 12, 1).

Wiemy, że wszyscy bogowie sumeryjscy mieli swe odpowiedniki w określonych gwiazdach. Marduk, czyli Mars, najwyższy z bogów, był podobno przedstawiony jako posąg z czystego złota ważący 800 talentów, co odpowiadałoby, jeśli wierzyć Herodotowi, wadze 24 000 kilogramów czystego złota. Ninurta, czyli Syriusz, był sędzią Wszechświata, ferującym wyroki w sprawach śmiertelników. Znaleziono tabliczki pokryte pismem klinowym, poświęcone Marsowi, Syriuszowi i Plejadom. Sumeryjskie hymny i modlitwy ustawicznie wspominają o uzbrojeniu bogów, którego kształt i działanie musiały być całkowicie niedorzeczne dla ludzi tamtej epoki.

Pieśń pochwalna na cześć Martu opisuje, jak spuścił on ogień niczym deszcz, a swych wrogów zniszczył świecącym piorunem. Inanna ukazana jest, jak wznosi się do nieba, promieniuje straszliwym, oślepiającym blaskiem i niszczy domy wroga. Znaleziono rysunki i nawet model siedliska, mogącego przypominać schron przeciwiatomowy: okrągłe, masywne budowle, z jednym tylko dziwnie obramowanym otworem. Z tej samej epoki, około 3000 lat p.n.e., archeolodzy znaleźli zaprzęg przedstawiający wóz i woźnicę oraz dwóch zmagających się sportowców – całość nienagannie wykonana. Sumerowie, jak dowiedziono, perfekcyjnie władali rzemiosłem. Dlaczego modelowali toporny „bunkier”, skoro wykopaliska w Babilonie lub Uruk wydobyły na światło dzienne o wiele bardziej wyrafinowane dzieła? Jakiś czas temu w mieście Nippur – 150 kilometrów na południe od Bagdadu – znaleziono sumeryjską bibliotekę składającą się z 60 000 zapisanych glinianych tabliczek. Dzięki temu posiadamy najstarszy opis potopu, wyryty na sześćcioszpaltowej tabliczce. Pięć miast wymienionych na tabliczkach jest znanych: Eridu, Badtibira, Larak, Sitpar i Szuruppak, z których dwa nie zostały do tej pory odkryte. Na najstarszych odczytanych dotąd tabliczkach sumeryjski Noe nazywa się Ziusudra. Miał mieszkać w Szuruppak i tam też zbudować swą arkę. Dysponujemy zatem jeszcze starszym opisem potopu niż ten znany z eposu o Gilgameszu. Nikt nie wie, czy nowe znaleziska nie dostarczą jeszcze starszych wersji. Ludzie starych kultur wydawali się jakby opętani ideą nieśmiertelności i ponownych narodzin.

Służba i niewolnicy najwyraźniej dobrowolnie kładli się do grobu swych panów. W grobowcu z Schub-At leżało obok siebie nie mniej niż 70 porządnie poukładanych szkieletów. Nie wykazując najmniejszych oznak ewentualnego przymusu, ludzie ci w pozycji siedzącej lub leżącej oczekiwali w swoich bajecznie kolorowych szatach na śmierć, która musiała przyjść szybko i bezboleśnie, być może pod wpływem trucizny. Z niezachwianą pewnością będą wyczekiwać nowego życia ze swymi panami „po tamtej stronie”. Kto jednak przybliżył pogańskim ludom ideę ponownych narodzin?

Nie mniej pogmatwany jest świat egipskich bogów. Również prastare teksty ludów mieszkających nad Nilem mówią o potężnych istotach, które w barkach przemierzają nieboskłon. Pewien tekst, poświęcony bogu Słońca Re, głosi:

Ty wędrujesz pomiędzy gwiazdami i Księżycem, Ty ciągniesz statek Atona po niebie i na Ziemi, jak niestrudzenie obiegające gwiazdy, jak gwiazdy niezachodzące nad biegunem północnym.

A oto jeszcze napis na piramidzie:

Ty jesteś tym, kto stoi u steru statku słonecznego przez miliony lat.

Nawet uwzględniając, że starożytni Egipcjanie byli wysokiej klasy rachmistrzami, jest jednak dziwne, że w związku z gwiazdami i statkiem niebiańskim operowali milionami lat. Co powiada *Mahabharata*? „Czas jest nasieniem Wszechświata”.

Prabóg Ptah przekazał w Memfis królowi dwa wzorce obchodów jubileuszy panowania z poleceniem, aby świętować

je 6 razy po 100 000 lat. Czy trzeba jeszcze wspominać, że zanim prabóg Ptah wręczył królowi wzorce, ukazał mu się w połyskującym niczym tarcza słoneczna wozie niebiańskim z elektronu, a potem zniknął w nim na horyzoncie? W Edfu znajdują się jeszcze dzisiaj nad drzwiami świątyni wyobrażenia uskrzydłonego Słońca albo szybującego sokoła opatrzonego symbolami wieczności i nieskończonego życia. W żadnym znanym dotychczas miejscu świata nie zachowało się tak wiele przedstawień uskrzydłonych postaci boskich, jak właśnie w Egipcie.

Każdy turysta zna wyspę Elefantynę ze słynnym nilometrem w Asuanie. Już najstarsze pisma nazywają tę wyspę Elefantyną z uwagi na jej zarys przypominający sylwetkę słońca. To się zgadza, bo wyspa istotnie tak wygląda. Ale skąd wiedzieli o tym starożytni Egipcjanie, skoro kształty te można rozpoznać dopiero z dużej wysokości, z samolotu? Nie ma przecież w pobliżu żadnego wzniesienia, z którego widok na wyspę pozwoliłby na takie porównanie!

Inskrypcja odkryta już dosyć dawno na jednym z budynków w Edfu informuje, że budowla ta jest pozaziemskiego pochodzenia, bo zaprojektował ją Imhotep – człowiek później ubóstwiony. Imhotep był bardzo tajemniczą i wybitną postacią, jakby Einsteinem swojej epoki. Był kapłanem, pisarzem, medykiem, architektem i mędrcom zarazem. W dawnych czasach, w epoce Imhotepa, ludzie dysponowali do obróbki

kamienia – zdaniem archeologów – tylko drewnianymi klinami i narzędziami z miedzi, które nie nadają się do cięcia bloków granitowych. Nie przeszkodziło to jednak mądrymu Imhotepowi w wybudowaniu dla swego króla Dżosera schodkowej piramidy w Sakkarze (inna nazwa: Saqqara)! Wysoka na 60 metrów budowla jest tak wybitnym dziełem sztuki budowlanej, że w późniejszych czasach doczekała się tylko niedoskonałych imitacji. Imhotep nazwał ten architektoniczny klejnot, otoczony murem wysokości 10 metrów i długości 1600 metrów, „Przybytkiem Wieczności” i kazał się w nim pochować, aby powracający bogowie mogli go ponownie zbudzić do życia.

Wiadomo, że wszystkie piramidy zostały wzniesione według zasad astronomicznych. Czy okoliczność ta nie wydaje się cokolwiek dziwna, jeśli uwzględnić, że o staroegipskiej astronomii na dobrą sprawę niczego nie wiemy? Syriusz był jedną z niewielu gwiazd, którymi zajmowali się starożytni Egipcjanie. Ale właśnie zainteresowanie Syriuszem wydaje się dosyć zabawne, bo gwiazdę tę można obserwować w Memfis tylko na początku wylewu Nilu, kiedy o świcie ledwo unosi się nad horyzontem. Aby sprawa była jeszcze bardziej zagmatwana, Egipcjanie dysponowali dokładnym kalendarzem – 4221 lat p.n.e.! – który za punkt wyjścia przyjmował wschód Syriusza (pierwszy Tot = 19 lipca) i podawał cykle roczne od przeszło 32 000 lat.

Można się zgodzić, że dawnym astronomom nie brakowało czasu, by rokrocznie obserwować Słońce, Księżyc i inne

gwiazdy, co w końcu pozwoliło im stwierdzić, że po około 365 dniach wszystkie ciała niebieskie znajdują się znowu w tej samej pozycji. Czy nie jest jednak całkowicie sprzeczne z rozsądkiem, aby pierwszy kalendarz wyprowadzać właśnie od Syriusza, skoro łatwiej i dokładniej można byłoby to uczynić na podstawie Słońca i Księżyca? Przypuszczalnie kalendarz według Syriusza był w ogóle fikcyjnym tworem, dającym tylko jakieś chronologiczne przybliżenie, bo nigdy nie można było przewidzieć pojawienia się tej gwiazdy. Termin wylewu Nilu i tym samym wschód Syriusza na porannym horyzoncie były czystym przypadkiem. Nil nie wylewa każdego roku i nie każdy wylew następuje tego samego dnia. Skąd zatem kalendarz Syriusza? Czy jest o tym jakiś stary przekaz? Czy istnieje pismo lub przepowiednia, które kapłani skrzętnie ukrywali?

W grobowcu prawdopodobnie króla Udimu znaleziono naszyjnik ze złota oraz szkielet zupełnie nieznanego zwierzęcia. Skąd pochodzi to zwierzę? – Czym można wytłumaczyć, że Egipcjanie już w początkach pierwszej dynastii stosowali system dziesiętny? – Jak to możliwe, by w tak zamierzchłych czasach powstała tak wysoko rozwinięta cywilizacja? – Skąd biorą się już na samym początku kultury egipskiej przedmioty z brązu i miedzi? – Kto przekazał Egipcjanom niewiarygodną znajomość matematyki i gotowe pismo?

Zanim zajmiemy się kilkoma monumentalnymi budowlami, które nasuwają bardzo wiele pytań, jeszcze raz krótki rzut oka na stare dzieła pisane:

Skąd pochodzi zadziwiająca inwencja autorów *Baśni z 1001 nocy*? Skąd się wziął opis lampy, z której na życzenie przemawiał czarodziej?

Wytworem jakiej śmiałej fantazji było zaklęcie „Sezamie, otwórz się!” – otwierające kryjówkę Ali Baby i jego rozbójników?

Dzisiaj, rzecz jasna, takie pomysły nas nie zaskakują, odkąd telewizor za naciśnięciem guzika dostarcza „mówiących obrazów”. A od kiedy w każdym większym domu towarowym drzwi otwierają się dzięki fotokomórcie, formuła „Sezamie, otwórz się” nie stanowi już specjalnej zagadki. Dawni twórcy musieli mieć jednak tak niesamowitą wyobraźnię, że w porównaniu z nimi współcześni autorzy powieści science fiction produkują dziełka dosyć tandetne. Może jednak dawni pisarze posiłkowali się dla zapłodnienia fantazji czymś już gotowym, co było im znane, co widzieli i przeżyli?

W świecie legend i baśni trudniej uchwytnych kultur, dla których nie mamy żadnych stałych, materialnych punktów orientacyjnych, grunt pod nogami zaczyna się już chwiać i wszystko staje się jeszcze bardziej zagmatwane.

Podania islandzkie i staronorweskie też oczywiście znają „bogów” podróżujących po niebie. Bogini Freja miała służkę o imieniu Gna, którą wysyłała w obce światy na rumaku, unoszącym się w powietrzu nad morzem i lądem, a zwanym „rzucającym kopytem”. Pewnego razu Gna spotkała wysoko w przestworzach jakiegoś obco wyglądającego Wana. W pieśni Allvisa Ziemia, Księżyc i Wszechświat noszą różne nazwy w

zależności od tego, czy mówią o nich ludzie, „bogowie”, olbrzymi czy Aasowie. W jaki sposób – na Boga – ludzie w zamierzchłej przeszłości potrafili rozpatrywać jedną i tę samą rzecz z różnych punktów widzenia, skoro horyzont był tak bardzo ograniczony?

Choć uczyony Sturluson zapisał norweskie i starogermańskie wedy, sagi i pieśni dopiero około 1200 roku, mają one kilka tysięcy lat. Bardzo często symbolem Ziemi jest w nich – co zaskakuje – tarcza lub kula, zaś Thor, najwyższy z bogów, ukazywany jest zawsze z miażdżącym młotem. Profesor Kühn reprezentuje pogląd, że słowo „młot” znaczy tyle co „kamień” i pochodzi z epoki kamiennej, a dopiero później zaczęło oznaczać młot z brązu lub żelaza. Zgodnie z tą tezą Thor i jego symboliczny młot muszą mieć bardzo odległą metrykę, sięgającą prawdopodobnie epoki kamienia. Słowo Thor w indyjskich, napisanych w sanskrycie Wedach to „tanayitnu”, co należałoby przetłumaczyć zgodnie ze znaczeniem jako „ten, który ciska gromy”. Nordycki Thor, bóg nad bogami, jest panem germańskich Wanów, grasujących w przestworzach.

W dyskusji na temat nowych aspektów, jakie wnosimy do badań nad przeszłością, mógłby pojawić się zarzut, że nie należy wszystkich przekazanych tradycją wzmianek, wskazujących na zjawiska niebieskie, wiązać w jeden ciąg dowodów na loty kosmiczne w epoce prehistorycznej! W rzeczywistości wcale tego nie czynimy, bo zwracamy tylko uwagę na te fragmenty pradawnych pism, które nie pasują do dotychczasowych teorii. Wiercimy naszymi pytaniami w tych

istotnie kłopotliwych miejscach, gdzie ani autor, ani tłumacz, ani kopiści nie mogli mieć pojęcia o dzisiejszym stanie nauki i wynikających z niego skutkach. Jesteśmy gotowi natychmiast uznać tłumaczenia za fałszywe, a odpisy za wysoce niedokładne, jeśli jednocześnie te rzekomo fałszywe i fantazyjnie podkoloryzowane przekazy nie będą traktowane jako w pełni wartościowe, skoro tylko dają się wtłoczyć w ramy jakiejś religii. Nie jest godne badacza, by odrzucał to, co nie pasuje do jego teorii, i uznawał tylko to, co potwierdza jego tezy. O ile bardziej dobitnie i wyraźnie przedstawiałyby się nasze tezy, gdyby stare pisma zostały przetłumaczone na nowo, z myślą o możliwości lotów kosmicznych! Nad Morzem Martwym znaleziono – kontynuujmy nasz wywód myślowy – zwoje z fragmentami tekstów apokaliptycznych i liturgicznych. W apokryfach Abrahama i Mojżesza znowu pisze się o wozie niebiańskim z kołami, który pluje ogniem, natomiast podobnych wzmianek brakuje w etiopskiej czy słowiańskiej Księdze Henocha.

Z tyłu za tymi istotami widziałem wóz, który miał ogniste koła, a wokół każdego koła pełno było oczu i na kołach spoczywał tron, a ten pokryty był ogniem, który naokoło niego płonął (Apokryf Abrahama 18, 11/12)

Zgodnie z interpretacją profesora Scholema wozy i trony występujące w świecie mistyków żydowskich byłyby odpowiednikiem „pleromy” (pełni światła) – idei występującej w świecie mistyków hellenistycznych i wczesnochrześcijańskich. Jest to godna uwagi interpretacja, ale

czy można ją przyjąć jako naukowo dowiedzioną? Wolno nam zadać proste pytanie: co byłoby w wypadku, gdyby niektórzy ludzie rzeczywiście widzieli tak często opisywane wozy ogniste? W zwojach z Qumran bardzo często stosowano pismo tajemne, a w dziele astrologicznym znalezionym wśród innych dokumentów w czwartej jaskini występowały nawet na przemian różne dukty pisma. Pewna astronomiczna obserwacja nosi tytuł: „Słowa człowieka rozumnego, skierowane do wszystkich synów Jutrzenki”.

Co właściwie przemawia przeciwko temu, że w starych pismach opisano realnie istniejące wozy ogniste? Przecież nie tyleż płaskie, co mętne twierdzenie, że w starożytności nie mogło być wozów ognistych! Taka odpowiedź byłaby niegodna tych, których chcemy naszymi pytaniami nakłonić do alternatywnego myślenia. W końcu nie tak dawno temu ludzie kompetentni utrzymywali, że z nieba nie mogą spadać kamienie (meteoryty), bo w niebie nie ma kamieni...

Matematycy jeszcze w XIX wieku dokonali – w tamtych czasach przekonywającego – obliczenia, że pociąg nigdy nie będzie mógł jeździć szybciej niż 34 kilometry na godzinę, bo przy większej prędkości wysysane byłoby z niego powietrze i tym samym pasażerowie musieliby się udusić... Niecałe 100 lat temu zostało „udowodnione”, że przedmiot cięższy od powietrza nigdy nie będzie mógł latać.

Dział krytyki pewnej prestiżowej gazety zakwalifikował książkę Waltera Sullivana *Signale aus dem All* (Sygnały ze Wszechświata) do literatury z gatunku science fiction,

stwierdzając, że niewątpliwie także w bardzo odległej przyszłości niemożliwe będzie dotarcie do gwiazd Epsilon Eridani lub Tau Ceti. Uznano, że ani przez przesunięcie czasu (zgodnie z teorią względności), ani przez zimowy sen astronautów pod wpływem dużego oziębienia ciała nigdy nie zdołamy pokonać bariery niewyobrażalnych odległości.

Całe szczęście, że w przeszłości zawsze byli dostatecznie odważni fantaści, głusi na krytykę ze strony im współczesnych! Bez nich nie byłoby obejmującej cały świat sieci kolejowej, po której pociągi jeżdżą z prędkością 200 i więcej kilometrów na godzinę (uwaga: przy prędkości ponad 34 kilometrów na godzinę pasażerowie umierają!); bez nich nie byłoby samolotów odrzutowych, bo te przecież „spadałyby na ziemię” (uwaga: przedmioty cięższe od powietrza nie mogą latać!); w końcu nie byłoby też rakiet międzyplanetarnych (uwaga: człowiek nie może opuszczać swej planety!). Och, nie byłoby nieskończenie wielu rzeczy bez błogosławionych fantastów!

Pewna grupa badaczy chciałaby pozostać przy tak zwanych realiach, zapominając zbyt łatwo i zbyt chętnie, że to, co dzisiaj jest realne, jeszcze wczoraj mogło być utopijnym snem jakiegoś fantasty. Niemalą część wszystkich epokowych odkryć – w naszych czasach już oczywistych – zawdzięczamy szczęśliwym przypadkom, a nie systematycznie prowadzonym badaniom. Wielu wpisało się do księgi „poważnych fantastów”, którzy swoimi śmiałymi spekulacjami pokonali hamujący wpływ uprzedzeń. Jedno jest pewne: każdego dnia coraz bardziej zbliżamy się do granic przyszłych możliwości. Heinrich

Schliemann potraktował dzieło Homera nie jako bajkę czy baśń i dzięki temu odkrył Troję!

Za mało wiemy jeszcze o naszej przeszłości, aby móc wydawać o niej ostateczne sądy! Nowe znaleziska mogą rozwiązać niesłychane zagadki, a lektura prastarych informacji może postawić na głowie cały świat dotychczasowych twierdzeń. Rozumiemy oczywiście, że stare księgi uległy w większości zniszczeniu. W Ameryce Południowej było podobno dzieło, które zawierało całą wiedzę starożytności, ale zostało ponoć zniszczone przez 63. władcę Inków Paczakuti IV. W bibliotece w Aleksandrii 500 000 tomów uczonego władcy Ptolemeusza Sotera skrywało całą intelektualną spuściznę ludzkości. Bibliotekę zniszczyli po części Rzymianie, a pozostały księgozbiór kazał spalić – kilkaset lat później – kalif Omar. Niewyobrażalna jest wprost myśl, że niezastąpione, cenne manuskrypty służyły do palenia w publicznych łaźniach Aleksandrii!

Co pozostało z biblioteki świątyni w Jerozolimie? Co ostało się z biblioteki w Pergamonie, gdzie znajdowało się podobno 200 000 dzieł? Jakie skarby i tajemnice uległy zniszczeniu wraz z księgami historycznymi, astronomicznymi i filozoficznymi, unicestwionymi ze względów politycznych na rozkaz chińskiego cesarza Chi-Huanga w 214 roku p.n.e.? Ile tekstów kazał zniszczyć w Efezie po swym religijnym katharsis apostoł Paweł? Nie sposób wprost ogarnąć, jak niesłychane bogactwo dzieł ze wszystkich dziedzin wiedzy przepadło dla nas raz na zawsze z powodu fanatyzmu religijnego! Ile tysięcy pism,

których nie można już odtworzyć, kazali spalić mnisi i misjonarze pod wpływem ślepej i świętej gorliwości w Ameryce Południowej i Ameryce Środkowej?

Wszystko to nastąpiło przed setkami i tysiącami lat. Czy ludzkość wyciągnęła z tego jakąś naukę? Kilkadziesiąt lat temu Hitler rozkazał palić książki w miejscach publicznych, a w 1966 roku wydarzyło się to samo w Chinach podczas rewolucji kulturalnej Mao Zedonga. Na szczęście książki współczesne istnieją nie tylko w jednym egzemplarzu, jak to było przed wiekami.

Zachowane teksty i fragmenty dzieł przekazują nam sporo wiedzy o zamierzchłej przeszłości. We wszystkich epokach mędrcy wiedzieli, że przyszłość zawsze przynosi wojny i rewolucje, rozlew krwi i pożogę. Czy w związku z tym ukryli może przed motłochem tajemnice i przekazy swojej epoki w wielkich budowlach lub schowali je w bezpiecznym miejscu, chroniąc przed zniszczeniem? Czy ukryli informacje i komunikaty w piramidach, świątyniach lub posągach, względnie zostawili je jako szyfry, aby przetrwały burze dziejowe? Trzeba by to było sprawdzić, bo dalekowzroczni ludzie współcześni tak właśnie postępują z myślą o przyszłości.

Amerykanie zatopili w 1965 roku w ziemi Nowego Jorku dwie kapsuły tak zbudowane, aby aż do 6965 roku przetrzymały wszelkie kataklizmy, jakie mogą się na Ziemi wydarzyć. Kapsuły zawierają informacje, jakie chcemy przekazać przyszłym pokoleniom, żeby ci, którzy podejmą trud rozjaśnienia mroków okrywających przeszłość swoich przodków, dowiedzieli się, jak

żyliśmy. Kapsuły są odlane z metalu twardszego od stali i mogą przetrwać bez szkody nawet eksplozję atomową. Obok „informacji z dnia” w kapsułach umieszczono także fotografie miast, statków, samochodów, samolotów i rakiet. Zawierają wzory metali i mas plastycznych, materiałów, włókien i tkanin, przekazują przyszłym pokoleniom takie przedmioty powszechnego użytku, jak monety, narzędzia i artykuły toaletowe, a na mikrofilmach są tam utrwalone książki z dziedziny matematyki, medycyny, fizyki, biologii i astronautyki. Aby przesłanie w odległą, nieznaną przyszłość było pełne, do kapsuł dołączono wspaniale opracowany kod, dzięki któremu napisane i narysowane informacje będzie można przetłumaczyć na języki przyszłości.

Grupa inżynierów z Westinghouse-Electric wpadła na pomysł, aby podarować potomności bogato wyposażone kapsuły, a John Harrington wynalazł dla przyszłych pokoleń inteligentny system deszyfracji danych. Czy ludzie ci są nieszczęsnymi pomyłkami? Fantastami? Jednak realizacja tej idei cieszy nas i uspokaja, bo oznacza ona, że są ludzie, którzy wybiegają myślą 5000 lat do przodu! Praca archeologów w odległej przyszłości nie będzie łatwiejsza niż w naszych czasach. Po atomowej pożodze na nic zdadzą się wszystkie biblioteki świata, a wszelkie osiągnięcia, z których jesteśmy tak dumni, nie będą warte złamanego szeląga, bo zginą, zostaną zniszczone lub rozbite na czynniki pierwsze. Fantazja i dzieło inżynierów z Nowego Jorku ma tym większe uzasadnienie, że wcale nie trzeba pożogi atomowej, by Ziemia uległa

zniszczeniu. Przesunięcie osi ziemskiej o niewiele stopni przyniosłoby niesłychane powodzie, których nie dałoby się powstrzymać. W każdym wypadku pochłonęłyby one każde zapisane przez nas słowo. Kto jest na tyle arogancki, by utrzymywać, że dawni mędrzy nie mogli byli wpaść na tak dalekowzroczny pomysł, jak ludzie z Nowego Jorku?

Z całą pewnością stratedzy prowadzący wojnę atomową czy wodorową nie będą kierowali swej broni na Zulusów i nieszkodliwych Eskimosów, lecz użyją jej przeciwko głównym ośrodkom cywilizacji. Radioaktywny chaos stanie się zatem udziałem społeczeństw przodujących, najwyżej rozwiniętych. Ocaleją przed zagładą zacofane kulturowo ludy, ludzie dzicy, prymitywni – wszyscy znacznie oddaleni od centrów cywilizacji. Nie byłiby oni w stanie ani kontynuować naszej kultury, ani niczego o niej przekazać, bo w niej nie uczestniczyli. Nawet ludzie mądrzy albo po prostu idealisci, którzy zadaliby sobie trud uratowania podziemnej biblioteki, nie zdołaliby przez to niczego uczynić dla przyszłości. „Normalne” biblioteki zostałyby i tak zniszczone, a istoty prymitywne, którym udałoby się przeżyć, nic nie wiedziałyby o ukrytych, tajnych zasobach. Całe połacie kuli ziemskiej staną się gorejącymi pustyniami, bo długoletnie promieniowanie roentgenowskie zniszczy każdą roślinę. Ludzkie niedobitki ulegną przypuszczalnie mutacji i po 2000 lat nic już nie pozostanie z upadłych miast. Przyroda z nieskrępowaną siłą będzie się wgryzać w ruiny, a zardzewiała stal i żelazo rozpadną się w pył.

I wszystko mogłoby zacząć się od początku. Człowiek podejmie może swą przygodę na Ziemi po raz drugi lub trzeci. Niewykluczone, że ludzie znowu zbyt późno odkryją tajemnice starych pism i podań. Po upływie 5000 lat od kataklizmu archeolodzy mogliby zatem twierdzić, że człowiek w XX wieku nie znał jeszcze żelaza, bo nawet po najdokładniejszym przekopaniu ziemi nie znaleźliby ze zrozumiałych względów ani jednego jego kawałka. O ciągnących się kilometrami przeciwczołgowych zaporach z betonu wzdłuż granicy rosyjskiej powiedziano by, że są to niewątpliwie linie astronomiczne. Gdyby odkryto kasety z taśmami magnetofonowymi, nie wiadomo by, co z nimi począć, tym bardziej że nie odróżniano by taśm nagranych od czystych. A możliwe, że zawierałyby one rozwiązanie bardzo wielu zagadek! Teksty mówiące o olbrzymich miastach, w których miały znajdować się domy wysokości kilkuset metrów, uznano by za niewiarygodne, bo takich miast nie mogło przecież być. Tunele londyńskiego metra staną się jakimś geometrycznym dziwactwem albo zadziwiająco dobrze przemyślanym systemem kanalizacyjnym. A potem może znowu pojawią się informacje z pradawnych czasów opisujące, jak ludzie latali na wielkich ptakach między kontynentami, i opowieści o dziwnych, plujących ogniem statkach, które znikwały na niebie. Zostanie to zakwalifikowane jako mitologia, bo nie mogło przecież być ani tak dużych ptaków, ani plujących ogniem niebiańskich potworów.

Tłumacze z 7000 roku będą mieli kłopot: to, co odczytają z zachowanych fragmentów o wojnie światowej w XX wieku, zabrzmi całkowicie niewiarygodnie. Skoro jednak natrafią na dzieła Marksa lub Lenina, będzie można w końcu – co za ulga! – uczynić z dwóch arcykapłanów tej niezrozumiałej epoki centralny punkt jakiegoś obrządku religijnego.

Potomni będą mogli snuć wiele interpretacji, jeśli pozostanie po nas dostatecznie dużo punktów orientacyjnych. Pięć tysięcy lat – to bardzo długi okres. Tylko dzięki czystemu kapryswi przyrody obrobione bloki kamienia trwają 5000 lat, podczas gdy z najgrubszymi choćby szynami kolejowymi nie obchodzi się ona tak oględnie.

Na dziedzińcu pewnej świątyni w Delhi znajduje się – jak już pisaliśmy – zespawany z żelaznych części słup, który od prawie 2000 lat wystawiony na działanie czynników atmosferycznych nie wykazuje jednak żadnego śladu rdzy. Mamy oto przed sobą nieznaną, starożytną stop żelazny, niezawierający siarki ani fosforu. Być może słup został odlany przez dalekowzrocznych specjalistów swej epoki, którzy nie mieli środków na wzniesienie wielkiej budowli, a chcieli zostawić potomności w spuściźnie widoczny, odporny na działanie czasu pomnik swojej kultury?

To jest wstydliva sprawa, że w wysoko rozwiniętych minionych kulturach znajdujemy budowle, których nie umiemy imitować z zastosowaniem najnowocześniejszej techniki. Kamienne kłocę spoczywają na swoim miejscu i nie dają się usunąć poza nawias dyskusji. Ponieważ nie może być tego,

czego być nie powinno, szuka się gorączkowo „rozsądnych” wyjaśnień. Odłóżmy zatem końskie okulary i weźmy udział w poszukiwaniach...

Rozdział 7

Parkiet dla olbrzymów?

Z czego żyli starożytni Egipcjanie?

Czy Cheops był oszustem?

Dlaczego piramidy stoją tam, gdzie stoją?

Zwłoki żyjące dzięki zamrożeniu?

Prehistoryczni dyktatorzy mody

Czy metoda ^{14}C jest całkiem wiarygodna?

Na północ od Damaszku leży terasa w Baalbek: platforma zbudowana z bloków skalnych, z których niektóre mają ponad 20 metrów długości i ważą prawie 2000 ton. Do tej pory archeologia nie była w stanie przekonywająco wyjaśnić, dlaczego, w jaki sposób i przez kogo terasa w Baalbek została zbudowana. Rosyjski profesor Agrest uważa, że może ona być pozostałością wielkiego lądowiska.

Jeśli przyjmiemy do wiadomości dobrze spreparowaną wiedzę, którą się nam serwuje, to starożytny Egipt stał się centrum fantastycznej cywilizacji nagle i bez stadium przejściowego. Wielkie miasta i olbrzymie świątynie, ogromne posągi o wielkiej sile wyrazu, wspaniałe trakty obramowane pompatycznymi figurami, doskonałe urządzenia kanalizacyjne, wykute w skale okazałe grobowce, piramidy przytłaczające swymi rozmiarami... Te i wiele innych jeszcze wspaniałych rzeczy pojawiło się jak spod ziemi. To rzeczywiście cud, jeśli kraj zdolny jest nagle do takich osiągnięć bez żadnego przygotowania!

Żyzne tereny uprawne występują tylko w delcie Nilu i na wąskich pasmach po lewej i prawej stronie rzeki. Eksperci szacują liczbę mieszkańców Egiptu w okresie budowy Wielkiej Piramidy na 50 000 000 ludzi! (Liczba poza wszystkim jawnie sprzeczna z szacowanym na 20 000 000 zaludnieniem całego świata w 3000 roku p.n.e.!)

Przy tego typu fantastycznych obliczeniach nie chodzi o kilka milionów ludzi w tę lub drugą stronę. Chodzi o to, że dla nich wszystkich musiało się znaleźć pożywienie. A przecież była to nie tylko wielka armia robotników budowlanych, kamieniarzy, inżynierów i marynarzy, było też kilkaset tysięcy niewolników, była dobrze wyposażona armia, był żyjący w dobrobycie stan kapłański, niezliczeni handlarze, chłopci i urzędnicy oraz – *last but not least* – utrzymujący się z nich wszystkich dwór królewski. Czyżby wszyscy oni zdołali się wyżywić dzięki skąpym plonom uzyskiwanym w delcie Nilu?

Mówi się nam, że kamienne bloki na budowę piramidy transportowane były na rolkach, co w praktyce oznacza, że musiały to być rolki drewniane! Jednak z trudem przyszłoby chyba ścinać i przetwarzać te nieliczne przecież drzewa, głównie palmy, które w tamtym czasie (podobnie jak dzisiaj) rosły w Egipcie, bo daktyle były niezbędnym składnikiem wyżywienia, a pnie i listowie dawały jedyny cień wysuszonej ziemi. Jednak utrzymuje się, że rolki drewniane musiały być używane, bo w przeciwnym wypadku nie byłoby nawet tego najbardziej wątpliwego wyjaśnienia techniki budowy piramid. Czy drewno było importowane? Sprowadzanie drewna z obcych krajów wymagałoby pokaźnej floty. Drewno wyladowywane w Aleksandrii trzeba byłoby transportować Nilem w górę rzeki do Kairu. Nie istniała inna możliwość, ponieważ Egipcjanie w okresie budowy Wielkiej Piramidy nie znali jeszcze konia i wozu; zaczęto ich używać dopiero za XVII dynastii, czyli około 1600 roku p.n.e. Królestwo za przekonywujące wyjaśnienie transportu bloków skalnych! Rolki drewniane, powiada się, były do tego niezbędne...

Technika budowniczych piramid nasuwa wiele zagadek, które nie znajdują zadowalających rozwiązań.

W jaki sposób Egipcjanie wykuwali grobowce w skale? Jakimi narzędziami tworzyli labirynt przejść i pomieszczeń? Ściany skalne są gładkie i na ogół przyozdobione reliefowymi malowidłami. Szyby przebiegają w skałach ukośnie, mają precyzyjnie, zgodnie z najlepszą sztuką budowlaną wykonane stopnie, prowadzące do głęboko położonych komór grobowych.

Chmary turystów przyglądają się temu z podziwem, ale żaden z nich nie dostaje wytłumaczenia zagadkowej techniki wykopu. Wiadomo dokładnie, że sztukę budowy tuneli Egipcjanie mieli opanowaną od najwcześniejszych czasów, bo stare grobowce są wykonane dokładnie tak samo jak późniejsze. Między grobowcem Teti z VI dynastii a grobem Ramzesa I z czasów Nowego Państwa nie ma żadnej różnicy, choć ich budowę dzieli co najmniej 1000 lat! Wszystko wskazuje na to, że dawnej, raz wyuczonej techniki nie wzbogacano o nowe, lepsze rozwiązania, a raczej wręcz przeciwnie: późniejsze budowle są coraz gorszymi kopiami starych wzorców.

Turysta, który na wielbłądzie o imieniu Bismarck albo Napoleon – w zależności od swojej narodowości – dokołysze się do piramidy Cheopsa na zachód od Kairu, odczuwa dziwny dreszcz, jaki zawsze wywołują materialne pozostałości tajemniczycy cywilizacji. Zwiedzający słyszy, że tu i tam faraon kazał budować sobie grobowce. Z tą odświeżoną szkolną wiedzą wraca do domu, zrobiwszy przedtem kilka ciekawych zdjęć. Szczególnie na temat piramidy Cheopsa wysunięto pewnie z kilkaset niemających podstaw, głupich teorii. W książce Charlesa Piazziego Smytha *Our Inheritance in the Great Pyramid* (Nasze dziedzictwo w Wielkiej Piramidzie), liczącej 600 stron i wydanej w 1864 roku”, znajdujemy mnóstwo jeżących włosy na głowie związków między tą budowlą a kulą ziemską.

Jednak nawet po krytycznej weryfikacji pozostaje parę faktów, które powinny nas zastanowić.

Wiadomo, że starożytni Egipcjanie mieli rozbudowany kult słoneczny: ich bóg Słońca Re jeździł po niebie barkami. Teksty w piramidach z okresu Starego Państwa opisują nawet niebiańskie podróże króla, które możliwe były, rzecz jasna, z pomocą bogów i ich barek. Także bogowie i władcy Egipcjan nie stronili od latania w przestworzach...

Czy jest przypadkiem, że wysokość piramidy Cheopsa pomnożona przez miliard odpowiada w przybliżeniu odległości między Ziemią a Słońcem, wynoszącej 149 505 000 kilometrów? Czy to przypadek, że południk przebiegający przez piramidę dzieli kontynenty i oceany dokładnie na równe części? Czy przypadkiem obwód podstawy piramidy podzielony przez dwukrotność wysokości daje sławną ludolfinę – liczbę $\pi = 3,1416$? Czy przypadkowo znajdują się tam obliczenia ciężaru Ziemi, a skalisty grunt, na którym stoi budowla, przypadkiem jest tak starannie i dokładnie zrównany?

Nigdzie nie ma wzmianki, dlaczego twórca piramidy, faraon Cheops (Chufu), wybrał na budowę obiektu właśnie tę, a nie inną skałę na pustyni. Być może była tam naturalna rozpadlina skalna, którą wykorzystano do wzniesienia tej kolosalnej budowli. Jeszcze inne, choć ułomne, wyjaśnienie głosi, że faraon chciał obserwować ze swego letniego pałacu postępy prac budowlanych. Jednak oba powody kłócą się ze zdrowym rozsądkiem. Po pierwsze byłoby zdecydowanie praktyczniej, gdyby miejsce budowy znajdowało się bardziej na wschodzie, bliżej kamieniołomów, co skróciłoby drogę transportu, a po drugie trudno sobie wyobrazić, żeby faraon chciał być

niepokojony hałasem, jaki dniem i nocą rozlegał się nad placem budowy. Skoro tak wiele przemawia przeciwko naiwnym – rodem z książek dla dzieci – wyjaśnieniom dotyczącym wyboru miejsca budowy, wolno nam zapytać, czy może również w tej sprawie mieli swój udział „bogowie”, choćby tylko pośrednio, poprzez żądania zgłaszane przez kapłanów. Przyjmując taką interpretację, uzyskamy jeszcze jeden ważki dowód na rzecz naszej teorii o utopijnej przeszłości ludzkości. Otóż piramida nie tylko dzieli kontynenty i oceany na dwie równe części, ale leży ona w punkcie ciężkości kontynentów! Jeżeli odnotowane tutaj fakty nie są przypadkiem – a bardzo trudno byłoby w niego uwierzyć – to miejsce budowy piramidy zostało wyznaczone przez istoty, które wiedziały o kulistym kształcie Ziemi i dokładnie znały rozmieszczenie kontynentów i mórz. Warto w tym miejscu przypomnieć mapy Piriego Reisa! Nie wszystko da się wyjaśnić przypadkiem lub zmyśleniem.

Jaka siła, jakie „maszyny” wyrównały skalisty teren i jakim technicznym nakładem się to dokonało? W jaki sposób budowniczości przebijali w skale tunele? I czym je oświetlali? Ani tutaj, ani w skalnych grobowcach w Dolinie Królów nie używano pochodni lub podobnych urządzeń. Nie ma bowiem na stropach i ścianach żadnych zaczerwień, ani nawet najmniejszych wskazówek świadczących o usuwaniu ich śladów. W jaki sposób i jakimi narzędziami odrywano w kamieniołomach wielkie bloki skalne? Jakim sposobem miały one ostre kanty i gładkie ściany? Jak je transportowano i nakładano na siebie z dokładnością do milimetra? Jest tutaj

znowu garść możliwości do wyboru: równie pochyłe, piaszczyste torowiska, po których przesuwano bloki, rusztowania, rampy, nasypy... I oczywiście mrówcza praca wielu setek tysięcy Egipcjan: fellachów, chłopów, rzemieślników...

Żadne z tych wyjaśnień nie wytrzymuje krytyki. Wielka Piramida jest (i pozostanie?) namacalnym świadectwem niepojętej dotąd techniki. Dzisiaj żaden architekt nie umiałby zbudować piramidy Cheopsa, choćby miał do dyspozycji wszystkie współczesne środki techniczne!

W kamieniołomach 2 600 000 olbrzymich bloków zostało wyciętych, oszlifowanych, przeniesionych i na miejscu budowy, dopasowanych do siebie z dokładnością do jednego milimetra. A głęboko wewnątrz budowli pomalowano na kolorowo ściany korytarzy!

Miejsce budowy piramidy wyznaczył kaprys faraona...

Niedoścignione, „klasyczne” wymiary piramidy nasunęły się budowniczemu przypadkowo...

Kilkaset tysięcy robotników przesuwało i ciągnęło w górę rampy na (nieistniejących) rolkach za pomocą (nieistniejących) lin bloki ważące 12 ton...

Armia robotników żywiła się (nieistniejącym) zbożem...

Spano w (nieistniejących) chałupach, które faraon kazał zbudować przed swoją letnią rezydencją...

Przez (nieistniejący) megafon robotnicy utrzymywani byli w rytmie pracy, co pozwalało na przesuwanie ku niebu 12-tonowych bloków...

Nawet gdyby pilni robotnicy pracowali w niesłychanym tempie, ustawiając każdego dnia 10 bloków, to złożenie około 2 500 000 skalnych kłóców we wspólną piramidę zajęłoby im – zgodnie z tym anegdotycznym objaśnieniem – 250 000 dni, czyli 664 lata! Tak, a do tego nie wolno zapominać, że wszystko to było kaprysem ekscentrycznego władcy, który w żadnym wypadku nie mógł dożyć końca zapoczątkowanego przez siebie dzieła.

Dostatecznie okropne i nieskończenie smutne przedsięwzięcie.

Nie trzeba dodawać, że ta na serio proponowana teoria jest po prostu śmieszna. Kto byłby na tyle nierozgarnięty, by uwierzyć, że piramida miała być tylko grobem władcy? Kto chce nadal traktować zawarty tam zasób informacji matematycznych i astronomicznych jako czysty przypadek?

Wielką Piramidę przypisuje się obecnie bezspornie faraonowi Cheopsowi jako jej inspiratorowi i budowniczemu. Dlaczego? Dlatego że wszystkie inskrypcje i gliniane tabliczki wskazują właśnie na niego. Wydaje się nam przekonujące, że piramida nie mogła powstać podczas trwania jednego życia. Co jednak, jeśli Cheops kazał sfałszować inskrypcje i treść tabliczek, które miały słać jego osobę? W starożytności była to całkiem popularna metoda, o czym świadczy wiele innych budowli. Zawsze, kiedy dyktatorski władca chciał zagarnąć chwałę tylko dla siebie, zarządzał procedurę fałszerstw. Jeśli byłoby tak i w tym wypadku, to piramida istniałaby już długo przedtem, zanim Cheops nakazał umieścić na niej swoje „wizytówki”.

W bibliotece w Oksfordzie znajduje się rękopis, w którym koptyjski pisarz Al Mas'udi twierdzi, że Wielką Piramidę kazał wznieść egipski król Surid. Dziwne, bo Surid panował w Egipcie przed potopem! Osobliwe, że mądry władca Surid rozkazał swym kapłanom spisać całość wiedzy, a zapisy te ukryć we wnętrzu piramidy. Według koptyjskiego podania piramida została zatem zbudowana przed potopem.

Przypuszczenie takie potwierdza Herodot w drugiej księdze swoich *Dziejów*. Otóż kapłani w Tebach pokazali mu 341 posągów kolosów, z których każdy symbolizował jedno pokolenie arcykapłanów od 11 340 lat wstecz. Wiadomo, że każdy arcykapłan przygotowywał własny pomnik już za swego życia. Herodot informuje o podróży do Teb, gdzie jeden kapłan po drugim pokazywał mu swoje posągi jako dowód na to, że po ojcu zawsze następuje syn. Kapłani zapewniali, że ich informacje są bardzo dokładne, bo od pokoleń spisuje się wszystkie dane. Wyjaśnili, że każda z 341 figur odpowiada okresowi jednego życia ludzkiego i że przed tymi 341 pokoleniami między ludźmi żyli bogowie, ale potem żaden bóg w ludzkiej postaci nie zawitał już do nich.

Powszechnie przyjmuje się, że poświadczona źródłami cywilizacja starożytnego Egiptu sięga 6500 lat. Dlaczego zatem kapłani tak bezwstydnie okłamali podróżnika Herodota, mówiąc o 11 340 latach? I dlaczego tak dobitnie podkreślali, że od 341 pokoleń nie bawili u nich żadni bogowie? Te precyzyjne dane czasowe, utrwalone w posągach, byłyby całkowicie

bezużyteczne, gdyby w zamierzchłej przeszłości „bogowie” istotnie nie żyli wśród ludzi!

O tym, jak, dlaczego i kiedy zbudowano piramidy, nie wiemy właściwie niczego. Oto stoi sięgająca prawie 150 metrów wysokości i ważąca 31 200 000 ton sztuczna góra – świadek niepojętego wysiłku – a pomnik ten nie jest podobno niczym innym, jak tylko grobem jakiegoś ekstrawaganckiego władcy! Kto chce, niech wierzy...

Podobnie niezrozumiałe są niezinterpretowane dotąd dostatecznie mumie, które wpatrują się w nas z zamierzchłej przeszłości, stanowiąc tajemniczą zagadkę. Różne ludy opanowały technikę balsamowania zwłok, a znaleziska archeologiczne pozwalają przypuszczać, że przedhistoryczne istoty wierzyły w ponowne narodziny do drugiego życia, w materialne wskrzeszenie. Interpretację taką można by zaakceptować, gdyby wiara w cielesne zmartwychwstanie należała do starożytnego świata pojęć! Z kolei gdyby nasi prapraprzodkowie wierzyli tylko w duchowy powrót, to nie otaczaliby zmarłych tak specyficzną opieką. Znaleziska w egipskich grobach dostarczają przykładów, że zabalsamowane zwłoki przygotowywane były do cielesnego odrodzenia.

To, co sugerują oglądane groby, nie jest wcale tak absurdalne! Malowidła i podania dostarczają przesłanek do tezy, że „bogowie” obiecali, iż powrócą z gwiazd, aby zbudzić dobrze zachowane ciała do nowego życia. Dlatego zaopatrzenie zabalsamowanych zwłok, spoczywających w grobowych komorach, miało funkcję praktyczną i przeznaczone było na

potrzeby życia ziemskiego. W przeciwnym razie po co byłyby zmarłym potrzebne pieniądze, ozdoby i ulubione przedmioty? Dawanie im do grobu również części służby – ludzi niewątpliwie jeszcze żyjących – miało przedłużyć dawną egzystencję w nowym życiu. Grobowce, zbudowane solidnie, o niesłychanej wręcz trwałości bunkrów przeciwiatomowych, były w stanie przetrwać wszelkie burze dziejowe. W grobach umieszczano przedmioty zachowujące wartość mimo wszelkich kryzysów – mianowicie złoto i szlachetne kamienie. Nie chcemy zajmować się tu późniejszymi wynaturzeniami mumifikacji. Ważne jest tylko pytanie: kto przyswoił poganom ideę cielesnego zmartwychwstania? I skąd pochodziła pierwsza, śmiała myśl, że komórki ciała muszą zostać zachowane, aby zmarły, przechowywany w bezpiecznym miejscu, został zbudzony do nowego życia po upływie tysięcy lat?

Do tej pory cały tajemniczy kompleks spraw związanych z odrodzeniem życia był traktowany tylko z religijnego punktu widzenia. Czy faraon, który z całą pewnością wiedział więcej o „bogach” i ich zwyczajach niż jego poddani, nie mógł wpaść na taki, być może zupełnie obłądny pomysł: muszę wybudować sobie grobowiec, który nie ulegnie zniszczeniu nawet przez tysiące lat i będzie wyraźnie odznaczał się na obszarze państwa? Bogowie obiecali powrócić i zbudzić mnie... (względnie lekarze w odległej przyszłości będą umieli przywrócić mnie do życia...).

Co można dodać do tego z perspektywy epoki lotów kosmicznych?

Fizyk i astronom Robert C.W. Ettinger sugeruje w swej wydanej w 1965 roku książce *The Prospect of Immortality* (Nieśmiertelność w przyszłości), że my, współcześni ludzie, moglibyśmy dać się tak zamrozić, aby z biologicznego i medycznego punktu widzenia procesy w naszych komórkach przebiegały bilion razy wolniej niż normalnie. Choć na razie idea ta może wyglądać jeszcze całkowicie utopijnie, jednak każda duża współczesna klinika dysponuje „bankiem”, w którym ludzkie kości przechowywane są całe lata w stanie głębokiego zamrożenia, by w razie potrzeby zrobić z nich użytek. Świeża krew – co jest już powszechnie praktykowane – może być przez nieograniczony czas przechowywana w temperaturze -196°C , podobnie jak komórki można utrzymywać przy życiu wprost w nieskończoność w temperaturze ciekłego azotu. Czyżby utopijna idea faraona miała się wkrótce ziścić?

Trzeba dwukrotnie przeczytać przytoczony niżej wynik badań, by pojąć jego niezwykłość: biolodzy z uniwersytetu w Oklahomie stwierdzili w marcu 1963 roku, że komórki skóry egipskiej księżniczki Mene są zdolne do życia! A księżniczka Mene nie żyje już od kilku tysięcy lat!

W wielu miejscach znajdują się mumie zachowane w stanie tak kompletnym i nienaruszonym, że wyglądają jak żywe. U Inków zachowały się mumie lodowcowe, teoretycznie zdolne jeszcze do życia. Utopia? W lecie 1965 roku telewizja rosyjska pokazała dwa psy, które zostały głęboko zamrożone na tydzień. Odmrożone siódmego dnia żyły nadal, tak jak przedtem!

Amerykanie, co nie jest tajemnicą, poważnie zajmują się w ramach swego szeroko zakrojonego programu lotów kosmicznych problemem, w jaki sposób można zamrozić astronautów przyszłości na czas ich długich podróży do odległych gwiazd...

Profesor Ettinger, dzisiaj często wyśmiewany, przewiduje, że w odległej przyszłości ludzie nie będą ani spalać zwłok, ani wystawiać ich na łup robaków, lecz będą je składać zamrożone na specjalnych „lodówkowych” cmentarzach lub w grobach zamrażarkach, by oczekiwały dnia, w którym bardziej zaawansowana medycyna będzie umiała usunąć przyczynę śmierci i tym samym obudzić je do nowego życia. Jeśli pójść do końca tropem tej myśli, to można by ujrzeć odstraszącą wizję armii głęboko schłodzonych żołnierzy, odmrażanych według potrzeby w wypadku wojny. Zaiste przerażające wizje!

Co jednak mają wspólnego mumie z naszą hipotezą o odwiedzinach kosmitów w zamierzchłej przeszłości? Szukamy na siłę poszlak?

Stawiamy pytanie: skąd ludzie przeszłości wiedzieli, że komórki organizmu żyją bilion razy wolniej po poddaniu ich specjalnym zabiegom?!

Pytamy: skąd pochodzi idea nieśmiertelności, skąd myśl o cielesnym zmartwychwstaniu?

Większość dawnych ludów posiadała umiejętność mumifikacji, praktykowali ją ludzie bogaci. Nie chodzi nam o przytaczanie faktów, lecz o rozwiązanie zagadki, skąd pochodziła idea zmartwychwstania, powrotu do życia. Czy pomysł ten nasunął

się zupełnie przypadkowo jakiemuś królowi lub księciu, czy też może jakiś wpływowy człowiek zaobserwował „bogów”, jak poddawali zwłoki skomplikowanym zabiegom i składali je do zabezpieczonego przed bombami sarkofagu? A może jacyś „bogowie” (czyli kosmici) przekazali pewnemu bystremu, inteligentnemu synowi królewskiemu wiedzę, w jaki sposób dzięki specjalnym zabiegom można odrodzić zwłoki?

Ta spekulatywna motywacja wymaga uzasadnienia stosownego do swojej epoki. W ciągu kilkuset lat ludzie opanują loty kosmiczne z biegłością, jaką dzisiaj trudno jeszcze sobie wyobrazić. Biura podróży będą oferowały w swych prospektach podróże międzyplanetarne z dokładnym terminem odjazdu i powrotu. Warunkiem osiągnięcia tej perfekcji jest, rzecz jasna, dotrzymanie równego kroku w postępie naukowym przez wszystkie dziedziny wiedzy. Sama tylko elektronika i cybernetyka nie zdołają przekroczyć wysokiego progu wymagań. Swój udział wniosą medycyna i biologia, prowadząc badania, które umożliwią przedłużenie życia ludzkiego. Utopijne pytania: Czy kosmonauci z praczasów posiadali tę wiedzę, którą musimy zdobywać na nowo? Czy obce istoty rozumne znały metody, jakie trzeba zastosować, aby przywrócić do życia ciała po upływie iluś tysięcy lat? Może mądrzy „bogowie” mieli jakiś cel w tym, aby „wyposażyć” przynajmniej jednego zmarłego w całą wiedzę jego epoki, by mógł on kiedyś zostać przepytany na okoliczność dziejów swego pokolenia? Co właściwie wiemy na ten temat! Może powracający „bogowie” już kogoś przepytali?

Pierwsze, odpowiednio spreparowane mumie zapoczątkowały w ciągu następnych stuleci modę w tej dziedzinie. Nagle każdy chciał się ponownie narodzić, każdy sądził, że pewnego dnia nowe życie stanie się także jego udziałem, jeśli tylko uczyni to samo, co jego przodkowie. Kapłani, którzy rzeczywiście dysponowali wiedzą na temat ponownych narodzin, w znacznym stopniu spopularyzowali kult, bo robili na nim dobry interes.

Pisaliśmy już o fizycznie niemożliwej długości życia sumeryjskich władców czy postaci biblijnych. Postawiliśmy pytanie, czy w ich przypadku chodzi może o kosmitów, którzy dzięki przesunięciu czasu podczas podróży międzygwiazdnych, odbywających się z szybkością bliską prędkości światła, postarzeliby się tylko względnie w stosunku do czasu obowiązującego na naszej planecie.

Może udałoby się wyjaśnić niewyobrażalny wiek wymienianych w starych pismach osób, zakładając, że zostały one zmumifikowane lub zamrożone? Zgodnie z tą teorią kosmici zamrażaliby najważniejsze osobistości czasów starożytnych, wprowadzając je – jak mówią podania – w głęboki sen. Przy okazji późniejszych odwiedzin wyjmowałiby je za każdym razem z „szuflady”, odmrażali i rozmawialiby z nimi. Zadaniem kasty kapłańskiej, ustanowionej i odpowiednio pouczonej przez kosmitów, byłoby ponowne preparowanie „żywych umarłych” po zakończeniu odwiedzin oraz sprawowanie nad nimi pieczy w olbrzymich świątyniach aż do kolejnej wizyty „bogów”.

Niemożliwe? Śmieszne? Najgłupsze zastrzeżenia zgłaszają na ogół ludzie wyjątkowo uczuleni na sprawy przyrody. Czyż przyroda sama nie daje oczywistych przykładów na „sen zimowy” i ponowne budzenie się do życia?

Są gatunki ryb, które zamrożone na kość ożywają przy korzystniejszej temperaturze i zaczynają znów pływać żwawo w wodzie. Kwiaty, poczwarki, pędraki każdej wiosny mają za sobą nie tylko biologiczny sen zimowy, lecz ukazują się w nowej, pięknej szacie.

Wystąpmy jako własny adwokat diabła: może Egipcjanie podpatrzyli zasadę mumifikacji w przyrodzie? Gdyby tak było, musiałyby występować jakiś kult motyli lub chrabąszczy, a przynajmniej jakiś jego ślad. Jednak niczego takiego nie ma! W podziemnych grobowcach leżą co prawda wielkie sarkofagi ze zmumifikowanymi bykami, ale u tych zwierząt ludzie nie mogli przecież podpatrzeć snu zimowego. Osiem kilometrów od Heluanu znajduje się ponad 5000 grobów różnej wielkości, a wszystkie pochodzą z czasów I i II dynastii. Potwierdzają one, że sztuka mumifikacji liczy ponad 6000 lat.

Profesor Emery odkrył w 1953 roku na starym cmentarzu w północnej części Sakkary wielki grób, przypisywany faraonowi z I dynastii (prawdopodobnie był to Udi). Obok głównego grobowca leżały w trzech rzędach 72 dalsze groby, w których znajdowały się zwłoki służby, pragnącej towarzyszyć królowi w zaświaty. Ciało 64 młodych mężczyzn i ośmiu młodych kobiet nie wykazują żadnych śladów ewentualnej przemocy. Dlaczego 72 osoby dały się zamurować i pozbawić życia? Wiara w życie

pozagrobowe jest najbardziej znanym i zarazem najprostszym wyjaśnieniem tego fenomenu. Faraona, poza złotem i ozdobami, wyposażono w zboże, oliwę i przyprawy korzenne – pomyślane najwyraźniej jako prowiant na tamten świat. Groby te otwierali następnie – oprócz hien cmentarnych – późniejsi władcy. Faraon znajdował zatem w grobowcu swego poprzednika dobrze zachowane zapasy, co dowodziło, że zmarły ani ich nie zjadł, ani nie zabrał w zaświaty. Zamykając groby ponownie, wkładano do krypty nowe dobra, zamykano ją, zabezpieczano przed włamaniem, a przy wejściu instalowano liczne pułapki. Nasuwa się myśl, że Egipcjanie wierzyli w późniejsze wskrzeszenie, a nie w natychmiastowe przebudzenie na tamtym świecie.

Również w Sakkarze odkryto w 1954 roku grób, który nie był obrabowany, bo w komorze leżała skrzynka z kosztownościami i złotem. Sarkofag zamykała przesuwalna płyta, a nie wieko. Kiedy doktor Goneim dokonał 9 czerwca uroczystego otwarcia sarkofagu, okazało się, że był on całkowicie pusty. Czyżby mumia ulotniła się, nie zabierając ze sobą skarbów?

Rosjanin Rodenko odkrył 80 kilometrów od granicy z Mongolią grób, tzw. kurhan V, który jest kamienistym pagórkiem, wyłożonym od wewnątrz drewnem. Wszystkie komory grobowe wypełnione są wiecznym lodem, konserwującym zawartość grobu przez głębokie schłodzenie. W jednym z grobów spoczywał zabalsamowany mężczyzna i tak samo spreparowana kobieta. Obydwoje wyposażeni we wszystkie rzeczy, które mogły być przydatne w późniejszym

życiu: żywność w miseczkach, ubranie, klejnoty, instrumenty muzyczne. Wszystko głęboko zamrożone i dobrze zachowane, łącznie z nagimi mumiami!

W pewnym grobie zidentyfikowano znak czworokąta z czterema rzędami zawierającymi po sześć kwadratowych rysunków. Całość mogłaby być kopią kamiennej mozaiki podłogowej z asyryjskiego pałacu w Niniwie! Dostrzega się dziwne, podobne do sfinksów figurki ze skomplikowanymi rogami na głowie i skrzydłami na plecach, których układ wskazuje na ruch ku niebu.

Znaleziska w Mongolii nie potwierdzają raczej wiary w drugie, duchowe życie. Zastosowane schładzanie – bo o to właśnie chodzi w grobach wyłożonych drewnem i wypełnionych lodem – jest czymś zbyt doczesnym i przeznaczonym wyraźnie do ziemskich celów. Nadal męczy nas pytanie, na jakiej podstawie dawni ludzie sądzili, że przygotowane przez nich w ten sposób zwłoki będą mogły ulec wskrzeszeniu. Jest to na razie zagadką.

W chińskiej wsi Wu-Chuan jest prostokątny grób o wymiarach 14 na 12 metrów, w którym spoczywają szkielety 17 mężczyzn i 24 kobiet. Również tutaj żaden z nich nie wykazuje oznak gwałtownej śmierci. W Andach znajdują się groby wykute w lodowcu, na Syberii – groby lodowe, w Chinach, w Sumerze i w Egipcie – groby zbiorowe i pojedyncze. Mumie występują zarówno daleko na północy, jak i na południu Afryki. Wszyscy zmarli zostali troskliwie przygotowani do późniejszego wskrzeszenia i odpowiednio zaopatrzeni. Wszystkim zwłokom

dano przedmioty niezbędne do nowego życia, a wszystkie groby są tak zaprojektowane i zbudowane, by mogły przetrwać tysiące lat.

Czy to wszystko jest przypadkiem? Czy to tylko wymysły naszych przodków, dziwne swoją drogą, ale tylko wymysły? Czy też może istniało jakieś nieznanne nam stare przyrzeczenie cielesnego wskrzeszenia? Kto mógłby go udzielić?

W Jerychu odsłonięto groby liczące 10 000 lat oraz znaleziono wymodelowane w gipsie głowy sprzed 8000 lat. Jest to tym dziwniejsze, że mieszkający tam wówczas ludzie nie znali podobno garncarstwa. W innej części Jerycha odkryto szeregi okrągłych domów, których mury zbiegają się w górze do wewnątrz, tworząc coś w rodzaju kopulastych dachów.

Powszechnie stosowany izotop węgla ^{14}C , który pozwala na określanie wieku substancji organicznych, wskazuje w tym wypadku maksymalnie 10 400 lat. Te naukowo uzyskane dane zgadzają się dosyć dokładnie z informacjami podanymi przez egipskich kapłanów u Herodota, którzy powiedzieli, że ich poprzednicy sprawują swe funkcje od ponad 11 000 lat. Czy to również tylko przypadek?

Szczególnie osobliwym znaleziskiem są prehistoryczne kamienie z Lussac (Poitou we Francji), przedstawiające rysunki całkowicie współcześnie ubranych ludzi w kapeluszach, kurtkach lub krótkich spodenkach. Ksiądz Breuil ocenił je jako autentyczne i wyjaśnienie jego obala wszelkie skrupulatnie nanizane tezy o prehistorii. Kto wyrył obrazy na kamieniach?

Kto ma dość fantazji, aby wyobrazić sobie odzianego w skóry jaskiniowca kreślącego na ścianach postacie z XX wieku?

W jaskini Lascaux, w południowej Francji, odkryto w 1940 roku najwspanialsze malowidła z epoki kamiennej. Malarska galeria wygląda tak świeżo, plastycznie i integralnie, że w sposób nieunikniony narzucają się dwa pytania: jakim sposobem oświetlano jaskinię na czas mozolnej pracy artysty z epoki kamiennej i dlaczego ściany pieczary zostały pokryte zadziwiającymi malowidłami?

Niech ludzie uznający te pytania za głupie wytłumaczą nam następujące sprzeczności: skoro mieszkańcy jaskiń epoki kamiennej byli prymitywni i dzicy, to nie umieliby pokryć ścian tak ciekawymi malowidłami. Jeśli jednak dzikus umiał wykonać te obrazy, to dlaczego nie byłby w stanie zbudować sobie chałupy do mieszkania? Najmądrzejsi nawet ludzie przyznają, że zwierzęta umieją od milionów lat budować gniazda i kryjówki. Najwidoczniej jednak nie pasuje do schematu myślowego, aby przyznać w tym czasie takie same zdolności gatunkowi *Homo sapiens*!

Na pustyni Gobi profesor Kozłow znalazł – niedaleko od tych dziwnych zeszkleń piaskowych, które mogły powstać tylko w wyniku działania bardzo wysokiej temperatury – grób położony głęboko pod ruinami Chara-Choto, datowany na około 12 000 lat p.n.e. W jednym sarkofagu leżą ciała dwóch bogatych ludzi, a na sarkofagu odkryto znak podzielonego pionowo koła.

W górach Subi na zachodnim wybrzeżu Borneo znaleziono sieć pieczar, których wnętrza rozbudowano jakby na kształt

katedry. Pozostawione tam przedmioty wskazują, że prace budowlane prowadzono 38 000 lat p.n.e. Wśród tych niebywałych znalezisk są tkaniny tak delikatne i szlachetne, że przy najlepszej woli nie można sobie wyobrazić, jak mogliby je wykonać ludzie dzicy! Pytania, pytania i jeszcze raz pytania...

Omawiane sprawy to nie są jedynie hipotezy, lecz całkiem namacalne i nader liczne fakty: jaskinie, groby, sarkofagi, mumie, stare mapy, szalone budowle będące niesłychanym osiągnięciem techniki i architektury, przekazy różnej proweniencji, które nie pasują do żadnego schematu.

Do współczesnej archeologii wkradają się pierwsze wątpliwości, ale konieczne jest dokonanie wyłomu w gąszczu skrywającym przeszłość. Trzeba na nowo wyznaczyć kamienie milowe i w miarę możliwości na nowo ustalić wiele danych.

Jedno trzeba jasno powiedzieć: nie kwestionujemy historii ostatnich 2000 lat! Mówimy tylko i wyłącznie o zamierzchłej starożytności, o czasach pogrążonych w ciemnościach, które staramy się oświetlić, stawiając nowe pytania.

Nie umiemy podać żadnych liczb ani dat dotyczących tego, kiedy wizyty obcych istot rozumnych z kosmosu zaczęły wywierać wpływ na naszych odległych przodków. Jednak ośmielamy się zakwestionować dotychczasowe datowanie zamierzchłej przeszłości. Sądzymy, że mamy zupełnie dobre podstawy, aby wydarzenie, o które tutaj chodzi, umieścić w okresie młodszego paleolitu, czyli między 40 000 a 10 000 lat p.n.e. Dotychczasowe metody datowania, łącznie ze sławną, tak popularną metodą ^{14}C ., pozostawiają znaczne luki, skoro tylko

przekraczamy wiek 5600 lat. Im starsza jest badana substancja, tym bardziej zawodna staje się metoda izotopowa. Również poważni badacze powiedzieli nam, że metodę ^{14}C uznają za mało przydatną, bo wiek substancji organicznej liczącej od 30 000 do 50 000 lat można według niej określać arbitralnie, według uznania.

Nie należy przyjmować tych krytycznych głosów bez zastrzeżeń – ale bez wątpienia przydałaby się druga metoda datowania, równoległa do ^{14}C i bazująca na najnowocześniejszej aparaturze.

Rozdział 8

**Czy bogowie pozostawili olbrzymy z Wyspy
Wielkanocnej?**

Kim był biały bóg?

Nie znano krosna, ale uprawiano bawełnę

Ostatnie poznanie człowieka

Pierwsi europejscy żeglarze, którzy na początku XVIII wieku wylądowali na Wyspie Wielkanocnej, nie wierzyli własnym oczom. Na tym małym skrawku ziemi, oddalonym 3600 kilometrów od wybrzeży Chile, ujrzeli setki nieprawdopodobnie dużych posągów, rozrzuconych wzdłuż i wszerz wyspy. Całe góry były zdeformowane, twarda jak stal skała wulkaniczna pocięta niczym masło, a ważące dziesiątki tysięcy ton bryły skalne leżały w miejscach, które nie mogły być miejscem obróbki. Setki olbrzymich postaci, sięgających po części od 10 metrów do 20 metrów wysokości i ważących do 50 ton, wpatrywało się wyzywająco w każdego przybysza,

przypominając roboty, które zdają się tylko czekać na ponowne uruchomienie. Pierwotnie kolosy nosiły także kapelusze, ale i nakrycia głowy nie przyczyniły się do wyjaśnienia zagadkowego pochodzenia posągów. Kamienne kapelusze ważące ponad 10 ton zostały znalezione w innym miejscu niż skalne korpusy, a nakrycie głowy trzeba było przecież jeszcze podnieść na znaczną wysokość.

Obok niektórych kolosów znaleziono swego czasu drewniane tabliczki, zapisane osobliwymi hieroglifami. Obecnie we wszystkich muzeach świata nie spotka się już nawet 10 tych tabliczek, a na tych, które jeszcze są, nie zdołano dotąd odczytać ani jednego napisu.

Badania dziwnych olbrzymów podjęte przez Thora Heyerdahla wykazały, że należą one do trzech wyraźnie różniących się kultur, z których najstarsza wydaje się najdoskonalsza. Znalezione resztki węgla drzewnego Heyerdahl datuje na około 400 rok n.e., ale nie wiadomo, czy te ślady ognia oraz szczątki kości pozostają w jakimś związku z kamiennymi figurami. Przy ścianach skalnych i na obrzeżach kraterów Heyerdahl odkrył setki niedokończonych posągów. Tysiące narzędzi z kamienia i zwykle kamienne topory leżą wszędzie wokoło, jakby praca została gwałtownie przerwana.

Wyspa Wielkanocna jest położona z dala od kontynentów i wszelkiej cywilizacji. Wyspiarzom bliższy jest Księżyc i gwiazdy niż jakakolwiek ziemską krainą. Wyspa, będąca małym skrawkiem wulkanicznej skały, pozbawiona jest drzew. Obiegowe wyjaśnienie, że skalne giganty zostały

przetransportowane na obecne miejsca za pomocą drewnianych rolek, i w tym wypadku jest zatem chybione. Wyspa mogłaby dostarczyć pożywienia nie więcej niż 2000 ludzi. Nie sposób wyobrazić sobie w starożytności regularnych kursów statków na wyspę, które dostarczałyby kamieniarzom pożywienia i odzieży. Kto zatem wyciął posągi w skale, kto je obrobił i przetransportował? W jaki sposób przenoszono je kilometrami – nie mając rolek – poprzez wertepy? Jak je obrabiano, polerowano i podnoszono? Jak wreszcie nakładano kapelusz, zrobiony z innego kamienia niż korpus?

O ile przy budowie egipskiej piramidy można sobie wyobrazić – mając bujną fantazję – rytmiczną pracę armii ludzkich mrówek, o tyle na Wyspie Wielkanocnej możliwość taka odpada z powodu braku siły roboczej. W żadnym wypadku nie wystarczyłoby 2000 ludzi – nawet gdyby pracowali dniem i nocą – do ukształtowania bardzo prymitywnymi narzędziami kolosalnych posągów w wyjątkowo twardej skale wulkanicznej. Co więcej, część ludności musiała się zajmować uprawą tutejszej lichej ziemi i na skromną choćby skalę połowem ryb, inni musieli tkać materiały i wiązać liny. Nie, 2000 ludzi nie mogło stworzyć tych posągów, a większe zaludnienie na małej Wyspie Wielkanocnej nie było możliwe. Kto zatem wykonał tę pracę? I dlaczego posągi stoją na obrzeżu wyspy, a nie w jej wnętrzu? Jakiemu kultowi służyły?

Niestety również na tym małym skrawku Ziemi pierwsi zachodni misjonarze przyczynili się do tego, że przeszłość spowita jest mrokami. Spalili bowiem tabliczki zapisane

hieroglifami, zakazali dawnego kultu bogów, zniszczyli wszelką tradycję. Choć pobożni mężowie przystąpili do dzieła gruntownie, nie zdołali przeszkodzić ludności tubylczej w przechowaniu w pamięci i używaniu do dzisiaj dawnej nazwy wyspy: „Kraj ptaka człowieka”. Zgodnie z ustnie przekazywaną legendą na wyspie wylądowali w pradawnych czasach latający ludzie i rozniecili ogień. Potwierdzają to rzeźby lecących istot o dużych, wytrzeszczonych oczach.

Automatycznie nasuwają się porównania między Wyspą Wielkanocną a Tiahuanaco! W obu miejscach znajdują się kamienne olbrzymy, wykonane w tym samym stylu. W obu przypadkach wyniosłe twarze o stoickim wyglądem dobrze komponują się z figurami. Inkowie pytani przez Francisca Pizarra w 1532 roku o Tiahuanaco powiedzieli, że żaden człowiek nie widział tego miasta inaczej niż w gruzach, bo zostało ono zbudowane w zamierzchłej przeszłości. Podania określały Wyspę Wielkanocną mianem „pępka świata”. Odległość między Tiahuanaco a wyspą wynosi ponad 5000 kilometrów. W jaki zatem sposób mogłoby dojść do zainspirowania jednej kultury przez drugą?

Być może pewnej wskazówki mogłaby nam udzielić preinkaska mitologia, w której występował sędziwy bóg stwórcy Wirakocza, który był bóstwem pradawnym i elementarnym. Zgodnie z legendą Wirakocza stworzył świat, kiedy jeszcze panowały ciemności i nie było Słońca. Wykuł w skale ród olbrzymów, ale kiedy ci nie spodobali mu się, zatopił ich w wielkiej wodzie. Następnie spowodował, że nad jeziorem

Titicaca wstało Słońce i Księżyc, aby Ziemia miała światło. A potem – czytamy uważnie! – w Tiahuanaco ulepił gliniane figurki człowieka i zwierzęcia i tchnął w nie życie. Odtąd uczył stworzone przez siebie istoty języka, zwyczajów i różnych umiejętności, aby w końcu wysłać niektóre z nich na inne kontynenty, które miały być w przyszłości przez nich zasiedlone. Dokonawszy tego, bóg Wirakocza jeździł z dwoma pomocnikami po wielu krajach, by sprawdzić, jak wykonywane są jego polecenia i jakie dają rezultaty. W przebraniu starca przemierzał wybrzeża i Andy, ale tu i ówdzie bywał źle przyjmowany. Pewnego razu w Cacha tak zdenerwował się zgotowanym mu przyjęciem, że pełen wściekłości podpalił skałę, od której zaczął płonąć cały kraj. Kiedy niewdzięczny lud błagał go o przebaczenie, ugasił płomień jednym gestem. Wirakocza udał się w dalszą drogę, udzielał rad i wskazówek, a w miejscach jego pobytu zbudowano wiele świątyń. W nadbrzeżnej prowincji Manta pożegnał się w końcu z ludźmi i zniknął za oceanem, odjeżdżając na falach, ale zamierzał jeszcze wrócić...

Hiszpańscy konkwistadorzy, którzy podbili Amerykę Południową i Środkową, wszędzie napotykali podania o Wirakoczy. Nigdy przedtem nie słyszeli o olbrzymich białych mężczyznach, przybyłych gdzieś z nieba... Z wielkim zdziwieniem dowiedzieli się o plemienu synów Słońca, którzy nauczali ludzi wszelkich umiejętności, a potem znikali. A we wszystkich zasłyszanych przez Hiszpanów legendach było zapewnienie, że synowie Słońca powrócą.

Kontynent amerykański jest ojczyzną bardzo starych kultur, ale nasza dokładna wiedza o Ameryce sięga zaledwie 1000 lat. Jest całkowicie niezrozumiałe, dlaczego 3000 lat p.n.e. Inkowie uprawiali w Peru bawełnę, choć nie znali krosien... Majowie budowali drogi, ale nie używali koła, choć je znali...

Cudem jakimś pięciopasmowy, fantastyczny naszyjnik z zielonego jadeitu znalazł się w grobowej piramidzie w Tikál, w Gwatemali! Cudem dlatego, że jadeit pochodzi z Chin... Niepojęte są rzeźby Olmeków! Piękne głowy olbrzymów w hełmach można podziwiać tylko na miejscu odkrycia. Również w przyszłości nie będzie ich można oglądać w muzeum, choć problem transportu rozwiązują współczesne 500-tonowe dźwigi i potężne ciężarówki, które mogą przewozić po kilka tysięcy ton. (Amerykańska Agencja Lotów Kosmicznych zleciła skonstruowanie dla rakiety Saturn ciężarówki o nośności nawet 7750 ton!) Dzieła sztuki Olmeków, ważące niekiedy ponad 100 ton, dałyby się zatem przetransportować bez kłopotów. Ale żaden tamtejszy most nie wytrzymałby obciążenia takim kolosem. Jednak nasi dawni przodkowie umieli tego dokonać. W jaki sposób?

Odnosi się wrażenie, jakby prastare ludy znajdowały szczególną przyjemność w przerzucaniu kamiennych gigantów nad górami i dolinami. Egipcjanie sprowadzali obeliski z Asuanu, architekci ze Stonehenge brali kamienne kłocze z południowo-zachodniej Walii i Marlborough, kamieniarze z Wyspy Wielkanocnej windowali gotowe już monstrualne posągi z odległych kamieniołomów na miejsce ekspozycji, zaś na

pytanie, skąd pochodzą monolity w Tiahuanaco, nikt nie umie odpowiedzieć. Dziwnym ludem musieli być nasi protoplaści, skoro tak chętnie robili sobie kłopot i budowali pomniki zawsze w najbardziej niedostępnych miejscach. Z czystej chęci utrudniania sobie życia?

Nie chcemy uważać artystów naszej wspaniałej przeszłości za głupców. Mogliby przecież równie dobrze wznosić świątynie i posągi blisko kamieniołomów, gdyby stare podania nie nakazywały im wybrania innych miejsc. Jesteśmy przekonani, że twierdza Inków w Sacsahuamán została wzniesiona nad Cuzco nie przypadkiem, lecz raczej dlatego, że według jakiegoś przekazu było to miejsce święte. Jesteśmy przekonani, że wszędzie tam, gdzie znaleziono najwięcej monumentalnych budowli, ziemia skrywa też najbardziej interesujące i najistotniejsze relikty naszej przeszłości, które poza wszystkim innym mogłyby zasadniczo przyczynić się do dalszego rozwoju lotów kosmicznych.

Obcy, nieznani kosmonauci, którzy przed tysiącami lat odwiedzili naszą planetę, nie byli zapewne mniej przewidujący od nas – ludzi współczesnych. Byli przekonani, że człowiek dokona pewnego dnia kroku we Wszechświecie o własnych siłach i na podstawie własnej wiedzy naukowej. Jest bowiem banalną prawidłowością historyczną, że istoty rozumne na jakiejś planecie zawsze poszukują życia i pokrewnych im istot w kosmosie.

Radioastronomowie nadali pierwsze sygnały radiowe zaadresowane do nieznanymi inteligencji. Nie wiemy, kiedy

otrzymamy odpowiedź: za 10, 15 czy 100 lat. Nie wiemy nawet tego, jaką gwiazdę powinniśmy namierzać, bo nie mamy pojęcia, która planeta jest dla nas najbardziej interesująca. Gdzie nasze sygnały napotkają obce, podobne ludziom istoty? Nie wiemy. Jednak wiele przemawia za tym, że informacje potrzebne do naszych celów są dla nas zdeponowane na Ziemi. Zmagamy się z siłą ciężenia, prowadzimy eksperymenty z silnikami wielkiej mocy, cząstkami elementarnymi i antymaterią. Czy jednak robimy dostatecznie dużo, aby znaleźć ukryte dla nas na Ziemi informacje, które pozwoliłyby wreszcie odkryć nasze korzenie?

Jeśli odczyta się dostępne nam źródła dosłownie, to wiele z tego, co do tej pory z mozołem ułożono w mozaikę naszej przeszłości, stanie się dosyć przekonujące: nie tylko istotne związki występujące w starych pismach, lecz także „konkretne fakty”, które dostrzegamy krytycznym okiem na całym świecie. W końcu po to mamy rozum, żeby go używać do myślenia.

Ostatnie poznanie człowieka będzie więc polegało na zrozumieniu, że jego dotychczasowy sens życia i wszystkie wysiłki na rzecz postępu sprowadzają się do tego, żeby czerpać wiedzę z przeszłości. Jest to konieczne, jeśli człowiek ma być zdolny do życia i współżycia w kosmosie. Skoro tak się stanie, najmądrzejszy i zdeklarowany indywidualista przekona się, że zadanie wszystkich ludzi polega na zasiedleniu kosmosu i wzajemnym przekazywaniu sobie energii i doświadczeń. Wówczas spełni się obietnica „bogów” o pokoju na Ziemi i otwartej drodze do nieba.

Skoro tylko będące do dyspozycji siły, środki i zasoby intelektualne przeznaczone zostaną na badania kosmosu, ich wynik doprowadzi do całkiem oczywistego wniosku o bezsensie wojen na Ziemi. Kiedy ludzie wszystkich ras, ludów i narodów zjednoczą się w ponadnarodowym zadaniu, aby uczynić technicznie możliwymi podróże na odległe planety, Ziemia ze wszystkimi swymi miniproblemami odnajdzie właściwą dla siebie miarę na tle Wszechświata.

Okultyści mogą zgasić swe lampy, alchemicy zniszczyć tygle, tajemne bractwa zdjąć habity. Głupstwa sprzedawane z takim powodzeniem przez całe tysiąclecia nie znajdą już drogi do ludzi. Kiedy Wszechświat otworzy swe podwoje, dla nas nadejdzie lepsza przyszłość.

Na podstawie dostępnej obecnie wiedzy sceptycznie oceniamy interpretacje najdawniejszej przeszłości ludzkości. Deklarowany sceptycyzm rozumiemy w tym sensie, w jakim mówił o nim Tomasz Mann w jednym z wykładów w latach 20. XX wieku:

„Pozytywne u sceptyka jest to, że wszystko uważa za możliwe”.

Rozdział 9

Miasta w dżungli zbudowane według kalendarza

Wędrówka ludów wycieczką familijną?

Bóg spóźnia się na spotkanie

Dlaczego obserwatoria są okrągłe?

Starożytne maszyny liczące

Dobry zestaw osobliwości

Choć podkreślamy, że nie jest naszym zamiarem stawianie pod znakiem zapytania historii ludzkości ostatnich 2000 lat, uważamy, że bogów greckich i rzymskich oraz większość legendarnych postaci i bohaterów otacza powiew bardzo odległej przeszłości. Od kiedy istnieją ludzie, żyją razem z nimi pradawne podania ludowe. Również młodsze kultury dostarczają motywów wskazujących na zamierzchłe i nieznane czasy.

Ruiny w dżunglach Gwatemali i Jukatenu wytrzymują każde porównanie z egipskimi wielkimi budowlami. Powierzchnia

podstawy piramidy z Cholula – 100 kilometrów na południe od stolicy Meksyku – jest większa niż piramida Cheopsa. Z kolei piramidy w Teotihuacán – 50 kilometrów na północ od Meksyku – zajmują powierzchnię prawie 20 kilometrów kwadratowych, a wszystkie odkryte budowle skierowane są ku gwiazdom. Najstarszy tekst o Teotihuacán informuje, że schodzili się tu bogowie i radzili na temat człowieka, zanim jeszcze w ogóle powstał gatunek *Homo sapiens*!

Pisaliśmy już o kalendarzu Majów, najdokładniejszym na świecie, i poznaliśmy równanie Wenus. Zostało dowiedzione, że wszystkie budowle w Chichén Itzá, Tikál, Copán czy Palenque wzniesiono na podstawie wspaniałego kalendarza Majów. Nie budowano piramidy dlatego, że jej potrzebowano, podobnie jak nie wznoszono świątyni, bo była niezbędna. Budowano je, ponieważ kalendarz nakazywał, aby co 52 lata wykonać określoną partię prac budowlanych. Każdy kamień pozostaje w związku z kalendarzem, każdy zbudowany gmach jest wykonany dokładnie według zasad astronomicznych.

To jednak, co wydarzyło się około 600 roku n.e. jest absolutnie niepojęte! Cały naród nagle i bez powodu opuścił swoje żmudnie i solidnie zbudowane miasta z ich bogatymi świątyniami, kunsztownymi piramidami, placami obramowanymi posągami oraz wspaniałymi stadionami. Dżungla wdarła się na ulice i do gmachów, rozsadzając ich mury. Nikt nigdy nie powrócił do opuszczonych miast.

Spróbujmy odnieść to wydarzenie, tę niezwykłą wędrówkę ludów, do realiów Egiptu. Całe pokolenia budowały według

wskazówek kalendarza świątynie, piramidy, miasta, zbiorniki wodne i ulice, mozolnie kształtowano z kamienia za pomocą prymitywnych narzędzi wspaniałe rzeźby dla ozdoby okazałych budowli, a kiedy ta trwająca ponad 1000 lat praca została ukończona – ludzie opuszczają swe siedziby i przenoszą się w nieprzyjazny im rejon na północy. Takie postępowanie, ulokowane w bliższej nam cywilizacji, wydaje się nie do pomyślenia, bo jest bezsensowne. Im bardziej wydarzenie jest niezrozumiałe, tym liczniejsze są próby interpretacji i mętne wyjaśnienia. Początkowo pojawiła się wersja, że Majów mogli wypędzić obcy przybysze. Kto jednak mógłby dorównać wówczas Majom, znajdującym się w szczytowym punkcie rozwoju swej cywilizacji i kultury? Nigdzie nie znaleziono żadnego śladu pozwalającego na wyprowadzenie wniosku o starciach zbrojnych. Godna uwagi jest idea, że wędrówkę ludów mogła spowodować duża zmiana klimatu. Nie ma jednak poszlak na rzecz tej interpretacji. Jak zresztą mogłyby być, skoro Stare Państwo Majów dzieli od granic Nowego Państwa tylko około 350 kilometrów w linii prostej, czyli odległość niewystarczająca do ucieczki przed katastrofą klimatyczną. Również przypuszczenie, że Majów skłoniła do wędrówki szalejąca epidemia, wymaga poważnej weryfikacji. Interpretacja ta, jedna z wielu, nie ma na swe poparcie najmniejszego nawet dowodu. Może nastąpiła wojna pokoleń? Młoda generacja wystąpiła przeciwko starej? Doszło do wojny domowej, do rewolucji? Gdyby przychylić się do jednej z tych możliwości, jest przecież jasne, że tylko część ludności,

mianowicie pokonani, opuściłaby kraj, zaś zwycięzcy pozostaliby na miejscu. Badania archeologiczne nie dostarczyły ani jednej wskazówki, aby został tu choć jeden przedstawiciel Majów! Wywędrował nagle cały naród, zostawiając w dżungli swe świętości bez opieki.

Do liczego chóru interpretatorów chcielibyśmy dołączyć swój głos, nową tezę, równie mało dowiedzioną jak wszystkie pozostałe spekulacje, niemogące do dzisiaj przytoczyć na swe poparcie żadnych niezbitych faktów. Naszej propozycji przypisujemy zatem śmiało i z przekonaniem taki sam stopień prawdopodobieństwa, jaki mają inne wyjaśnienia.

Przodkowie Majów zostali kiedyś, w bardzo dawnych czasach, odwiedzeni przez „bogów” (w których domyślamy się kosmitów). Wiele poszlak wspiera przypuszczenie, że przodkowie ludów amerykańskich przybyli ze starożytnego Wschodu. W świecie Majów ścisłą tajemnicą otaczano święte przekazy dotyczące astronomii, matematyki i kalendarza! „Bogowie” dali słowo, że powrócą pewnego dnia, i kapłani chronili otrzymaną wiedzę: stworzyli nową, wspaniałą religię, a mianowicie kult Kukulcana, czyli Latającego Węża.

Zgodnie z informacjami kapłanów, „bogowie” zamierzali ponownie przybyć z nieba wtedy, gdy gotowe już będą wielkie budowle wzniesione według zasad kalendarza. Kapłani dopingowali lud do budowy świątyń i piramid zgodnie ze świętym rytmem gwiazd, bo rok ukończenia dzieła miał być czasem radości. Bóg Kukulcan, który przybędzie z gwiazd,

obejmie w swe posiadanie budowle i odtąd znowu zamieszka wśród ludzi.

Tymczasem prace zostały zakończone, czas powrotu boga nadszedł – i nic się nie działo! Lud wznosił modły, śpiewał i czekał przez cały długi rok. Na próżno składano w ofierze niewolników, kosztowności, kukurydzę i oliwę. Nieme niebo nie dawało żadnego znaku. Nie pokazał się żaden wóz niebiański, nie słyszano żadnego szumu ani odległego huku. Nic, absolutnie nic się nie wydarzyło.

Jeśli nasza hipoteza jest słuszna, to rozczarowanie kapłanów i całego ludu musiało być straszliwe, bo wysiłek tysięcy lat poszedł na marne. Zrodziły się wątpliwości. Może w obliczeniach astronomicznych znajdował się błąd? Czy „bogowie” zjawią się w innym miejscu? Może ludzie padli ofiarą strasznej pomyłki?

Trzeba przypomnieć, że mistyczny rok Majów, dający początek kalendarzowi, przypadał na 3114 rok p.n.e., o czym świadczą ich pisma. Jeśli przyjąć tę datę za udowodnioną, to między nią a początkiem kultury egipskiej jest tylko kilkaset lat różnicy. Ten legendarny wiek wydaje się autentyczny, bo powtarza się wielokrotnie w precyzyjnym kalendarzu Majów. Skoro tak, wątpliwości wzbudza nie tylko kalendarz i wędrówka ludów, ale dodatkowy jeszcze, stosunkowo nowy fakt.

Dopiero w 1935 roku znaleziono w Palenque (Stare Państwo) rysunek w kamieniu, przedstawiający najprawdopodobniej boga Kukumaca (zwanego na Jukatanie Kukulcan). Nie potrzeba

wcale wybujałej fantazji, aby skłonić do refleksji nawet zdeklarowanego sceptyka, jeśli tylko spojrzy na ten rysunek bez uprzedzeń, w sposób można powiedzieć – naiwny.

Oto siedzi jakaś ludzka istota z pochylonym do przodu tułowiem, w pozycji kierowcy rajdowego, a jej pojazd każde współczesne dziecko zidentyfikuje jako raketę. Wehikuł jest z przodu spiczasty, następnie widać na nim dziwaczne, żłobkowate wybrzuszenia, podobne do rur ssących, potem rozszerza się, a na ogonie pojawia się płomień. Pochylona do przodu istota obsługuje rękami wiele nieznanych bliżej przyrządów kontrolnych, a piętę lewej stopy trzyma na czymś w rodzaju pedału. Ma na sobie ubiór stosowny do wykonywanego zajęcia: krótkie spodnie w kratkę z szerokim pasem, kurtka z modnym japońskim wycięciem pod szyją i dobrze dopasowane ściągacze na rękach i nogach. Na tle analogicznych wizerunków byłoby dziwne, gdyby na rysunku brakowało skomplikowanego kapelusza! Jest on, rzecz jasna, obecny w postaci antenowatego nakrycia głowy z wybrzuszeniami i rurkami. Pozycja ciała dokładnie ukazanego kosmonauty sygnalizuje pracę, a kosmita uważnie wpatruje się w aparat wiszący tuż przed jego twarzą. Kabina astronauty oddzielona jest przegrodą od tylnej części pojazdu, gdzie dostrzec można równomiernie rozłożone skrzynki, koła, punkty i spirale.

Co przekazuje ten rysunek? Nic? Czy wszystko, co wiąże go z lotami kosmicznymi, jest tylko głupią fantazją?

Jeśli z łańcucha przesłanek usunie się także kamienny relief z Palenque, to należy wątpić w rzetelność, z jaką bada się najważniejsze znaleziska. Przecież nikt nie doznaje urojeń wzrokowych, analizując ten wyraźnie widoczny rysunek.

Dlaczego Majowie – kontynuujmy ciąg pytań, na które nie ma dotąd odpowiedzi – zbudowali swe najstarsze ośrodki w dżungli, dlaczego nie nad rzeką lub nad morzem? Tikál np. leży 175 kilometrów w linii prostej od Zatoki Honduraskiej, 260 kilometrów na północny zachód od zatoki Campeche i 380 kilometrów w linii prostej na północ od Pacyfiku. Majom z całą pewnością nieobcy był kontakt z morzem, o czym świadczy wiele przedmiotów wykonanych z koralu, muszli i skorupiaków. Skąd zatem ta „ucieczka” w dżunglę? Po co budować zbiorniki, skoro można osiedlić się w pobliżu naturalnych zasobów wodnych. Tylko w samym Tikál znajduje się 13 zbiorników o pojemności 154 310 metrów sześciennych. Dlaczego trzeba było koniecznie żyć, budować i pracować tutaj, a nie w jakimś bardziej „logicznie” położonym miejscu?

Po swym wielkim marszu rozczarowani Majowie założyli na północy nowe państwo. I znowu powstały według kalendarza miasta, świątynie i piramidy. Chcąc dać wyobrażenie o dokładności kalendarza Majów, zamieszczamy tu ich jednostki czasu:

20 kinów = 1 uinal, czyli 20 dni

18 uinalów = 1 tun, czyli 360 dni

20 tunów = 1 katun, czyli 7200 dni

20 katunów = 1 baktun, czyli 144 000 dni

20 baktunów = 1 pictun, czyli 2 880 000 dni

20 pictunów = 1 calabtun, czyli 57 600 000 dni

20 calabtunów = 1 kinchiltun, czyli 1 152 000 000 dni

20 kinchiltunów = 1 alautun, czyli 23 040 000 000 dni

Ale nie tylko kamienne schody zbudowane zgodnie z kalendarzem górowały nad zielonym dachem dżungli, bo wzniesiono tam także obserwatoria!

Obserwatorium w Chichén Itzá jest najstarszą rotundą Majów. Nawet dzisiaj ten odrestaurowany budynek robi wrażenie nowoczesnego obserwatorium. Rotunda ulokowana na trzech tarasach wznosi się wysoko nad dżunglą, a wewnętrzne kręcone schody prowadzą do najwyższego punktu obserwacyjnego. Otwory i szczeliny w kopule, skierowane na poszczególne gwiazdy, dają w nocy ciekawy efekt rozgwieźdzonego nieba. Na ścianach zewnętrznych znajdują się maski boga deszczu... i rysunki skrzydlatej ludzkiej postaci.

Rzecz jasna, astronomiczne zainteresowania Majów nie są dostatecznym uzasadnieniem dla naszej hipotezy o ich związkach z inteligentnymi istotami na innych planetach. Liczba pytań, na które nie ma dotąd odpowiedzi, budzi konsternację. Skąd Majowie znali planety Urana i Neptuna?... Dlaczego wizjery w obserwatorium w Chichén Itzá nie są skierowane na najjaśniejsze gwiazdy?... O czym świadczy naskalny rysunek podróżującego rakieta boga z Palenque?... Jaki sens miał kalendarz Majów, zawierający obliczenia sięgające 400 000 000 lat?... W jaki sposób obliczyli długość roku

słonecznego i roku Wenus z dokładnością do czwartego miejsca po przecinku?... Kto przekazał im tę niepojętą wiedzę astronomiczną?... Czy każdy fakt z osobna był przypadkowym tworem geniuszu Majów, czy też może za każdym z nich, a zwłaszcza za wszystkimi razem, tkwi wiele więcej, może jakieś oszałamiające przesłanie dla bardzo odległej przyszłości, postrzeganej z ówczesnego punktu widzenia?

Jeśli posortujemy wszystkie fakty i nawet bardzo z grubsza oddzielimy ziarno od plew, to pozostanie jeszcze tak dużo niedorzeczności i licznych „niemożliwości”, że badania naukowe powinny otrzymać gwałtowny bodziec do wielkich, nowych wysiłków w celu przynajmniej częściowego rozwiązania licznych zagadek. W naszych czasach nauka nie powinna bowiem zadowalać się już konstatacją, że coś jest „niemożliwe”.

Musimy opowiedzieć jeszcze pewną ponurą historię, historię Sacred Well – świętej cenoty z Chichén Itzá. Z zalegającego tam cuchnącego mułu Edward Herbert Thompson wydobyl nie tylko ozdoby i przedmioty artystyczne, ale także szkielety młodzieńców i dziewcząt. Opierając się na starych źródłach, Diego de Landa twierdził, że w okresie suszy kapłani pielgrzymowali do świętego źródła i dla złagodzenia gniewu boga deszczu wrzucali do zbiornika w czasie uroczystej ceremonii dziewczęta i chłopców.

Tezę de Landy potwierdziło odkrycie Thompsona. Ta okrutna historia wydobyta ze studziennych głębin na światło dzienne rodzi nowe pytania. Jak powstał ten zbiornik wodny?...

Dlaczego ogłoszono go źródłem świętym?... Dlaczego właśnie ta cenota, skoro jest kilka innych podobnych?

Zaledwie 70 metrów od obserwatorium Majów w dżungli kryje się dokładne odwzorowanie świętej cenoty z Chichén Itzá. Otwór pilnowany przez węże, jadowite wije i natrętne insekty ma takie same wymiary jak „prawdziwa” studnia, jego prostopadłe ściany są tak samo zwietrzałe, porośnięte i zarośnięte dżunglą. Oba zbiorniki są do siebie wprost zdumiewająco podobne. Mają nawet tak samo wysokie lustro wody, która w obu wypadkach mieni się kolorami od zieleni do brązu i krwawej czerwieni. Bez wątplenia obie studnie są w tym samym wieku i być może zawdzięczają swe powstanie uderzeniom meteorytów. Jednak współczesna nauka zajmuje się tylko świętą studnią z Chichén Itzá. Druga, tak bardzo podobna, nie pasuje do schematu, choć obie oddalone są o 900 metrów od najwyższej piramidy w Castillo, należącej do boga Kukulcana, czyli Latającego Węża.

Wąż stanowi symbol prawie wszystkich budowli Majów. Jest to zastanawiające, bo lud żyjący pośród wspaniale bujnej roślinności powinien pozostawić na swych naskalnych rysunkach także jakieś motywy kwiatowe. Jednak wszędzie spotykamy budzącego wstręt węża. Od najdawniejszych czasów wąż wije się w pyle zakurzonej ziemi. Dlaczego wyposażono go tutaj w zdolność latania? Jako symbol zła został przecież skazany na pełzanie. Jak można oddawać boską cześć tak odrażającej kreaturze i po co jej zdolność latania? A u Majów wąż umiał latać. Bóg Kukulcan (= Kukumac) odpowiada

prawdopodobnie późniejszemu bogu Quetzalcoatlowi. Co przekazują o nim legendy Majów?

Quetzalcoatl nosił brodę i przybył w białej szacie z odległej krainy wschodzącego Słońca. Nauczył ludzi wszystkich umiejętności, praw, sztuk i zwyczajów oraz wydał bardzo mądre ustawy. Powiada się, że za jego panowania kłosa kukurydzy osiągały wzrost dorosłego człowieka, zaś bawełna kwitła na kolorowo. Kiedy Quetzalcoatl wypełnił swoją misję, powędrował – głosząc po drodze swą naukę – z powrotem ku morzu i wszedł na statek, który powiózł go ku Gwieździe Porannej. Prawie wstydzimy się już wspominać, że także brodaty Quetzalcoatl obiecał powrócić.

Nie brakuje interpretacji dotyczących pojawienia się mądrego, starego męża. Przypisuje się mu rolę swego rodzaju Mesjasza, bo istotnie brodaty mężczyzna w tych szerokościach geograficznych nie jest zjawiskiem codziennym. Istnieje nawet odważna wersja upatrująca w starym Quetzalcoatlu jednego z uczniów Jezusa! Nas to jednak nie przekonuje. Ktokolwiek przybyłby do Majów ze Starego Świata, ten znał koło przenoszące ludzi i rzeczy. Czy dla mędrca, dla boga jak Quetzalcoatl, który okazał się misjonarzem, prawodawcą, lekarzem i doradcą w wielu sprawach życiowych, nie byłoby czymś całkowicie oczywistym, aby nieszczęsnych Majów nauczyć przede wszystkim zastosowania koła i wozu? Ci natomiast nigdy nie używali tych przyrządów.

Zwińszmy jeszcze zamęt myślowy, przytaczając zestaw dziwacznych zjawisk z zamierzchłej przeszłości!

Greccy poławiacze gąbek znaleźli w 1900 roku na wysokości wyspy Antykithera stary wrak wypełniony posągami z marmuru i brązu. Dzieła sztuki zostały zabezpieczone, a późniejsze badania wykazały, że statek musiał zatonąć mniej więcej na początku naszej ery. Podczas sortowania znaleziono wśród różnych rupieci bezkształtną bryłę, która okazała się ważniejsza od wszystkich posągów razem wziętych. Po dokładnym zbadaniu i oczyszczeniu odkryto brązową płytę z kołami, napisami i kołami zębatymi, a wkrótce wiadomo już było, że napisy te musiały mieć związek z astronomią. Po oczyszczeniu licznych detali ukazała się dziwna konstrukcja – regularna maszyna z poruszającymi się wskazówkami, skomplikowaną skalą i zapisanymi płytkami metalowymi. Zrekonstruowana machina składa się z ponad 20 kółek, swego rodzaju napędowych mechanizmów różnicowych i koła głównego. Po jednej stronie jest obrotowy wałek, który wszystkie skale wprawia w ruch o różnej prędkości. Wskazówki chronione są pokrywkami z brązu, na których umieszczono długie napisy. Czy wobec istnienia „maszyny z Antykithery” można mieć jeszcze najmniejsze wątpliwości, że w starożytności działali mechanicy precyzyjni pierwszej klasy? Znaleziony przyrząd jest tak skomplikowany, że prawdopodobnie nie był pierwszym modelem takiego urządzenia. Amerykański profesor de Solla Price dopatrywał się w nim czegoś w rodzaju maszyny liczącej, która pozwalała na obliczanie ruchów Księżyca, Słońca, a zapewne także innych planet.

Nie jest tak ważne, że maszyna wykazuje rok produkcji 82 p.n.e. Bardziej interesujące byłoby zbadanie, kto skonstruował pierwszy model tego zminiaturyzowanego planetarium!

Fryderyk II, cesarz z dynastii Hohenstaufów, przywiózł, jak podają źródła, z piątej wyprawy krzyżowej w 1229 roku niezwykły namiot, pochodzący ze Wschodu. Wewnątrz namiotu znajdował się mechanizm zegarowy, a przez kopulasty dach widać było poruszające się gwiazdozbiory! Jeszcze jedno starożytne planetarium... Przyjmujemy do wiadomości jego istnienie, bo wiemy, że były wówczas przesłanki techniczne niezbędne do wykonania tej pracy. Sprawa planetarium niepokoi nas, bo w tamtych czasach nie było jeszcze wyobrażenia stałego układu gwiazd na niebie przy uwzględnieniu obrotów kuli ziemskiej. Nawet starożytni, wykształceni astronomowie chińscy i arabscy nie służą nam tu pomocą, zaś Galileusz z całą pewnością urodził się 1500 lat później... Turysta zwiedzający Ateny nie powinien pominąć „maszyny z Antykithery”, która przechowywana jest w Narodowym Muzeum Archeologicznym. O namiotowym planetarium Fryderyka II zachowały się natomiast tylko relacje pisemne.

Nawet jeśli starożytność była szara, to zostawiła nam zabawne rzeczy.

Na skałach pustynnej wyżyny Marcahuasi znaleziono 3800 metrów n.p.m. zarysy zwierząt, których przed 10 000 lat nie było w Ameryce Południowej – wielbłądów i lwów.

W Turkiestanie inżynierowie znaleźli półokrągłe twory z czegoś w rodzaju szkła lub ceramiki. Ich pochodzenie i znaczenie pozostaje dla archeologów niejasne.

W Dolinie Śmierci na pustyni Mojave znajdują się ruiny starego miasta, które musiało zostać zniszczone przez wielką katastrofę. Jeszcze dzisiaj widoczne są ślady stopionej skały i piasku. Ciepło wytworzone przez wybuch wulkanu nie wystarczyłoby do stopienia skał, a poza tym najpierw spaliłyby się budynki. Tylko promienie laserowe wytwarzają obecnie temperaturę dostatecznie wysoką dla takiej operacji. Dziwnym trafem na obszarze tym nie rośnie ani jedno źdźbło.

Hadżar el Guble, Kamień Południa, w Libanie waży 2 000 000 kilogramów. Choć jest to kamień obrobiony, z pewnością nie zdołały go poruszyć ludzkie ręce.

Na najbardziej niedostępnych ścianach skalnych w Australii, Peru i północnych Włoszech znajdują się sztucznie zrobione, niezinterpretowane jeszcze oznakowania.

Teksty na złotych płytkach, znalezionych w Ur w Chaldei, informują o podobnych do ludzi „bogach”, którzy przybyli z nieba i podarowali kapłanom te zapisy.

W takich krajach, jak Australia, Francja, Indie, Liban, RPA, Chile, znajdują się dziwne czarne „kamienie”, zawierające dużo aluminium i berylu. Najnowsze badania wykazały, że kamienie te w bardzo odległych czasach musiały podlegać silnemu napromieniowaniu radioaktywnemu i wysokim temperaturom.

Sumeryjskie tabliczki zapisane pismem klinowym ukazują gwiazdy stałe z planetami.

W Rosji znaleziono relief przedstawiający statek powietrzny składający się z 10 kul osadzonych w prostokątnej ramie, podtrzymywanej po obu stronach grubymi kolumnami, na których spoczywają kule. Wśród znalezisk rosyjskich znajduje się mała brązowa statuetka człekokształtnej istoty odzianej w ciężki ubiór, połączony hermetycznie z hełmem. Z ubraniem równie ściśle związane są buty i rękawice.

Z pewnej babilońskiej tabliczki, znajdującej się w British Museum w Londynie, można odczytać minione i przyszłe zaćmienia Księżyca.

W Kunming, stolicy chińskiej prowincji Jünnan, odkryto cylindryczne „maszyny”, przypominające rakiety wznoszące się do nieba. Rysunki znajdowały się na piramidach, które nieoczekiwanie wynurzyły się z dna jeziora Kunming podczas trzęsienia ziemi.

Jak wyjaśnia się nam te i wiele innych zagadek? Zbywanie hurtem starych przekazów jako fałszywych, błędnych i niewytłumaczalnych bez badania kontekstu nie jest niczym innym, jak nędzną wymówką. Podobnie jak bezczelnością jest określanie wszystkich przekładów jako wadliwych w wypadku trudności interpretacyjnych, ale posługiwanie się nimi, skoro tylko ich informacje pasują do danej tezy. Wydaje się nam tchórzostwem zamykanie oczu i uszu wobec faktów – lub choćby hipotez – tylko dlatego, że nowe wnioski mogłyby wyrwać ludzi ze swojskiego schematu myślenia.

Codziennie, co godzina dokonuje się na świecie nowych odkryć. Nowoczesne środki transportu i komunikacji informują

o odkryciach we wszystkich częściach kuli ziemskiej. Na podstawie przypadkowych danych można zbudować przy dobrej woli pewien system. Naukowcy wszystkich dyscyplin powinni z taką samą pasją badawczą odnosić się do doniesień z przeszłości, z jaką biorą twórczy udział w badaniu teraźniejszości. Dokonała się już pierwsza faza przygody związanej z odkrywaniem naszej przeszłości. Wraz z wejściem człowieka w kosmos zaczyna się druga fascynująca przygoda w historii ludzkości.

Rozdział 10

Czy loty kosmiczne mają sens?

Kto korzysta z zainwestowanych miliardów?

Wojna albo podróże kosmiczne!

**Jak to właściwie jest z wyśmiewanymi latającymi
spodkami?**

Już 60 lat temu nastąpiła eksplozja jądrowa

Czy księżyc Marsa jest sztucznym satelitą?

W dyskusji nad lotami kosmicznymi słyszy się ciągle pytanie, czy mają one sens. Względny lub całkowity bezsens eksploracji kosmosu próbuje się wykazać przez banalne stwierdzenie, że nie powinno się prowadzić badań we Wszechświecie, skoro na Ziemi jest jeszcze tak dużo nierozwiązanych problemów.

Nie chcąc popaść w niezrozumiałe dla laika wyjaśnienia naukowe, powinniśmy podać tutaj parę tylko zupełnie

oczywistych i nieodpartych argumentów, dla których badanie kosmosu jest absolutną koniecznością.

Ciekawość i głód wiedzy stanowią od samego początku motyw nieustannej pracy badawczej człowieka. Dwa pytania: DLACZEGO coś się dzieje? i JAK się dzieje?, były zawsze motorem rozwoju i postępu. Nieustannemu niepokojowi, jaki te pytania wywołują, zawdzięczamy swój obecny poziom życia. Nowoczesne, wygodne środki transportu oszczędziły nam niewygód podróży, które były udziałem naszych dziadków. Wiele trudów pracy fizycznej odczuwalnie złagodziły maszyny, a nowe źródła energii, preparaty chemiczne, lodówki, różnorodny sprzęt domowy itd. itp. całkowicie uwolniły nas od wielu prac, przedtem wykonywanych tylko ręcznie. To, co stworzyła nauka, nie staje się przekleństwem, lecz raczej błogosławieństwem ludzkości. Nawet jej najbardziej odstraszaający wytwór – bomba atomowa – okaże się dla ludzi korzystny.

Nauka współczesna osiąga wiele swych celów, idąc jakby w siedmiomilowych butach. W dziedzinie fotografii trzeba było 112 lat, zanim powstało pierwsze użyteczne zdjęcie. Telefon nadawał się do użytku już po 56 latach, a w wypadku radia od wynalazku do prawidłowego odbioru audycji upłynęło zaledwie 35 lat badań naukowych. Udoskonalenie radaru wymagało już jednak tylko 15 lat! Etapy dzielące epokowe wynalazki od ich zastosowania stają się coraz krótsze: telewizor czarno-biały zaprezentowano po 12 latach badań, a konstrukcja pierwszej bomby atomowej zajęła całe 6 lat! To tylko kilka przykładów

postępu technicznego w okresie 50 lat, budzących podziw i początkowo często grozę. Rozwój nauki następuje coraz szybciej, a do celu będą prowadzić coraz bardziej strome schody. Najbliższe 100 lat pozwoli na realizację większości odwiecznych marzeń ludzkości.

Nie bacząc na ostrzeżenia i opory, człowiek poszedł własną drogą. Wbrew archaicznym przestrogom, że woda jest żywiołem ryb, a przestworza środowiskiem ptaków, człowiek podbił te nie dla siebie przeznaczone obszary. Wbrew wszelkim tzw. prawom natury człowiek lata, zaś w atomowych łodziach podwodnych żyje pod wodą całymi miesiącami. Dzięki swej inteligencji zbudował sobie skrzydła i skrzela, których poskąpił mu Stwórca.

Kiedy Charles Lindbergh startował do swego legendarnego lotu, jego bezpośrednim celem był Paryż. Oczywiście nie chodziło mu o wycieczkę do stolicy Francji, lecz o wykazanie, że człowiek jest w stanie samotnie i bez szkody dla siebie przelecieć przez Atlantyk. Pierwszym celem lotów kosmicznych jest Księżyc, ale dzięki tej nowej idei naukowo-technicznej ludzie pragną udowodnić, że człowiek potrafi poradzić sobie także we Wszechświecie!

Po co zatem podróże kosmiczne?

W ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat nasza planeta będzie beznadziejnie i nieodwołalnie przeludniona. Statystycy szacują, że w 2050 roku liczba ludności wyniesie 8,7 miliarda! Zaledwie 200 lat później będzie już 50 miliardów i w rezultacie na jednym kilometrze kwadratowym będzie musiało żyć 335 ludzi.

Wprost niewiarygodne! Pigułki uspokajające w rodzaju teorii o pożywieniu pozyskiwanym z morza albo wręcz o zaludnieniu dna morskiego okażą się, szybciej niż chcieliby tego najśmielsi optymiści, złudnym remedium na eksplozję ludnościową. Na indonezyjskiej wyspie Lombok w pierwszym półroczu 1966 roku umarło z głodu ponad 10 000 ludzi, którzy rozpaczliwie próbowali utrzymać się przy życiu, jedząc ślimaki i rośliny. Sekretarz generalny ONZ U Thant ocenił liczbę dzieci zagrożonych głodem w Indiach na 20 000 000. Jest to dowód na słuszność twierdzenia profesora Mohlera z Zurychu, że głód sięga po władzę nad światem.

Wykazano już, że produkcja żywności nie dotrzymuje kroku wzrostowi ludności, i to mimo stosowania najnowocześniejszych środków technicznych i nawozów sztucznych. Współczesny świat zawdzięcza chemii również preparaty umożliwiające kontrolę urodzeń. Jednak na nic się one zdadzą, skoro kobiety w krajach zacofanych nie zrobią z nich żadnego użytku!

Tylko w wypadku, gdyby udało się w najbliższych 10 latach, czyli do 1980 roku (dane z pierwszego wydania tej pracy, przyp. red.), obniżyć wskaźnik urodzeń o połowę, produkcja żywności dorównałaby przyrostowi ludności. Jednak niestety nie możemy na to liczyć, ponieważ barierę wzniesioną z uprzedzeń, względów rzekomo etycznych i zasad religijnych przełamuje się w tempie wolniejszym, niż narasta nieszczęście przeludnienia. Czyżby umieranie co roku z głodu milionów

ludzi było bardziej humanitarne albo wręcz bardziej zgodne z wolą bożą niż zapobieganie narodzinom?

Jednak nawet gdyby w odległej przyszłości udało się przymusowo przeforsować kontrolę urodzeń, nawet gdyby powiększyła się powierzchnia upraw, plony wzrosły dzięki nieznanym jeszcze dzisiaj środkom, rybołówstwo zwielokrotniło połowy, a pola glonowe na dnie morza dostarczały pożywienia, gdyby nastąpiło to wszystko i jeszcze więcej, to cały problem przesunąłby się tylko w czasie może o jakieś 100 lat. Człowiek potrzebuje nowej przestrzeni życiowej.

Jesteśmy przekonani, że pewnego dnia ludzie osiedlą się na Marsie i zaaklimatyzują się tam równie dobrze, jak uczyniliby to Eskimosi przeniesieni do Egiptu. Planety, osiągalne dzięki gigantycznym statkom kosmicznym, zostaną zaludnione przez naszych wnuków, którzy skolonizują nowe światy, tak jak w nieodległej przeszłości zostały zasiedlone Ameryka i Australia. Dlatego musimy prowadzić badania kosmosu! Musimy dać naszym wnukom szansę przeżycia! Każde pokolenie, które zaniecha tego zadania, skazuje w przyszłości całą ludzkość na śmierć głodową.

Nie chodzi o jakieś abstrakcyjne badania, interesujące tylko specjalistów. Temu, kto nie poczuwa się do odpowiedzialności za przyszłość, można przypomnieć, że wyniki badań kosmicznych uchroniły nas przed trzecią wojną światową! Czyż to właśnie nie groźba totalnej zagłady odwiodła wielkie mocarstwa od rozstrzygania sporów i konfliktów rozpętaniem wielkiej wojny? Żaden Rosjanin nie musi już wkraczać na

ziemię amerykańską, aby zamienić USA w pustynię, a żaden Amerykanin nie musi już ginąć w Rosji, bo po uderzeniu atomowym cały kraj w wyniku napromieniowania i tak stanie się jałowy i nie do zamieszkania. Choć może to zabrzmieć absurdalnie, ale dopiero rakiety międzykontynentalne zapewniły nam względny pokój.

Przy różnych okazjach słychać opinię, że miliardy lokowane w badaniach kosmosu powinno się raczej przeznaczać na pomoc dla krajów rozwijających się. Pogląd ten jest błędny. Państwa uprzemysłowione udzielają pomocy nie tylko ze względów charytatywnych czy politycznych, ale także – co zrozumiałe – po to, aby otworzyć rynki zbytu dla rodzimego przemysłu. Pomoc, jakiej żądają kraje zacofane, jest nieistotna w dłuższej perspektywie czasowej.

Szacuje się, że w Indiach żyło w 1966 roku 1,6 miliarda szczurów, z których każdy pochłaniał rocznie około 5 kilogramów żywności. Jednak władze państwowe nie mają odwagi zlikwidować tej plagi, bo religia hinduska chroni szczury. W tych samych Indiach włóczy się 80 000 000 krów, które ani nie dają mleka, ani nie są używane jako zwierzęta pociągowe, nie mówiąc już o tym, że nie wolno ich zabić. W kraju, którego rozwój ku nowoczesności hamują tak liczne religijne tabu i prawa, musi minąć jeszcze wiele pokoleń, zanim zostaną usunięte zgubne zwyczaje, obyczaje i przesady. Także tutaj środki komunikacji typowe dla ery kosmicznej, takie jak gazety, radio i telewizja, służą postępowi i oświacie. Świat stał się sobie bliższy. Ludzie wiedzą i dowiadują się wzajemnie od

siebie więcej niż dawniej. Aby przekonać się ostatecznie, że granice państw są reliktem minionych czasów, potrzeba podróży kosmicznych. Rozwinięta dzięki nim technika spopularyzuje przekonanie, że maleńkie na tle Wszechświata rozmiary narodów i kontynentów mogą być tylko zachętą do współpracy w badaniu kosmosu. W każdej epoce ludzkość potrzebowała wyższej idei, która ponad przyziemnymi problemami pozwalała urzeczywistniać sprawy pozornie nieosiągalne.

W społeczeństwie przemysłowym bardzo ważkim argumentem na rzecz badań kosmicznych jest powstanie nowych gałęzi gospodarki dających zatrudnienie setkom tysięcy ludzi, którzy stracą poprzednie miejsca pracy w wyniku racjonalizacji produkcji. „Przemysł kosmiczny” w USA już teraz przejął od przemysłu samochodowego i stalowego funkcję barometru koniunktury. Ponad 4000 nowych artykułów zawdzięcza swe powstanie eksploracji kosmosu, bo są one jakby „produktami odpadowymi” głównych badań. Te produkty uboczne w sposób naturalny weszły do naszego życia codziennego i konsumenci nie zastanawiają się nad ich genezą. Elektroniczne maszyny liczące, mininadajniki i miniodbiorniki, tranzystory w aparatach radiowych i telewizyjnych zostały wynalezione na marginesie zasadniczych badań, podobnie zresztą jak patelnie, na których nie przypalają się już potrawy przyrządzane bez tłuszczu. Precyzyjne instrumenty pokładowe we wszystkich samolotach, w pełni automatyczne urządzenia nadzorujące i automaty samosterujące, a także – nie na

ostatnim miejscu – szybko rozwijająca się komputeryzacja są pochodną tak często odsądzanych od czci i wiary badań kosmicznych. Stanowią wkraczające w prywatne życie człowieka elementy szeroko zakrojonego programu rozwoju. Istnieje cały legion spraw, o których laik nie ma pojęcia: nowe technologie spawania i smarowania w warunkach wysokopróżniowych, komórki fotoelektryczne i nowe miniaturowe źródła energii, pokonujące duże odległości.

Z rzeki pieniędzy budżetowych, zasilającej badania kosmiczne, małymi strumyczkami płyną z powrotem do podatnika korzyści z wielkich inwestycji. Narody, które w żadnej formie nie uczestniczą w eksploracji kosmosu, zostaną stłamszone przez postępującą rewolucję techniczną. Takie nazwy i pojęcia, jak Telstar, Echo, Relay, Trios, Mariner, Ranger, Syncom, są znakami na drodze niepohamowanego postępu.

Zasoby energetyczne Ziemi nie są nieograniczone i dlatego pewnego dnia program kosmiczny zyska żywotne znaczenie, bo będziemy musieli sprowadzać materiały rozszczepialne z Marsa, Wenus albo innej planety, aby zapewnić oświetlenie naszym miastom i ogrzewanie naszym domom. Ponieważ elektrownie atomowe wkrótce będą produkować najtańszą energię, masowa produkcja przemysłowa będzie zdana na to źródło energii w sytuacji, gdy na Ziemi wyczerpią się zapasy surowca. Każdy dzień zaskakuje nas nowymi wynikami badań. Tradycyjne przekazywanie zdobytej wiedzy z ojca na syna należy już do nieodwołalnej przeszłości. Technik, który reperuje radiodbiornik działający na zasadzie prostego

naciśnięcia guzika, musi się znać na technice tranzystorowej i skomplikowanych obwodach scalonych wtopionych często w tworzywo sztuczne. Niedługo będzie musiał zająć się także mikroelektroniką. Wiedzę, którą dzisiaj przyswaja sobie Jaś uczeń, jutro będzie musiał uzupełniać Jan czeladnik. O ile majster z epoki naszych dziadków dysponował umiejętnościami wystarczającymi na całe życie, o tyle majster obecnie i w przyszłości musi na bieżąco dodawać nowe wiadomości do starej wiedzy.

Nasze Słońce, choćby dopiero za miliony lat, w końcu jednak wypali się i zamrze. Nie trzeba zresztą wcale strasznego momentu, w którym jakiś polityk straci nerwy i uruchamiając mechanizm atomowej zagłady, wywoła katastrofę, bo Ziemię może zniszczyć nieokreślone i nieznanne zjawisko kosmiczne. Nigdy dotąd człowiek nie pogodził się z myślą o takiej możliwości – nawet wtedy, gdy będąc wyznawcą jednej z wielu tysięcy religii, ma nadzieję na wieczne życie duszy.

Dlatego sądzimy, że badanie kosmosu nie jest rezultatem wolnego wyboru, lecz że człowiek idzie za silnym wewnętrznym przymusem, badając perspektywy swej przyszłości we Wszechświecie. Podobnie jak głosimy hipotezę, że w zamierzchłej przeszłości odwiedzili nas kosmici, tak zakładamy również, iż nie jesteśmy jedynymi istotami rozumnymi w kosmosie. Co więcej, podejrzewamy istnienie starszych i bardziej rozwiniętych inteligencji. Twierdząc, że wszystkie istoty inteligentne z własnej potrzeby prowadzą

badania kosmosu, przenosimy się istotnie na moment do krainy utopii i mamy świadomość wkładania kija w mrowisko!

Od lat stale pojawiają się „latające spodki” nazywane UFO – skrótem od amerykańskiego określenia Unidentified Flying Objects. Zgorszenie, że chcemy poważnie potraktować urojone UFO, zniknie być może, jeśli zajmiemy się kolejnym ważkim argumentem uzasadniającym podróże kosmiczne.

Powiaდა się, że badania kosmiczne są nierentowne, a żadne bogate państwo nie może bez obawy bankructwa łożyć na nie ogromnych środków. Rzecz jasna, badania naukowe same w sobie nigdy nie były dochodowe i dopiero ich wyniki pozwalały na zwrot nakładów. Całkiem nierealistycznie zatem oczekuje się od badań kosmicznych amortyzacji i zysków już na obecnym etapie. Nie ma zresztą bilansu zysków, jakie przyniosło 4000 „produktów ubocznych” badań. Nie ulega dla nas wątpliwości, że opłacają się one wyjątkowo dobrze. Kiedy osiągną swój cel, będziemy mogli nie tylko odcinać od nich kupony, ale w pełnym znaczeniu tego słowa przyniosą one ludzkości ratunek przed zagładą. Na marginesie można tylko zaznaczyć, że cała seria satelitów COMSAT wzbudza zainteresowanie ekonomistów.

Tygodnik „Stern” informował w listopadzie 1967 roku:

Większość medycznych aparatów ratujących życie pochodzi z Ameryki. Są one wynikiem systematycznego wykorzystywania osiągnięć z dziedziny atomistyki, kosmonautyki i techniki wojskowej. Są także efektem nowego typu współdziałania koncernów przemysłowych ze szpitalami w Ameryce, co prawie codziennie przynosi medycynie nowe sukcesy.

Firma lotnicza Lockheed i sławna klinika Mayo podjęły na przykład współpracę w celu stworzenia nowego systemu opieki medycznej na podstawie techniki komputerowej. Z kolei konstruktorzy firmy lotniczej North American Aviation majsterkują zgodnie ze wskazówkami lekarzy przy tak zwanym pasku rozedmowym, który ma ułatwić oddychanie pacjentom z niewydolnością płuc. Agencja ds. Lotów Kosmicznych NASA dostarczyła pomysłu pewnego aparatu diagnostycznego. Otóż urządzenie, pomyślane w zasadzie do mierzenia uderzeń mikrometeorytów w statek kosmiczny, rejestruje bardzo dokładnie drgania mięśni w niektórych schorzeniach neurologicznych.

Ratujący życie stymulator serca to również produkt uboczny amerykańskiej techniki komputerowej. Obecnie już tysiące Niemców noszą go w klatce piersiowej. Jest to instalowany pod skórą minigenerator o zasilaniu bateryjnym. Lekarze przesuwają z niego przewód przez górną żyłę szyjną do prawej komory serca. W rezultacie regularne impulsy elektryczne pobudzają serce do rytmicznych skurczów. Serce bije. Baterię stymulatora, która wypala się po trzech latach, można wymienić w trakcie stosunkowo prostej operacji.

Amerykański koncern elektryczny General Electric ulepszył to małe cudo techniki medycznej, wprowadzając model dwubiegowy. Kiedy osoba ze stymulatorem chce zagrać w tenisa albo podbiec do pociągu, przeciąga krótko magnetycznym paskiem w miejscu, gdzie zainstalowany jest generator. Serce natychmiast zaczyna pracować na wyższych obrotach.

Tyle informacja „Sterna”, podająca dwa dodatkowe przykłady ubocznych produktów badań kosmicznych. Kto ma jeszcze odwagę powiedzieć, że są one niepotrzebne?

W artykule pod tytułem *Inspiracja dzięki rakietom księżycowym* tygodnik „Die Zeit” podaje w numerze 47 z listopada 1967 roku informację z innej dziedziny:

Konstrukcjami pojazdów kosmicznych zbudowanymi z myślą o miękkim lądowaniu na Księżycu interesują się projektanci samochodów, bo dzięki nim znacznie można rozszerzyć wiedzę o zachowaniu się pojazdów w warunkach zniszczenia. Choć nie będzie możliwe, aby w każdym przypadku zderzenia auto stało się bezpieczne dla pasażerów, konstrukcje stosowane z dużym powodzeniem w kosmonautyce mogą przyczynić się do zmniejszenia ryzyka kolizji. Dużą trwałość przy małym ciężarze zapewnia konstrukcja zwana Honey Combs (plaster miodu), znajdująca coraz większe zastosowanie w nowoczesnym lotnictwie. Została ona też praktycznie wypróbowana w przemyśle samochodowym. Podwozie próbnego samochodu Rovera, napędzanego turbiną gazową, zbudowane jest właśnie z Honey Combs.

Ktoś, kto zna zaawansowanie i burzliwy rozwój badań kosmicznych, w ogóle nie musi zaprzętać sobie głowy uwagami typu: „Nigdy nie będą możliwe podróże międzygwiazdne”. Już młodsze pokolenia naszych czasów będą świadkami, jak ta „niemożliwość” staje się rzeczywistością! Będzie się budować wielkie statki kosmiczne z niewyobrażalnie potężnymi silnikami. W listopadzie 1967 roku Rosjanom udało się połączenie dwóch bezzałogowych pojazdów kosmicznych w stratosferze! Część badaczy pracuje nad pewnego rodzaju ekranem ochronnym – podobnym do elektrycznego łuku świetlnego – który umieszczony przed właściwą kapsułą zapobiegałby uderzaniu w nią cząsteczek materii albo kierował

je w bok. Grupa wybitnych fizyków pragnie dowieść istnienia tzw. tachionów. Chodzi tu o hipotetyczne cząstki, które poruszają się szybciej od światła, a których dolna prędkość równa jest prędkości światła. Wiadomo, że tachiony muszą istnieć i chodzi „tylko” o znalezienie fizycznego dowodu ich egzystencji. Przecież dowody na to, co „nie istnieje”, dostarczono już dla neutrina i antymaterii! Najbardziej upartych krytyków w chórze przeciwników lotów kosmicznych można by zapytać: czy rzeczywiście sądzą, że parę tysięcy być może najmądrzejszych ludzi naszych czasów z pasją poświęcałoby się pracy nad czystą utopią lub jakimś nieistotnym zagadnieniem?

Zajmijmy się zatem odważnie UFO, narażając się na niebezpieczeństwo, że nie zostaniemy potraktowani poważnie. Jeśli nawet tak się stanie, to znajdziemy się z naszymi rozważaniami w gronie godnych uznania, sławnych ludzi, co jest dużą pociechą.

UFO widziano zarówno w Ameryce, jak i nad Filipinami, nad zachodnimi Niemcami i nad Meksykiem. Załóżmy nawet, że 98 procent ludzi uważających, że widzieli UFO, w rzeczywistości spostrzegło pioruny kuliste, balony meteorologiczne, osobliwe konstelacje chmur, nieznanne jeszcze typy samolotów lub dziwną grę światła i cienia na zmierzchającym niebie. Z pewnością chmary ludzi uległy zbiorowej histerii: utrzymują, że widzieli coś, czego w ogóle nie było. Naturalnie byli też na miejscu ważniacy, którzy na rzekomej obserwacji chcieli zbić kapitał, dostarczając prasie materiału w sezonie ogórkowym. Po

oddzieleniu wszystkich blagierów, kłamców, histeryków i fantastów pozostaje jeszcze znaczna grupa trzeźwych obserwatorów, ludzi nieraz zawodowo zaznajomionych z podobnymi rzeczami. Zwykła gospodyni domowa czy farmer na Dzikim Zachodzie mogą się mylić, ale jeśli na przykład obiekt UFO widzi doświadczony pilot, to trudno zbyć tę relację jako nonsens. Pilot jest bowiem oswojony z mirażami, piorunami kulistymi, balonami meteorologicznymi itp. Poza tym regularnie poddawany jest badaniom sprawności wszystkich swoich zmysłów, w tym szczególnie ważnego wzroku, a kilka godzin przed lotem i podczas jego trwania nie wolno mu pić alkoholu. Nie ma też żadnego powodu, aby opowiadać głupstwa, bo łatwo mógłby stracić świetną, dobrze płatną pracę. Skoro jednak tę samą historię opowiada nie jeden kapitan lotnictwa, ale cała grupa pilotów (wśród nich wojskowi), należy dobrze nadstawić uszu.

Nie wiemy, czym są UFO. Nie twierdzimy, że chodzić tu musi o obiekty latające obcych istot rozumnych, jakkolwiek mało argumentów można by przeciwstawić temu przypuszczeniu. Niestety autorowi tej książki podczas jego podróży po całej kuli ziemskiej nigdy niedane było zaobserwować UFO. Możemy tylko przytoczyć kilka wiarygodnych, poświadczonych relacji.

Amerykański departament obrony poinformował 5 lutego 1965 roku, że specjalny wydział UFO otrzymał polecenie sprawdzenia relacji dwóch radiooperatorów. Obaj mężczyźni wykryli 29 stycznia 1965 roku na monitorach radarowych w bazie lotniczej w Maryland dwa nieznane obiekty latające,

które zbliżały się do lotniska od południa z niezwykłą prędkością 7680 kilometrów na godzinę. Na wysokości 50 kilometrów nad lotniskiem zrobiły nagły zwrot i szybko zniknęły z zasięgu radarów.

Trzeciego maja 1964 roku różni ludzie, w tym trzech meteorologów, obserwowali w Canberze w Australii duży, jasno świecący obiekt, który leciał na porannym niebie w kierunku północno-wschodnim. Świadczyli pytani przez wysłanników NASA opisywali, jak ta „rzecz” dziwnie zataczała się i jak mniejszy przedmiot zderzył się z większym. Mały obiekt zapłonął czerwono i zgasł, podczas gdy duży, zmierzając celowo w kierunku północno-zachodnim, zniknął obserwatorom z oczu. Jeden z meteorologów powiedział zrezygnowany: „Zawsze wyśmiewałem się z tych historii i co mam powiedzieć teraz, gdy sam zobaczyłem taką rzecz na własne oczy?”

Dwudziestego trzeciego listopada 1953 roku na ekranie radarowym w bazie powietrznej Kinross w Michigan zauważono nieznany obiekt latający. Porucznik lotnictwa R. Wilson, wykonujący wówczas lot ćwiczebny na odrzutowcu F-86, dostał pozwolenie, aby śledzić „tę rzecz”. Operatorzy radaru obserwowali, jak Wilson gonił nieznany obiekt przez 240 kilometrów. Nagle oba obiekty zlały się na ekranie radaru w jedno ciało. Wezwania do porucznika Wilsona pozostały bez odpowiedzi. Obszar, nad którym doszło do niewyjaśnionego wydarzenia, został w następnych dniach przeczesany przez specjalne oddziały w poszukiwaniu szczątków wraku odrzutowca, a pobliskie Jezioro Górne zbadano na okoliczność

śladów paliwa. Nie znaleziono niczego. Po poruczniku Wilsonie i jego maszynie zaginął wszelki ślad!

Trzynastego września 1965 roku sierżant policji Eugene Bertrand natknął się na drodze objazdowej w Exeter w stanie New Hampshire w USA tuż przed godziną pierwszą w nocy na zdenerwowaną kobietę przy kierownicy jej samochodu. Kobieta nie chciała jechać dalej, twierdząc, że olbrzymi, czerwonawo płonący latający przedmiot podążał za nią ponad 16 kilometrów aż do objazdu nr 101, po czym zniknął w lesie.

Policjant, człowiek starszy i rzeczowy, sądził, że kobieta zmyśla co nieco, kiedy usłyszał przez radio w swoim wozie taki sam meldunek od innego patrolu. Jego kolega Gene Toland z kwatery głównej polecił mu natychmiast wracać do centrali, gdzie pewien młody człowiek opowiedział tę samą historię, którą sierżant słyszał już od kobiety. Także ten świadek uciekł do przydrożnego rowu przed czerwonawo żarzącym przedmiotem.

Policjanci udali się na patrol niechętnie, święcie przekonani, że cała ta bzdura znajdzie rozsądne wyjaśnienie. Przez dwie godziny przeszukiwali okolicę, wreszcie postanowili wracać. Przejeżdżali właśnie obok łąki, gdy sześć pasących się tam koni nagle popędziło dziko przed siebie. Prawie jednocześnie cała okolica zajaśniała jaskrawoczerwonym światłem.

– Tam! Niech pan patrzy, tam! – krzyknął młody policjant.

Istotnie, nad drzewami unosił się ognście czerwony obiekt, który powoli i bezgłośnie zmierzał w kierunku obserwatorów. Bertrand zawiadomił telefonicznie swego kolegę Tolanda, że

właśnie widzi na własne oczy tę przekłętą rzecz. Teraz również farma leżąca na skraju drogi i okoliczne wzgórza spowiły się ostrą czerwoną poświatą. Drugi wóz policyjny z sierżantem Dave'em Huntem zatrzymał się z piskiem opon obok stojących mężczyzn.

– Do diabła – wyjąkał Dave. – Słyszałem, jak ty i Toland przekrzykiwaliście się w radiu. Myślałem, że dostaliście bzika... Ale to tutaj!

W przeprowadzonych później badaniach tego zagadkowego wydarzenia uczestniczyło 58 kompetentnych naocznych świadków, wśród nich meteorolodzy i członkowie straży nadbrzeżnej, czyli ludzie, których jako trzeźwych obserwatorów trudno byłoby posądzić o to, że nie są w stanie odróżnić balonu meteorologicznego od helikoptera, a spadającego satelity od samolotowych świateł pozycyjnych. Sprawozdanie zawiera rzeczowe dane, ale nie tłumaczy samego zjawiska.

Piątego maja 1967 roku wójt z Marliens na Złotym Wybrzeżu, Malliotte, odkrył na oddalonym o 623 metry od drogi polu koniczyny dziwną dziurę i znalazł głębokie na 30 centymetrów ślady jakiegoś koła średnicy 5 metrów. Od koła prowadziły we wszystkie strony bruzdy głębokości 10 centymetrów. Robiło to wrażenie, jakby w ziemi odcisnęła się ciężka krata metalowa. Tam, gdzie kończyły się bruzdy, znajdowały się dziury głębokie na 35 centymetrów, być może wciśnięte w ziemię przez „stopy” metalowej kraty. Szczególnie dziwny był drobny, fioletowo-biały pył, zalegający w bruzdach i dziurach. Miejsce to

zbadaliśmy w Marliens osobiście i z całą pewnością śladów tych nie mogły pozostawić duchy!

O czym świadczą te informacje? Jest pożałowania godne, w jaki sposób wielu ludzi i stowarzyszenia okultystyczne wykorzystują rzekome obserwacje. Zaciemniają przez to tylko rzeczywisty obraz i przeszkadzają zajmować się potwierdzonymi zjawiskami UFO poważnym uczonym, którzy w tej sytuacji obawiają się wystawienia siebie na pośmiewisko.

W audycji drugiego programu telewizji niemieckiej (ZDF) z 6 listopada 1967 roku poświęconej tematowi *Inwazja z kosmosu?* pilot Lufthansy opowiedział o wydarzeniu, którego był naocznym świadkiem wraz z czterema innymi członkami załogi. Otóż 15 lutego 1967 roku około 10–15 minut przed lądowaniem w San Francisco ujrzeli w pobliżu swej maszyny obiekt średnicy mniej więcej 10 metrów, który, jaskrawo świecąc, leciał przez jakiś czas obok nich. Przekazali swą obserwację do Uniwersytetu Colorado, a tamtejsi specjaliści z braku lepszego wyjaśnienia wysunęli przypuszczenie, że obiekt był opadającym kawałkiem jakiejś rakiety. Pilot powiedział, że mając za sobą 2 000 000 kilometrów w powietrzu, nie wierzy – podobnie jak jego koledzy – że spadający kawałek metalu mógłby przez kwadrans utrzymywać się w powietrzu i lecieć obok samolotu oraz że miałyby takie rozmiary. Nie wierzy w to wyjaśnienie tym bardziej, że niezidentyfikowane ciało latające można było obserwować z ziemi przez trzy kwadranse. Niemiecki pilot z całą pewnością nie robił wrażenia fantasty!

A oto dwa doniesienia z monachijskiej „Süddeutsche Zeitung” z 21 i 23 listopada 1967 roku:

Belgrad (Informacja własna). Nieznane obiekty latające (UFO) obserwuje się od kilku dni nad różnymi rejonami południowo-wschodniej Europy. Pod koniec tygodnia astronom amator sfotografował w Zagrzebiu trzy świecące na niebie przedmioty. Podczas gdy eksperci badali jeszcze wydrukowane w jugosłowiańskich gazetach zdjęcie, zameldowano już z górskich rejonów Czarnogóry o nowych obiektach UFO, które podobno wielokrotnie wywoływały nawet pożary lasów. Informacje te pochodzą głównie z miejscowości Ivangrad, której mieszkańcy stanowczo twierdzą, że w ostatnich dniach każdego wieczoru obserwowali na niebie jakieś dziwne, jasno oświetlone ciała. Władze potwierdzają wprawdzie, że w rejonie tym wielokrotnie dochodziło do pożarów lasu, ale do tej pory nie potrafią podać żadnej ich przyczyny.

Sofia (UPI). Nad bułgarską stolicą Sofią pojawiło się UFO. Jak podała bułgarska agencja informacyjna BTA, UFO można było rozpoznać gołym okiem. Zdaniem BTA obiekt latający był „większy od tarczy słonecznej i przybrał potem formę trapezu”. Przedmiot podobno silnie promieniował. Obiekt został też zaobserwowany przez teleskop w Sofii. Zdaniem pracownika naukowego bułgarskiego Instytutu Hydrologii i Meteorologii przedmiot poruszał się prawdopodobnie o własnych siłach. Leciał przypuszczalnie około 30 kilometrów nad ziemią.

Ludzie bezgranicznie głupi rzucają kłody pod nogi poważnym badaczom zjawisk UFO. Są osoby, które twierdzą, że pozostają w kontakcie z istotami pozaziemskimi. Dają o sobie znać grupy, które na gruncie niewyjaśnionych dotąd zjawisk rozwijają fantastyczne idee religijne, tworzą osobliwy światopogląd lub

wręcz twierdzą, że otrzymały od załóg UFO rozkazy dla ratowania ludzkości. Według religijnych fanatyków egipski „UFO anioł” przybywa oczywiście od Mahometa, azjatycki – od Buddy, zaś chrześcijański – gdyby ktoś miał wątpliwości – wprost od Jezusa.

Na VII Międzynarodowym Kongresie Badaczy UFO na jesieni 1967 roku profesor Hermann Oberth, określany mianem „ojca podróży kosmicznych” i niegdyś nauczyciel Wernhera von Brauna, powiedział, że UFO jest jeszcze „problemem pozanaukowym”. Prawdopodobnie jednak – kontynuował Oberth – UFO są „statkami kosmicznymi z obcych światów” i powiedział dosłownie: „Najpewniej istoty, które nimi sterują, wyprzedzają nas daleko pod względem kultury i jeśli postąpimy mądrze, możemy się od nich wiele nauczyć”.

Oberth, który prawidłowo prognozował rozwój techniki raketowej na Ziemi, przypuszcza, że na zewnętrznych planetach Układu Słonecznego istnieją warunki do samoródtwa. Jako naukowiec domaga się, aby także poważni uczeni zajmowali się problemami, które początkowo robią wrażenie zjawisk ze sfery fantazji. „Uczeni zachowują się jak przetuczone gęsi, które niczego już nie mogą strawić. Nowe idee odrzucają po prostu jako bezsens!” – powiedział Oberth.

W tekście pod tytułem *Późne podejrzenie* tygodnik „Die Zeit” z 17 listopada 1967 roku informuje:

Przez całe lata Sowieci ośmieszali zachodnią historię związaną z latającymi spodkami. W „Prawdzie” nie tak dawno zamieszczono oficjalne dementi, jakoby istniały takie dziwne

pojazdy niebieskie. Teraz jednak generał lotnictwa Anatolij Stoliakow został mianowany dyrektorem komitetu, który ma badać wszystkie informacje na temat UFO. Londyński „Times” pisze w związku z tym: „Niezależnie od tego, czy zjawiska UFO są produktami zbiorowej halucynacji, czy pochodzą od przybyszy z Wenus, czy też mają być interpretowane jako objawienia boskie – trzeba znaleźć dla nich jakieś wytłumaczenie, w przeciwnym wypadku Rosjanie nigdy nie powołaliby komitetu badawczego”.

Najbardziej spektakularne i zagadkowe wydarzenie związane ze zjawiskiem „materii z kosmosu” nastąpiło o godzinie 7.17 rano 30 czerwca 1908 roku w syberyjskiej tajdze. Ognista kula przetoczyła się po niebie i zginęła za horyzontem. Pasażerowie kolei transsyberyjskiej widzieli świecąca masę, która przesuwiała się z południa na północ. Pociągiem wstrząsnęło potężne uderzenie, potem nastąpiły eksplozje, a większość światowych stacji seismograficznych odnotowała bardzo silne wstrząsy. W Irkucku, położonym 900 kilometrów od epicentrum, wskazówki seismografów poruszały się przez prawie godzinę. W promieniu 1000 kilometrów słychać było trzaski. Całe stada reniferów zginęły, a koczownicy wylatywali w powietrze wraz ze swymi namiotami.

Dopiero w 1921 roku profesor Kulik rozpoczął zbieranie relacji naocznych świadków. W końcu udało mu się także zorganizować fundusze na wyprawę naukową w te słabo zaludnione rejony tajgi.

Kiedy wreszcie w 1927 roku ekspedycja dotarła w rejon rzeki Podkamienna Tunguska, jej uczestnicy byli przekonani, że

znaleźli krater po ogromnym meteorycie. Jednak przypuszczenie to okazało się błędne. Już w odległości 60 kilometrów od centrum eksplozji można było zobaczyć pierwsze drzewa pozbawione koron. Im bliżej krytycznego punktu, tym bardziej ogołocona była okolica. Drzewa bez gałęzi stały niczym słupy telegraficzne, a blisko centrum wybuchu najsilniejsze nawet okazy były powalone. W końcu znaleziono ślady ogromnego pożaru. W miarę posuwania się ku północy ekspedycja nabierała przeświadczenia, że musiała tu nastąpić potężna eksplozja. Kiedy na bagnistym terenie natrafiono na dziury bardzo różnych rozmiarów, podejrzewano, że jest to efekt uderzeń meteorytów. Kopano zatem i wiercono w bagnie, nie znaleziono jednak najmniejszego choćby kawałka żelaza, kamienia czy śladu niklu. Badania kontynuowano 2 lata później za pomocą lepszych środków technicznych i większych wiertni. Choć dokopano się do 36 metrów poniżej powierzchni ziemi, nie znaleziono żadnego śladu po meteorytach.

Sprowadzono czułe przyrządy, wychwytyjące w ziemi najmniejsze ilości metalu, ale i one niczego nie wykryły. Jednak coś musiało tu eksplodować, skoro widziało i słyszało to tysiące ludzi.

W latach 1961 i 1963 w rejon Tunguski wyruszyły na zlecenie Akademii Nauk ZSRR dwie dalsze wyprawy. Ekspedycją z 1963 roku kierował geofizyk Zołotow. Ta wyposażona w najnowocześniejszą aparaturę techniczną grupa naukowców doszła do wniosku, że wybuch nad syberyjską Tunguską musiał być eksplozją jądrową.

Rodzaj eksplozji można określić, gdy znane są różne parametry fizyczne, które ją spowodowały. Jednym z nich była ilość wypromieniowanej energii świetlnej. W tajdze w odległości 18 kilometrów od jądra eksplozji znaleziono drzewa, które zapaliły się, będąc w momencie wybuchu wystawione na promieniowanie świetlne. Zdrowe, zielone drzewo zapala się jednak tylko wtedy, gdy kumulacja energii świetlnej wynosi około 70 do 100 kalorii na centymetr kwadratowy. Wybuch zaś był tak jaskrawy, że jeszcze w odległości 200 kilometrów od epicentrum rzucał wtórny cień!

Pomiary wykazały, że energia świetlna eksplozji musiała wynosić około $2,8 \times 10^{23}$ ergów (erg jest w naukach przyrodniczych jednostką pracy. Chrabąszcz o masie ciała 1 grama wykonuje pracę 981 ergów, gdy wspina się 1 centymetr w górę po murze).

W zasięgu 18 kilometrów widać było na wierzchołkach drzew nadwęglone grubsze i cieńsze konary. Pozwala to wysunąć wniosek, że gwałtowny wzrost temperatury był rezultatem eksplozji, a nie pożaru lasu! Nadpalenia te widoczne są tylko w tych miejscach, gdzie żaden cień nie przesłonił rozprzestrzeniającego się błysku. Oznacza to, że jednoznacznie i bez wątplenia musiało chodzić o promieniowanie. Biorąc to wszystko pod uwagę, dla dokonania gigantycznych spustoszeń potrzebna była energia 10^{23} ergów. Odpowiada to sile zniszczenia jednej dziesięciomegatonowej bomby atomowej lub 100 000 000 000 000 000 000 000 000 ergów!

Wszystkie badania potwierdzają, że chodziło o eksplozję nuklearną i oddalają w krainę bajek takie interpretacje tego wydarzenia, jak uderzenie komety czy upadek wielkiego meteorytu.

Jak wytłumaczyć eksplozję jądrową w 1908 roku?

W marcu 1964 roku w pewnym artykule zamieszczonym w cenionej leningradzkiej gazecie „Zwieszda” pojawiła się teza, że inteligentne istoty z jakiejś planety z gwiazdozbioru Łabędzia podjęły próbę nawiązania kontaktu z Ziemią. Autorzy Henryk Ałtow i Walentyna Szuraliewa twierdzili, że uderzenie w tajdze syberyjskiej było odpowiedzią na gwałtowną erupcję położonego na Oceanie Indyjskim wulkanu Krakatau, który podczas wybuchu w 1853 roku wysłał w kosmos potężną wiązkę fal radiowych. Mieszkańcy dalekich gwiazd mylnie uznali fale radiowe za sygnał z kosmosu i dlatego skierowali na Ziemię zdecydowanie zbyt silny promień laserowy, który przekształcił się w materię, kiedy wysoko nad Syberią wszedł w atmosferę ziemską. Nie przyjmujemy tej interpretacji, bo wydaje się nam zbyt fantastyczna!

W równie małym stopniu możemy zaakceptować teorię, która chciałaby wytłumaczyć zjawisko znad Tunguski uderzeniem antymaterii. Jeśli zakładamy, że w głębiach kosmosu znajduje się antymateria, to z okolicy Tunguski nie powinna zostawić ani śladu, bo zderzenie materii z antymaterią prowadzi do wzajemnego unicestwienia. Poza tym jest bardzo mało prawdopodobne, aby jakaś część antymaterii dotarła do Ziemi, nie wchodząc na swej długiej drodze w kolizję z materią.

Chcielibyśmy raczej przyłączyć się do poglądów tych osób, które przypuszczają, że eksplozja jądrowa była spowodowana pęknięciem reaktora atomowego. Fantastyczne? Tak, z pewnością. Ale czy z tego powodu musi być niemożliwe?

Literatura o „meteorycie tunguskim” wypełnia całą szafę. Chcemy podkreślić jeszcze jeden fakt. Otóż poziom radioaktywności wokół centrum eksplozji w tajdze jest – jeszcze dzisiaj! – dwukrotnie wyższy niż gdzie indziej. Staranne badania drzew i ich rocznych słoików potwierdzają znaczny wzrost radioaktywności od 1908 roku.

Dopóki nie istnieje choć jeden niepodważalny naukowo dowód na to zjawisko – i wiele innych zresztą – nikt nie ma prawa bezpodstawnie odrzucać interpretacji mieszczącej się w zakresie tego, co możliwe.

Dosyć dobrze znamy planety naszego Układu Słonecznego. „Życie” w naszym rozumieniu tego pojęcia wchodziłoby w grę, ale w bardzo ograniczonym zakresie, najwyżej na Marsie. Człowiek określił teoretyczne granice występowania życia pojmowanego na własną modłę. Wyznacza je ekosfera. W jej obrębie w naszym Układzie Słonecznym znajdują się tylko trzy planety: Wenus, Ziemia i Mars. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że ustalenia dotyczące ekosfery biorą za punkt wyjścia nasze wyobrażenie o życiu, podczas gdy nieznanne jego przejawy wcale nie muszą odpowiadać naszym założeniom. Do 1962 roku uznawano za możliwe, że życie istnieje na planecie Wenus – mianowicie do czasu, kiedy Mariner II zbliżył się do niej na odległość 34 000 kilometrów. Na podstawie przesłanych przez

niego informacji również ta planeta nie wchodzi już w grę jako środowisko dla życia, w naszym tego słowa rozumieniu.

Z informacji przekazanych przez Mariner II wynika, że temperatura na powierzchni Wenus wynosi przeciętnie 430°C zarówno po stronie słonecznej, jak i w cieniu. Taka temperatura uniemożliwia występowanie wody na powierzchni planety. Mogłyby tam być tylko jeziora roztopionego metalu. Ulubione wyobrażenie o Wenus jako wdzięcznej bliźniaczej siostrze Ziemi należy do przeszłości, choćby nawet występujące tam węglowodory były pożywką dla wszelkiego rodzaju bakterii.

Nie tak dawno jeszcze uczeni twierdzili, że życie na Marsie nie jest możliwe. Od pewnego czasu słyszy się, że nie jest to wykluczone. Po sukcesie misji rozpoznawczej Mariner IV trzeba uznać – choćby ostrożnie – że istnieje pewne prawdopodobieństwo życia na tej planecie. Choć nie przyłączamy się do zwolenników teorii o istnieniu obdarzonych inteligencją Marsjan, chętnie uznamy możliwość występowania na Czerwonej Planecie niższych form życia. Nie da się wykluczyć, że nasz sąsiad Mars przed niezliczonymi tysiącami lat miał własną cywilizację. Na szczególną uwagę zasługuje w każdym razie księżyc Marsa – Fobos!

Mars ma dwa księżyce: Fobosa i Deimosa (co po grecku znaczy: Lęk i Trwoga). Były one znane długo przedtem, zanim amerykański astronom Asaph Hall odkrył je w 1877 roku. Johannes Kepler już w 1610 roku przypuszczał, że Marsowi towarzyszą dwa satelity. Choć mnich kapucyn Schyrll kilka lat później utrzymywał, jakoby widział księżyce Marsa, musiał on

ulec złudzeniu, bo za pomocą ówczesnych instrumentów optycznych w żadnym wypadku nie można było zobaczyć tych malutkich ciał niebieskich. Fascynujący jest wszakże opis, jaki Jonathan Swift zamieścił w 1727 roku w swej książce *Podróż Guliwera*. Jedną z podróży jest wyspa Laputa. Swift opisuje nie tylko oba księżyce Marsa, ale podaje nawet ich wielkość i orbity. W trzecim rozdziale czytamy:

Laputańscy astronomowie największą część życia swego przepędzają do obserwacji nieba i mają teleskopy nierównie lepsze od naszych. Lubo ich teleskopy tylko na trzy stopy długie, powiększają jednak więcej niżeli nasze, sto stóp długości mające, i daleko wyraziściej pokazują gwiazdy. Przez to zrobili odkrycia daleko ważniejsze niżeli nasi europejscy astronomowie. Odkryli dziesięć tysięcy gwiazd nieruchomych, gdy tymczasem my znamy zaledwie trzecią część tej liczby. Odkryli dwa trabynty Marsa, z których bliższy odległy jest od swej planety o trzy średnice, a dalszy o pięć średnic. Pierwszy obraca się w ciągu dziesięciu, drugi w ciągu dwudziestu jednej i pół godziny koło Marsa, tak że kwadraty ich periodycznych obrotów mają się do siebie jak sześciany ich odległości od Marsa, z czego wnosić trzeba, że podlegają tym samym prawom ciężkości jak inne ciała niebieskie.

Jakim sposobem Swift umiał opisać satelity Marsa, skoro zostały one odkryte dopiero 150 lat później? To prawda, że kilku astronomów już przed Swiftem podejrzewało ich istnienie, ale przypuszczenia nie wystarczyłyby do podania tak precyzyjnych danych! Nie wiemy, skąd pisarz czerpał swoją wiedzę.

Satelity Marsa są najmniejszymi i najdziwniejszymi księżycami w Układzie Słonecznym: obracają się bowiem nad

równikiem planety po prawie okrągłych orbitach! Jeżeli odbijają tyle samo światła co Księżyc, to Fobos powinien mieć średnicę 16 kilometrów, a Deimos – tylko 8 kilometrów. Gdyby jednak były to księżyce sztuczne i z tego powodu miały zdolność odbijania większej ilości światła, to w rzeczywistości mogłyby być jeszcze mniejsze. Są one jedynymi znanymi dotychczas księżycami naszego Układu Słonecznego, które poruszają się szybciej wokół macierzystej planety, niż ta obraca się wokół własnej osi. Gdy uwzględnić rotację Marsa, to Fobos w ciągu jednego marsjańskiego dnia obiega planetę dwa razy, natomiast Deimos obraca się wokół niej tylko trochę szybciej niż ona sama wokół własnej osi.

W 1862 roku, kiedy Ziemia znajdowała się w szczególnie korzystnym położeniu względem Marsa, daremnie poszukiwano marsjańskich księżyców. Odkryto je dopiero 15 lat później! Pojawiła się teoria planetoid, zgodnie z którą pewni astronomowie przypuszczali, że księżyce te są przechwyconymi przez Marsa kawałkami materii kosmicznej. Teoria planetoid jest jednak nie do utrzymania, bo oba księżyce obracają się nad równikiem prawie w tej samej płaszczyźnie. Przypadkowo mógłby się tak zachowywać tylko jeden odłamek z kosmosu. Na podstawie pomiarów wykształciła się potem nowoczesna teoria dotycząca tych satelitów.

Cieszący się uznaniem amerykański astronom Carl Sagan i rosyjski uczony Szkłowski potwierdzili w swej wydanej w 1966 roku książce *Intelligent Life in the Universe* (Inteligentne życie we Wszechświecie) teorię, że Fobos jest sztucznym satelitą. W

rezultacie wielu pomiarów Sagan doszedł bowiem do wniosku, że musi on być pusty w środku, a przecież nie może istnieć naturalny pusty księżyc.

Pewne właściwości orbity Fobosa nie zgadzają się z jego przypuszczalną masą, natomiast cechy takie typowe są dla orbit ciał pustych. Szklowski, kierownik działu radioastronomii w moskiewskim Instytucie im. Sternberga, wysunął tę samą tezę, gdy zaobserwował, że w ruchach Fobosa można stwierdzić osobliwe, nienaturalne przyspieszenie, które jest identyczne ze zjawiskami obserwowanymi u sztucznych satelitów Ziemi.

Fantastyczne teorie Sagana i Szklowskiego przyjmuje się bardzo poważnie. Amerykanie planują kolejne sondy na Marsa, które mają namierzyć również jego księżycy. Rosjanie chcą obserwować ruch księżyców Marsa z wielu obserwatoriów.

Jeśli słuszna jest prezentowana przez wybitnych uczonych na Wschodzie i Zachodzie teza, że na Marsie istniała niegdyś rozwinięta cywilizacja, to pojawia się pytanie, dlaczego przestała ona istnieć. Czy istoty rozumne z Marsa musiały poszukać sobie nowej przestrzeni życiowej? Czy do szukania nowych siedzib zmusiła je coraz mniejsza ilość tlenu na ojczystej planecie? Czy może winę za upadek cywilizacji ponosi jakaś katastrofa kosmiczna? I w końcu: czy część Marsjan zdołała się uratować na jakiejś sąsiedniej planecie?

Doktor Emanuel Wielikowski wyjaśniał w swej opublikowanej w 1950 roku i jeszcze dzisiaj przez fachowców szeroko dyskutowanej książce *Worlds in Collision* (Zderzenie światów), że z Marsem zderzyła się ogromna kometa i w efekcie

kolizji wykształciła się planeta Wenus. Potwierdzeniem tej teorii byłoby, gdyby na powierzchni Wenus panowała wysoka temperatura, planeta miała nietypową rotację i występowały tam chmury węglowodorowe. Ocena danych dostarczonych przez Mariner II potwierdziła teorie Wielikowskiego. Otóż Wenus jest jedyną planetą, która obraca się „do tyłu”, jedyną zatem, która inaczej niż Merkury, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn, Uran i Neptun nie trzyma się reguł gry Układu Słonecznego...

Branie pod uwagę katastrofy kosmicznej jako przyczyny zagłady cywilizacji na Marsie dostarcza pożywki dla naszej teorii, że w zamierzchłej przeszłości Ziemię mogli odwiedzić przybysze z kosmosu. Utopią lub możliwą spekulacją jest zatem teza, że jakaś grupa marsjańskich olbrzymów mogła znaleźć ratunek na Ziemi, aby wraz z żyjącymi tu wówczas półinteligentnymi istotami założyć nową cywilizację człowieka z gatunku *Homo sapiens*. Siła ciężenia jest na Marsie mniejsza niż na Ziemi – można zatem przypuszczać, że Marsjanie byli wyżsi i mieli potężniejszą budowę ciała w porównaniu z mieszkańcami naszej planety. Jeśli teoria ta zawiera żdźbło prawdy, to mielibyśmy tych olbrzymów, którzy przybyli z gwiazd, mogli poruszać ogromne bloki skalne, kształcili ludzi w nieznanym jeszcze umiejętnościach, a w końcu wymarli...

Nigdy jeszcze nie wiedzieliśmy tak mało o tak wielu sprawach jak obecnie. Jesteśmy pewni, że zagadnienie „człowiek i obce inteligencje” pozostanie aktualnym tematem dla nauki, zanim znajdzie ona odpowiedzi na wszystkie możliwe do rozwiązania zagadki.

Rozdział 11

Sygnaty wysyłane w kosmos

Czy przekaz myśli jest szybszy od światła?

Dziwny przypadek Cayce'a

Równanie z Green Bank

Prominentni przedstawiciele egzobiologii

Nad czym pracuje NASA?

Rozmowa z Wernherem von Braunem

Ósmego kwietnia 1960 roku wczesnym rankiem o godzinie czwartej w pewnej ustronnej dolinie w Wirginii Zachodniej rozpoczął się eksperyment. Wielki, mierzący 26 metrów radioteleskop z Green Bank został skierowany na odległą o 11,8 lat świetlnych gwiazdę Tau Ceti. Kierownik tego programu, młody amerykański astronom doktor Frank Drake – uczony cieszący się doskonałą opinią zawodową – chciał włączyć się w emisje radiowe innych cywilizacji, aby odebrać sygnały od

obcych istot rozumnych. Pierwsza, trwająca 150 godzin seria doświadczeń przeszła do historii astronomii jako projekt OZMA, choć pisane jej było niepowodzenie. Eksperymentu nie przerwano z tego powodu, że choćby jeden z pracujących nad nim uczonych uważał, jakoby w kosmosie nie było nadajników radiowych. Postąpiono tak raczej w przekonaniu, że nie ma jeszcze przyrządów, dzięki którym można osiągnąć założony cel. OZMA nie pozostanie jednak jedyną tego typu próbą. Być może na Księżycu zostanie zainstalowany radioteleskop, który z dala od zakłóceń ziemskich spenetruje niezmiernie międzygwiazdne przestrzenie w poszukiwaniu sygnałów radiowych.

Trzeba jednak zadać sobie pytanie, czy poszukiwanie tych sygnałów służy badaniom kosmicznym i czy nie byłoby bardziej celowe wysyłanie własnych sygnałów radiowych w kosmos. Nie możemy, rzecz jasna, wymagać od obcych istot inteligentnych, aby jakimś cudem znały język rosyjski, hiszpański lub angielski i tylko czekały na nasze wezwanie...

Przypuszczalnie istnieją trzy możliwości, dzięki którym możemy zameldować o swoim istnieniu. Są to: kodowane liczby (system binarny), promienie laserowe i przedstawienia obrazowe. Największe szanse przyznaje się pierwszemu wariantowi, ale musiałyby zostać wykryte i ustalone międzygalaktyczne długości fal, odbieralne w całym kosmosie. Mogłaby to być częstotliwość 1420 MHz, bo jest to częstotliwość promieniowania neutralnego wodoru, które powstaje przy zderzeniu jego atomów. Z uwagi na to, że wodór jest

pierwiastkiem – częstotliwość ta mogłaby być znana w całym Wszechświecie. Dodatkową okolicznością jest, że pasmo 1420 MHz leży poza chaosem ziemskich fal radiowych i tym samym możliwość błędów lub zakłóceń została ograniczona do minimum. W ten sposób można by wysyłać w kosmos impulsy radiowe, które zostaną rozpoznane przez obce istoty rozumne, jeśli takie zamieszkują Wszechświat.

W związku z tym niezwykle interesująca jest informacja tygodnika „Die Zeit” nr 51 z 22 grudnia 1967 roku. W artykule *Oświetlany Księżyc* czytamy:

Odległość Księżyca od Ziemi jest wprawdzie znana z dokładnością do kilkuset metrów, ale astronomowie nie chcą się tym zadowolić. Dlatego też astronauta przy okazji jednego z pierwszych lotów na Księżyc mają ze sobą zabrać lustro i tam je zainstalować. Lustro będą składały się – na wzór narożnika pokoju – z trzech prostopadle ułożonych odbijających światło płaszczyzn i będą wykazywały właściwość odbijania promieni świetlnych w kierunku źródła światła.

Ten system luster zostałby oświetlony z Ziemi błyskami światła trwającymi jedną milionową sekundy, wysyłanymi z lasera, z którym powiązany byłby teleskop średnicy 1,5 metra. Światło odbite od Księżyca ponownie byłoby przechwytywane przez teleskop i doprowadzane do powielacza elektronowego z fotokatodą.

Znając prędkość światła i czas, jakiego potrzebuje promień lasera na przebycie drogi w obie strony, można określić odległość Ziemi od Księżyca z dokładnością do 1,5 metra.

Możliwe jest także przesyłanie impulsów z innych planet na Ziemię! Od dłuższego już czasu fale radiowe przemierzają

Wszechświat. Czy nie jest możliwe, aby – jeśli nasza hipoteza jest słuszna – obce istoty obdarzone inteligencją dały nam o sobie znać? Na przykład energia promieniowania gwiazdy CTA-102 wzrosła nagle na jesieni 1964 roku. Astronomowie rosyjscy poinformowali, że być może były to sygnały od pozaziemskiej supercywilizacji. Gwiazda CTA-102 jest odnotowana przez radioastronomów z California Institute of Technology pod numerem katalogowym 102 – i stąd jej nazwa.

Astronom Szołomicki powiedział 13 kwietnia 1965 roku w sali wykładowej Instytutu im. Sternberga w Moskwie: „Pod koniec września i na początku października 1964 roku energia promieniowania gwiazdy CTA-102 stała się znacznie silniejsza, ale tylko na krótki czas, i potem znowu zanikła. Zarejestrowaliśmy zjawisko i odczekaliśmy. Pod koniec roku intensywność tego źródła znowu gwałtownie wzrosła, osiągając dokładnie w 100 dni po pierwszym zapisie drugi punkt szczytowy”. Jego szef profesor Szkłowski dodał, że tego typu wahania promieniowania należą do rzadkości.

Astrofizyk holenderski Maarten Schmidt stwierdził za pomocą dokładnych pomiarów, że CTA-102 musi być oddalona od Ziemi około 10 miliardów lat świetlnych. Oznacza to więc, że sygnały radiowe, jeśli pochodzą od istot inteligentnych, musiały zostać nadane przed 10 miliardami lat. W tym czasie jednak nasza planeta – zgodnie z obecnym stanem wiedzy – w ogóle jeszcze nie istniała. Ustalenie to może oznaczać śmiertelny cios dla poszukiwań innych istot we Wszechświecie.

Gdyby jednak poszukiwanie przejawów życia w kosmosie nie miało żadnych szans, astrofizycy w Ameryce i Rosji, w angielskim Jodrell Bank pod Manchesterem i w Stockert pod Bonn nie kierowaliby w ramach swego programu badawczego wielkich anten na tzw. gwiazdy radiowe i kwazary. Gwiazdy stałe Epsilon Eridani i Tau Ceti są od nas oddalone odpowiednio o 10,2 i 11,8 lat świetlnych. Fale radiowe skierowane do tych właśnie „sąsiadów” byłyby zatem w drodze około 11 lat i w rezultacie odpowiedź przysłaby do nas po upływie 22 lat. Połączenia radiowe z bardziej odległymi gwiazdami wymagają odpowiednio dłuższego czasu. W przypadku cywilizacji oddalonych o miliony lat świetlnych kontakty za pośrednictwem fal radiowych mijają się z celem. Czy jednak fale radiowe są jedynym środkiem technicznym, jakim dysponujemy dla nawiązania kontaktu z innymi cywilizacjami?

Moglibyśmy przecież zwrócić na siebie uwagę wizualnie! Silny promień laserowy, skierowany na Marsa lub Jowisza, nie pozostałby niezauważony, jeśli mieszkają tam istoty rozumne. (Nawiasem mówiąc: „laser” jest skrótem od wyrażenia Light Amplification by Stimulated Emission of Radiation, czyli wzmacnianie światła przez stymulowaną emisję promieniowania, a więc po prostu: wzmacniacz fal świetlnych). Inną cokolwiek fantastyczną możliwością byłoby obsianie wielkich powierzchni ziemi w taki sposób, by powstały uderzające kontrasty kolorystyczne, przedstawiające zarazem możliwie uniwersalne symbole geometryczne lub matematyczne. Idea śmiała, ale całkowicie możliwa do

realizacji. Boki wielkiego trójkąta równoramienne, mające po 1000 kilometrów długości, zostają obsadzone kartoflami, a w ten olbrzymi trójkąt wpisane zostaje koło obsiane pszenicą. Tym sposobem każdego lata powstawałoby trudne do przeoczenia żółte koło, otoczone zielonym równoramienym trójkątem. Eksperyment miałby również bardzo praktyczne znaczenie, dostarczając dodatkowych plonów! Jeżeli kosmos zamieszkują istoty rozumne, które szukałyby nas, tak jak my ich szukamy, to jaśniejące figury koła i trójkąta byłyby dla nich wskazówką, że formy te nie mogą być kaprysem natury... Podkreślmy – to tylko pewna możliwość. Ktoś zaproponował także, aby wznieść szereg latarni morskich, które kierowałyby swe światło w górę, tworząc model atomu... Propozycje i jeszcze raz propozycje.

Wszystkie one wychodzą z założenia, że ktoś obserwuje naszą planetę. Czy błędnie podchodzimy do problemu za pomocą tych ograniczonych środków?

Nawet komuś bardzo sceptycznemu i raczej niechętnemu wszelkiemu okultyzmowi nie uda się pominąć paru niewyjaśnionych jeszcze dzisiaj zjawisk, takich jak choćby statystycznie i naukowo uchwytny, ale nadal niewyjaśniony fenomen wzajemnego przekazywania myśli pomiędzy mózgami istot inteligentnych.

W oddziałach parapsychologicznych wielu renomowanych uniwersytetów bada się naukowymi metodami niewyjaśnione dotąd zjawiska, jak jasnowidztwo, widzenia senne, telepatia itp. Przy czym oddziela się i odrzuca wszelkie podejrzane historie o

duchach i upiorach, wywodzące się z okultyzmu lub religijnych urojeń. Uczeni zajmują się wyłącznie zjawiskami, które nadają się poniekąd do weryfikacji w badaniach laboratoryjnych. Badania indywidualne i grupowe potwierdziły występowanie zjawiska przekazywania myśli. Ta jeszcze nie tak dawno pogardzana dziedzina badań zrobiła duży krok naprzód.

W sierpniu 1959 roku zakończył się eksperyment Nautilus. Doświadczenie to nie tylko udowodniło zjawisko telepatii, lecz wykazało także, że kontakty intelektualne między ludzkimi mózgami mogą być silniejsze od fal radiowych. Eksperyment przebiegał następująco: łódź podwodna „Nautilus”, oddalona kilka tysięcy kilometrów od „nadajnika myśli”, zanurzyła się kilkaset metrów poniżej lustra wody. Wszystkie połączenia radiowe urwały się, bo fale radiowe nie są w stanie przeniknąć głęboko w wody morskie. Funkcjonowała natomiast wymiana myśli między panem X i panem Y.

Po przeprowadzeniu podobnych do opisanego testów zadajemy sobie najczęściej pytanie, do czego jeszcze jest zdolny ludzki umysł. Czy może on zdobyć się na wymianę myśli szybszą od prędkości światła? Znany w literaturze naukowej przypadek Cayce'a uzasadnia takie przypuszczenia.

Edgar Cayce, prosty wiejski chłopak z Kentucky, nie miał pojęcia, jak fantastyczne możliwości kryją się w jego głowie. Choć zmarł 5 stycznia 1945 roku, do dzisiaj lekarze i psycholodzy zajmują się interpretacją jego przypadku. Rygorystyczne American Medical Association wydało Edgarowi

Cayce'owi pozwolenie na udzielanie konsultacji, choć przecież nie był on lekarzem.

Edgar Cayce zapadł we wczesnej młodości na poważną chorobę. Wstrząsały nim skurcze, wysoka gorączka trawiła młode ciało, chory stracił przytomność. Podczas gdy lekarze bezskutecznie próbowali przywrócić dziecku przytomność, Edgar nagle zaczął głośno i wyraźnie mówić. Wyjaśnił, dlaczego jest chory, wymienił kilka leków, których mu potrzeba, i podał, z jakich składników należy przyrządzić maść, którą należy wcierać mu w kręgosłup. Lekarze i krewni byli zaskoczeni, bo nie mieli pojęcia, skąd u chłopca ta wiedza i zupełnie obce wyrażenia. Ponieważ przypadek wydawał się beznadziejny, spełniono wskazania chorego. Po zastosowaniu przepisanego leczenia zaczęła następować bardzo szybka poprawa zdrowia.

Wydarzenie stało się głośne. Ponieważ Edgar przemawiał, będąc nieprzytomny, pojawiły się propozycje, aby chłopca wprowadzać w stan hipnozy i „wydobywać” z niego w ten sposób porady medyczne. Edgar zdecydowanie odmawiał. Dopiero kiedy zachorował jego przyjaciel, podyktował precyzyjną receptę, używając wyrażeń łacińskich, których przedtem nigdy nie słyszał, a tym bardziej nie znał ich z książek. Po tygodniu przyjaciel Edgara był zdrów.

O ile pierwszy przypadek został wkrótce zapomniany jako mała, ale pod względem naukowym niezbyt poważna sensacja, o tyle to nowe wydarzenie skłoniło Medical Association do powołania komisji, która w razie powtórzenia się czegoś podobnego miała sporządzić protokół i spisywać nawet

najmniejsze szczegóły zdarzenia. Cayce wykazywał podczas snu wiedzę i umiejętności godne konsylium.

Kiedyś Edgar „zaordynował” pewnemu bardzo zamożnemu pacjentowi lekarstwo, którego nigdzie nie można było dostać. Człowiek ten dał kilka ogłoszeń do poczytnych międzynarodowych gazet. Młody lekarz z Paryża (!) odpisał, że jego ojciec przed laty wytwarzał ten lek, ale produkcja została już dawno wstrzymana. Skład medykamentu był identyczny ze wskazówkami Edgara Cayce’a.

Później Edgar „przepisuje” lekarstwo i podaje adres laboratorium w pewnym odległym mieście. W rozmowie telefonicznej dowiedziano się, że preparat został dopiero co wynaleziony, opracowany jest tylko przepis, dla leku szuka się nazwy i nie ma go jeszcze w sprzedaży.

Komisja składająca się z doświadczonych lekarzy jest daleka od tego, by wierzyć w telepatię; bada sprawę trzeźwo i rzeczowo, rejestruje to, co obserwuje, wie, że Edgar przez całe życie nie miał w ręku żadnej medycznej książki. Oblegany ze wszystkich stron świata Edgar udziela dwóch konsultacji dziennie, zawsze w obecności lekarzy i zawsze bezpłatnie. Jego diagnozy i zalecenia terapeutyczne są dokładne, ale z chwilą, gdy budzi się z transu, nie wie, co przedtem mówił. Kiedy członkowie komisji pytają go, w jaki sposób stawia diagnozy, Edgar przypuszcza, że jest w stanie wejść w kontakt z każdym dowolnym mózgiem, by zaczerpnąć od niego potrzebne mu informacje. Ponieważ mózg pacjenta również dokładnie wie, czego brakuje organizmowi, sprawa jest całkiem prosta. Edgar

wypytuje mózg chorego, a potem szuka na świecie takiego mózgu, który mu powie, co należy robić. On sam – uważał Edgar – jest tylko cząstką wszystkich mózgów...

Niesamowita wręcz idea, która przeniesiona na realia współczesnej techniki wyglądałaby następująco: w Nowym Jorku monstrualny komputer naładowany jest wszystkimi znanymi współcześnie danymi z dziedziny fizyki. Bez względu na to, kiedy i z jakiego miejsca kierowane byłyby do komputera pytania, udzielałby on odpowiedzi w ciągu ułamka sekundy. Inny komputer znajduje się w Zurychu i przechowywana jest w nim cała wiedza medyczna. Komputer w Moskwie dysponuje wszystkimi informacjami o biologii, inny – w Kairze – wie wszystko o astronomii. Krótko mówiąc: w różnych ośrodkach na świecie przechowuje się w połączonych ze sobą bezprzewodowo komputerach całą dostępną wiedzę uporządkowaną według dziedzin. Komputer w Kairze poproszony o informację medyczną przekazałby zapytanie w ciągu jednej setnej sekundy do komputera w Zurychu. Na zasadzie takiej właśnie, całkowicie już technicznie możliwej symultany musiał funkcjonować mózg Edgara Cayce'a.

Może pojawić się fantastyczna i śmiała spekulacja, co byłoby, gdyby wszystkie ludzkie mózgi (lub tylko kilka najbardziej wyrafinowanych) dysponowały nieznaną formą energii i miały możliwość nawiązywania kontaktu ze wszystkimi żywymi istotami? O funkcjach i możliwościach ludzkiego mózgu wiemy przerażająco mało; wiadomo, że zdrowy człowiek wykorzystuje tylko jedną dziesiątą część kory mózgowej. Co robi zatem

pozostałe dziewięć dziesiątych? Znane są udokumentowane naukowo fakty, że ludzie wychodzili z nieuleczalnych chorób wyłącznie siłą swej woli. Może dlatego, że na nieznaną nam zasadzie dodatkowo „włączała” się jedna lub dwie dziesiąte kory mózgowej?

Gdybyśmy przyjęli rzecz niesłychaną, że mózg wytwarza najsilniejsze formy energii, to mocny impuls psychiczny mógłby być odczuwalny wszędzie w tym samym czasie. Jeśli nauce udałoby się udowodnić taką „dziką” ideę, oznaczałoby to, że wszystkie inteligencje w kosmosie należą ze swej istoty do tej samej nieznaną struktury.

Posłużmy się pewnym modelem myślowym! Jeśli w zbiorniku z miliardami bakterii wywoła się w dowolnym miejscu silny impuls elektryczny, to odczuje go każdy rodzaj bakterii w każdym miejscu basenu. Impuls prądu będzie można odebrać wszędzie w tym samym momencie. Zdajemy sobie sprawę, że porównanie nieco kuleje, bo elektryczność jest znaną formą energii, związaną z prędkością światła. Chodzi nam natomiast o taką postać energii, która jest obecna i czynna w każdym miejscu jednocześnie. Zaledwie przeczuwamy istnienie nieznaną jeszcze energii, która kiedyś uczyni zrozumiałym to, co dzisiaj jest niepojęte.

Aby tej niesłychanej idei przydać szczypty prawdopodobieństwa, przytoczmy sprawozdanie z eksperymentu przeprowadzonego 29 i 30 maja 1965 roku, jedyne w swoim rodzaju pod względem zasięgu i metody. W tych dwóch dniach 1008 osób koncentrowało się w tym samym

czasie, a nawet w tej samej sekundzie, na obrazach, zdaniach i symbolach, które zostały przez nich – by tak rzec – „wypromieniowane” ze skumulowaną mocą w kosmos. Zadziwiający jest nie sam fakt masowego doświadczenia, lecz jego rezultaty. Osoby biorące w nim udział nie znały się wzajemnie i choć uczestników dzieliła odległość setek kilometrów, to w specjalnie przygotowanych ankietach 2,7% badanych odpowiedziało, że widziało obraz modelu atomu. Zważywszy, że jakakolwiek zmowa wśród „królików doświadczalnych” nie była możliwa, zaskakuje fakt, że aż 2,7% osób zadeklarowało postrzeżenie tego samego „obrazu myślowego”. Telepatia? Hokus-pokus? Przypadek? Zgoda, wszystko są to zagadnienia z gatunku science fiction, ale przecież było to doświadczenie zorganizowane przez uczonych. Kto jeszcze skłonny byłby sądzić, że dotarliśmy do kresu naszego poznania?

Równie niewytłumaczalne jest ustalenie grupy fizyków z uniwersytetu Princeton. Podczas badania rozpadu elektrycznie obojętnego mezonu K doszło do rezultatu, który teoretycznie w ogóle nie powinien nastąpić, bo był sprzeczny z od dawna dowiedzioną w fizyce jądrowej zasadą inwariancji czasowej, zgodnie z którą procesy zachodzące w cząstkach elementarnych postrzegano jako odwracalne w czasie.

Jeszcze jeden spektakularny przykład! Teoria względności głosi, że masa i energia są tylko różnymi przejawami tego samego zjawiska ($E = mc^2$). Zgodnie z tą zasadą – upraszczając nieco sprawę – masę można by wytworzyć z niczego,

przepuszczając na przykład silny promień energii obok ciężkiego jądra atomowego. Wówczas promień energii zanika w silnym elektrycznym polu energetycznym jądra atomowego, zaś na jego miejscu powstaje jeden elektron i jeden pozyton. Czyli energia w formie promienia przekształca się w masę dwóch elektronów. Dla umysłu laika zjawisko to wydaje się niemożliwe, ale proces ten tak właśnie przebiega. Nie ma się czego wstydzić, jeśli się nie potrafi zrozumieć Einsteina. Pewien uczony nazwał go „wielkim samotnikiem”, bo swoją teorię mógł on omawiać tylko z tuzinem współczesnych mu ludzi.

Po tej krótkiej wycieczce w niezbadane jeszcze rejony przekazów myśli i potencjalnych możliwości ludzkiego mózgu powróćmy do współczesności.

Nie jest już tajemnicą, że w listopadzie 1962 roku w National Radio Astronomy Observatory w Green Bank w Wirginii Zachodniej spotkało się na tajnej konferencji 11 wybitnych przedstawicieli nauki. Jej tematem było istnienie pozaziemskich istot inteligentnych. Uczeni – wśród których byli Giuseppe Cocconi, Su-Shu-Huang, Philip Morrison, Frank Drake, Otto Struve, Carl Sagan oraz laureat Nagrody Nobla Melvin Calvin, wszyscy ze stopniem doktora – uzgodnili na koniec posiedzenia tzw. równanie Green Bank. Zgodnie z tym wzorem tylko w naszej galaktyce znajduje się każdorazowo do 50 000 000 różnych cywilizacji, które bądź same próbują nawiązać z nami kontakt, bądź oczekują na znak z innych planet.

Człony równania Green Bank uwzględniają nie tylko wszystkie wchodzące w grę aspekty, ale uczeni podają dla

każdego członu dwie wartości: dopuszczalną według obecnej wiedzy wartość normalną oraz – minimalną.

$$N = R_+ f_p n_e f_1 f_i f_c L$$

A oto znaczenia poszczególnych elementów równania:

R_+ – przeciętny wskaźnik nowo powstających każdego roku gwiazd, podobnych do naszego Słońca.

f_p – odsetek gwiazd, na których może istnieć życie.

n_e – przeciętna liczba planet, które obiegają swoje słońca w ekosferze i tym samym według naszych norm spełniają warunki niezbędne do powstania życia.

f_1 – odsetek uprzywilejowanych planet, na których rzeczywiście rozwinęło się życie.

f_i – ta część „ożywionych” planet, które w okresie istnienia ich słońc zaludnione są przez istoty inteligentne dysponujące zdolnością do samodzielnego działania.

f_c – odsetek planet zamieszkanym przez istoty inteligentne mające już rozwiniętą cywilizację techniczną.

L – czas trwania danej cywilizacji, bo tylko dwie bardzo długo istniejące cywilizacje mają szansę spotkać się przy olbrzymich odległościach w kosmosie.

Jeżeli pod wszystkie parametry tego równania podstawimy absolutnie najniższe wartości, to:

$$N = 40$$

Jeśli jednak weźmie się dopuszczalne wartości maksymalne, to:

$N = 50\,000\,000$

Fantastyczne równanie z Green Bank wylicza zatem dla naszej Drogi Mlecznej w najmniej korzystnym wypadku 40 inteligentnych wspólnot, szukających kontaktu z innymi istotami obdarzonymi inteligencją. Najśmielsza możliwość podaje 50 000 000 obcych społeczności, czekających na znaki z kosmosu. Dla wszystkich rozważań z Green Bank podstawą nie są warunki obecnie panujące, lecz biorą one za punkt wyjścia liczbę gwiazd Drogi Mlecznej od początku jej istnienia.

Jeżeli zaakceptuje się równanie opracowane przez naukowy trust mózgów, to należy przyjąć, że przed setkami tysięcy lat istniały już cywilizacje pod względem technicznym bardziej rozwinięte od naszej. Jest to okoliczność, która wspiera naszą teorię o odwiedzinach kosmicznych „bogów” w zamierzchłej przeszłości. Amerykański astrobiolog doktor Sagan zapewnia, że istnieje czysto statystyczna możliwość, iż przedstawiciele pozaziemskiej cywilizacji mogli odwiedzić Ziemię przynajmniej raz w ciągu jej dziejów. U podstaw wszystkich rozważań i przypuszczeń mogą się kryć fantazje i życzenia, natomiast równanie z Green Bank pozwala obiektywnie obliczyć liczbę gwiazd, na których możliwe jest życie.

Nowa dziedzina wiedzy, tzw. egzobiologia, jest nadal w stadium powstawania. Nowe nauki zawsze z trudem zdobywają sobie uznanie. Egzobiologii trudniej przyszłoby walczyć o uznanie, gdyby osobistości cieszące się już ugruntowanym poważaniem nie zajęły się zawodowo tym obszarem badań, skierowanym na życie pozaziemskie. Cóż mogłoby lepiej

dowieść powagi nowej dyscypliny niż lista nazwisk zaangażowanych w nią osób:

Dr Freeman Quimby (szef programu egzobiologii w NASA), dr Ira Blei (NASA), dr Joshua Lederberg (NASA), dr L.P. Smith (NASA), dr R.E. Kaj (NASA), dr Richard Young (NASA), dr H.S. Brown (California Institute of Technology), dr Edward Purcell (prof. nadzw. fizyki na Uniwersytecie Harvarda), dr R.N. Bracewells (Radio Astronomy Institute Standford), dr Townes (laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 1964 roku), dr J.S. Szkłowski (Instytut im. Sternberga w Moskwie), sir Bernard Lovell (Jodrell Bank), dr Wernher von Braun (szef programu rakiet Saturn w USA), prof. dr Oberth – nauczyciel von Brauna, prof. dr Stuhlinger, prof. dr E. Sänger i wielu innych.

Nazwiska te przydają wiarygodności tysiącom egzobiologów na całym świecie. Pragnieniem wszystkich tych ludzi jest złamanie tabu, zburzenie muru bierności, jaki dotąd otacza wspomniane tu, leżące „naukowym odłogiem”, zagadnienia. Wbrew wszelkim oporom egzobiologia istnieje i pewnego dnia może stać się najbardziej interesującą i najważniejszą dyscypliną naukową.

W jaki jednak sposób można zdobyć dowód istnienia życia w kosmosie, zanim jeszcze ktoś się tam osobiście uda? Są statystyki i obliczenia, zdecydowanie potwierdzające życie pozaziemskie. Są dowody w postaci bakterii i zarodników występujących we Wszechświecie. Poszukiwania obcych inteligencji zostały zainicjowane, ale nie przyniosły jeszcze wymiernych, namacalnych i przekonujących rezultatów. To,

czego potrzebujemy, to dowody dla teorii i przypuszczeń, dyskwalifikowanych dzisiaj jako utopijne. NASA dysponuje gotowym programem badawczym, który powinien dostarczyć dowodu na istnienie życia w kosmosie. Osiem różnych sond, z których każda jest równie oryginalna, jak skomplikowana, ma dostarczyć świadectw życia na planetach Układu Słonecznego.

Oto zaprojektowane sondy:

- Optical Rotary Dispersion Profiles
- The Multivator
- The Vidicon Microscope
- The J-Band Life Detector
- The Radioisotope Biochemical Probe
- The Mass Spectrometer
- The Wolf Trap
- The Ultraviolet Spectrophotometer

Kilka wskazówek, co kryje się za tymi nic niemówiącymi laikowi technicznymi określeniami:

Optical Rotary Dispersion Profiles – to nazwa sondy wyposażonej w obrotowy sondujący reflektor świetlny. Po wylądowaniu na jakiejś planecie reflektor zaczyna emitować promienie, szukając molekuł. Molekuły są, jak wiadomo, warunkiem istnienia każdej postaci życia. Jedną z molekuł jest duża spiralna cząsteczka DNA, składająca się z trzech związków chemicznych: organicznej zasady zawierającej azot, cukru i kwasu fosforowego. Kiedy spolaryzowane światło napotyka molekułę cukru, zmienia się płaszczyzna drgań światła, bo zasada azotowa – adenina – w związku chemicznym z cukrem

staje się „optycznie aktywna”. Ponieważ cukier w DNA jest optycznie czynny, sondujący promień musi trafić jedynie na związek cukru i adeniny, aby natychmiast wyzwolić sygnał, który kierowany automatycznie na Ziemię dostarczyłby dowodu istnienia życia na obcej planecie.

Multivator – to ważąca zaledwie 500 gramów sonda, zabierana przez raketę jako lekki dodatkowy ładunek i następnie wystrzeliwana w pobliżu danej planety. Miniaturowe laboratorium jest w stanie przeprowadzić do 15 eksperymentów, a ich wyniki przesłać na Ziemię.

Sonda o oficjalnej nazwie Radioisotope Biochemical Probe, znana też jako „Gulliver”, ląduje miękko na powierzchni obcej planety i zaraz potem wypuszcza w różnych kierunkach lepkie sznury długości 15 metrów. Po kilku minutach sonda automatycznie wciąga sznury z powrotem, zaś to, co na nich pozostało – kurz, mikroby i wszelkie inne substancje biochemiczne – zanurza w płynnej pożywce. Część tego roztworu wzbogacona jest radioaktywnym izotopem węgla ^{14}C , a przechwycone mikroorganizmy wytwarzają w trakcie przemiany materii dwutlenek węgla CO_2 . Dwutlenek węgla można łatwo oddzielić od płynnej pożywki i doprowadzić do aparatu, który mierzy poziom radioaktywności gazu zawierającego jądra atomowe ^{14}C i przekazuje wyniki na Ziemię.

Chcemy opisać jeszcze jedno urządzenie, które NASA opracowała do poszukiwania przejawów pozaziemskiego życia. Jest to tak zwana „pułapka na wilki”. Wynalazca tego

minilaboratorium nazwał je pierwotnie „Bug-Detector”, ale jego współpracownicy przechrzcili je na „Wolfsfalle” (pułapka na wilki), bo ich szef nazywa się Wolf Vishniac. „Pułapka na wilki” ma miękko wylądować na obcej planecie, a następnie wysunąć próżniową rurę o bardzo łamliwym zakończeniu. Kiedy rura uderzy w podłoże, jej końcówka rozpadnie się i pojemnik zassie rozmaite próbki gleby. Sonda zawiera różne jałowe pożywki, gwarantujące każdemu gatunkowi bakterii szybki wzrost. Hodowla ewentualnych bakterii spowoduje zmętnienie przejrzystego płynu pożywki, a poza tym zmieni się wartość pH płynu. (Jest to wskaźnik określający kwasowość płynów). Obie te zmiany można łatwo i wiarygodnie zmierzyć: zmętnienie płynu za pomocą promienia świetlnego i fotokomórki, natomiast zmianę zawartości kwasów przez elektryczny pomiar pH. Wyniki badań pozwolą na wyciągnięcie wniosków o istnieniu życia.

Program NASA i skoordynowane badania w poszukiwaniu dowodów pozaziemskiego życia będą kosztowały miliony dolarów. Pierwsze biosondy mają wyruszyć w kierunku Marsa. Niewątpliwie w ślad za prekursorskimi minilaboratoriami wkrótce wyruszy człowiek. Osoby odpowiedzialne w NASA założyły, że pierwsi astronauty wylądują na Marsie najpóźniej 23 września 1986 roku. Ta precyzyjnie określona data ma swe uzasadnienie, bo rok 1986 to rok małej aktywności Słońca. Według doktora von Brauna ludzie mogliby lądować na Marsie już w 1982 roku. Specjaliści z NASA dysponują niezbędną do tego technologią, jednak amerykański Kongres nie przeznacz

dostatecznych funduszy, które regularnie zasilająby ośrodki badawcze. Obok wszystkich innych bieżących zobowiązań takie dwa pochłaniacze pieniędzy, jak wojna wietnamska i program kosmiczny, stanowią na dłuższy czas istotne obciążenie nawet dla najbogatszego państwa świata.

Istnieje rozkład jazdy na Marsa. Odpowiedni statek jest już zaprojektowany i musi zostać „tylko” zbudowany. Jego model stoi na biurku niezwykłego człowieka z Huntsville – profesora doktora Ernsta Stuhlingera, dyrektora Research Project Laboratory, które należy do George Marshall Space Flight Center w Huntsville w stanie Alabama. Stuhlinger zatrudnia w swych laboratoriach ponad 100 pracowników naukowych. Wykonuje się tu eksperymenty z dziedziny fizyki plazmy, fizyki nuklearnej i termofizyki. Poza tym tutejsi uczeni prowadzą badania podstawowe dla projektów sięgających w odległą przyszłość. Z nazwiskiem Stuhlingera na zawsze związane są prace nad najnowocześniejszymi elektrycznymi silnikami napędowymi. Jest on konstruktorem pojazdu na Marsa, który będzie przewoził ludzi na Czerwoną Planetę.

Doktor Stuhlinger wkrótce po II wojnie światowej został sprowadzony razem ze swym przyjacielem Wernherem von Braunem do USA, gdzie w Fort Bliss pracowali nad raketami dla amerykańskiego lotnictwa. Po wybuchu wojny koreańskiej obaj pionierzy techniki raketowej przenieśli się wraz ze 162 rodakami do Huntsville, aby od podstaw stworzyć projekt, jakiego nie znała nawet przyzwyczajona do gigantomanii Ameryka.

Huntsville było wówczas małą nudną dziurą u podnóża Appalachów. Po przybyciu raketowych specjalistów żyjąca z bawełny miejscina przekształciła się w istny cyrk. W ciągu paru lat w tempie zapierającym dech wystrzeliły w górę fabryki, stanowiska kontrolne, laboratoria, ogromne hangary i budynki biurowe z falistej blachy. Dzisiaj w Huntsville mieszka ponad 150 000 ludzi. Miasteczko zbudziło się ze snu, a jego mieszkańcy stali się zagorzałymi zwolennikami badań kosmicznych. Kiedy odpalano pierwszą rakietę Redstone, wielu ludzi z lękiem chroniło się w piwnicach swych domostw. Gdy obecnie testowana jest rakiet Saturn i powietrze wypełnia hałas, jakby w następnej chwili miał nastąpić koniec świata, nikt już się tym nie przejmuje.

Mieszkańcy Huntsville zawsze noszą ze sobą akustyczne ochraniacze na uszy, tak jak panowie w londyńskim City nie rozstają się z parasolami. Swoje miasto nazywają krótko „Rocket-City” i kiedy Kongres nie chce wyasygnować miliardów potrzebnych na cele kosmiczne, denerwują się i podejmują interwencje. Ludność Huntsville ma wszelkie powody do dumy ze swoich „Niemców” i NASA, bo miasto stało się największym ośrodkiem tej agencji. Tutaj wymyślono i skonstruowano rakiety, które znalazły się na pierwszych stronach gazet całego świata, poczynając od małej Redstone do gigantycznego Saturna V. Do tej pory USA zainwestowały w program badania Księżyca około 100 miliardów marek niemieckich. Zamówiono 15 rakiet Saturn V za 540 000 000 marek. Na starcie zbiorniki rakiet wypełnione są 4 000 000 litrów bardzo wybuchowego materiału

pędnego, który pozwala na rozwinięcie mocy 150 000 000 koni mechanicznych. Wielka rakieta waży prawie 3000 ton. Nad szczytnym celem podboju kosmosu pracuje w Huntsville pod kierunkiem Wernhera von Brauna około 7000 techników, inżynierów i uczonych pokrewnych dyscyplin. W całym amerykańskim programie kosmicznym zatrudnionych było w 1967 roku około 300 000 różnych uczonych i pracowników pomocniczych. Dla największego w dziejach przedsięwzięcia badawczego pracuje ponad 20 000 firm przemysłowych.

Austriacki uczony doktor Pscherra powiedział mi podczas wizyty w Huntsville, że zespoły badawcze muszą na bieżąco tworzyć nowe „wyroby”, których dotąd nikt na świecie nie produkuje i nie sprzedaje.

– Proszę spojrzeć tutaj – powiedział, wskazując mi wielki cylinder, w którym szumiało i burczało. – Przeprowadzamy doświadczenia ze smarami w warunkach wysokiej próżni. Czy wie pan, że nie możemy zastosować żadnego z niezliczonych produkowanych na świecie smarów? W przestrzeni kosmicznej całkowicie tracą one swoje właściwości. Nawet zwykły silnik elektryczny z dostępnymi smarami przestaje pracować najpóźniej po pół godzinie przebywania w przestrzeni bez powietrza. Cóż innego nam zatem pozostaje, jak wynaleźć nowy smar, który będzie się sprawdzał bez zarzutu także w warunkach próżni?

Z innego pomieszczenia dobiegały straszliwe jęki i skowyt. Dwa nieprzeciętnie duże, mocno osadzone w ziemi imadła próbowały rozerwać grubą na 10 centymetrów metalową płytę.

– To kolejna seria eksperymentów, których chętnie byśmy sobie oszczędzili – wyjaśnił doktor Pscherra. – Jednak nasze doświadczenia wykazały, że istniejące stopy metali nie wytrzymują warunków kosmicznych. Musimy zatem znaleźć takie, które odpowiadałyby naszym wymaganiom. Stąd próby na rozdarcie i wytrzymałość materiału we wszystkich możliwych sytuacjach, jakie tylko da się przewidzieć w kosmosie. Musimy opracowywać także nowe metody spawania. Szwy spawalnicze będą poddawane testom na zimno, gorąco, na wstrząsy, ciągnięcie i nacisk, tak abyśmy znali granicę, przy której szew się rozpada.

Towarzyszająca mi hostessa spojrzała na zegarek. Doktor Pscherra także popatrzył na swój. Wszyscy spoglądali na zegary. Pracownicy NASA już tego z pewnością nie zauważają, lecz osoba z zewnątrz rejestruje to najpierw z ciekawością, a potem i ona przyzwyczaja się do tego, że zerkanie na zegarek jest odruchowym gestem ludzi z NASA zarówno na Przylądku Kennedy’ego, jak i w Houston czy Huntsville. Wydaje się, jakby ciągle odliczali: ...cztery ...trzy ...dwa ...jeden ...zero.

Po kolejnych licznych kontrolach przez hale, korytarze i drzwi dotarliśmy do pana Pauli, który również pochodzi z Europy niemieckojęzycznej i pracuje w NASA od 13 lat. Otrzymałem biały hełm z napisem NASA na głowę i pan Pauli zaprowadził mnie na stanowisko kontrolne rakiety Saturn V. Pod skromnym określeniem „stanowisko kontrolne” kryje się betonowy kolos, który waży wiele setek ton, ma kilka pięter, do których wiodą windy i dźwigi, otoczony jest rampami, a w

środku zainstalowana jest pogmatwana wielokilometrowa sieć przewodów. Odpalony Saturn V powoduje hałas, który słyszy się nawet w odległości 20 kilometrów od miejsca startu. Stanowisko kontrolne głęboko zakotwiczone w skale i betonie unosi się podczas takich doświadczeń do 8 centymetrów w swoich fundamentach, a 1 500 000 litrów wody na sekundę pompowanych przez służbę chłodzi cały mechanizm. Do chłodzenia urządzeń podczas doświadczeń na stanowisku kontrolnym musiano zbudować stację pomp, która bez trudu mogłaby zaopatrywać w świeżą wodę miasto wielkości Düsseldorfu. Sam tylko eksperyment ze spalaniem kosztuje prawie 5 000 000 marek! Kosmosu nie da się zdobyć tanim kosztem...

Huntsville jest jednym z 18 ośrodków NASA. A oto kompletna lista, którą należałoby zanotować, bo być może będą to kiedyś lotniska kosmiczne:

- Armes Research Center, Moffett Field, Kalifornia
- Electronics Research Center, Cambridge, Massachusetts
- Flight Research Center, Edwards, Kalifornia
- Goddard Space Flight Center, Greenbelt, Maryland
- Propulsion Laboratory, Pasadena, Kalifornia
- John F. Kennedy Space Center, Floryda
- Langley Research Center, Hampton, Wirginia
- Lewis Research Center, Cleveland, Ohio
- Manned Spacecraft Center, Houston, Teksas
- Nuclear Rocket Development Station, Jackass Flats
- Pacific Launch Operations Office, Lompoc, Kalifornia

- Wallops Station, Wallops Island, Wirginia
- Western Pernations Office, Santa Monica, Kalifornia
- NASA-Head-Quarters, Waszyngton DC.

Przemysł kosmiczny dawno już wyprzedził przemysł samochodowy jako wskaźnik koniunktury. W stacji kosmicznej na Przylądku Kennedy'ego zatrudnionych było 1 lipca 1967 roku 22 828 ludzi, zaś roczny budżet tylko tego jednego ośrodka wynosił w 1967 roku 475 784 000 dolarów!

I to wszystko dlatego, że paru pomyślników chce się koniecznie dostać na Księżyc? Sądzimy, że podaliśmy dostateczną liczbę przykładów na to, jak dużo już dzisiaj – w postaci produktów ubocznych – zawdzięczamy badaniom kosmosu: począwszy od przedmiotów codziennego użytku, a kończąc na skomplikowanych urządzeniach medycznych, które każdego dnia i każdej godziny ratują życie ludzkie na całym świecie. Rozwijająca się technika najnowszej generacji z całą pewnością nie jest dla ludzkości przekleństwem. Przeciwnie, w siedmiomilowych butach przybliży nas do przyszłości, która każdego dnia zaczyna się na nowo.

Autor miał okazję poprosić Wernhera von Brauna o ustosunkowanie się do wyłożonych w tej książce hipotez:

– Czy uważa pan, doktorze von Braun, za możliwe, że odkryjemy życie na innych planetach naszego Układu Słonecznego?

– Uważam za możliwe, że napotkamy niższe formy życia na Marsie.

– Czy sądzi pan, że możemy nie być jedynymi istotami inteligentnymi we Wszechświecie?

– Uważam to za całkiem prawdopodobne, że w nieskończonych przestrzeniach uniwersum istnieje nie tylko flora i fauna, ale także istoty rozumne. Odkrycie takiego życia jest zadaniem w najwyższym stopniu fascynującym i ciekawym. Uwzględniając jednak ogromne odległości między naszym Układem Słonecznym a innymi oraz jeszcze większe odległości dzielące naszą galaktykę od innych galaktyk, jest sprawą wątpliwą, czy uda się nam wykazać istnienie takich form życia lub wejść z nimi w bezpośredni kontakt.

– Czy jest możliwe, aby w naszej galaktyce żyły obecnie lub w przeszłości starsze i technicznie bardziej zaawansowane społeczności istot rozumnych?

– Nie mamy dotąd żadnych dowodów ani oznak, aby istoty rozumne starsze i bardziej od nas technicznie rozwinięte żyły teraz lub dawniej w galaktyce. Na podstawie rozważań statystycznych i filozoficznych jestem jednak przekonany o istnieniu takich bardziej zaawansowanych w rozwoju istot. Muszę zarazem podkreślić, że nie mamy żadnej naukowej podstawy uzasadniającej to przekonanie.

– Czy istnieje możliwość, aby starsze cywilizacje złożyły w zamierzonej przeszłości wizytę na naszej Ziemi?

– Nie chciałbym wykluczać takiej możliwości. O ile mi jednak wiadomo, do tej pory badania archeologiczne nie dostarczyły

podstaw do tego typu spekulacji.

Na tym kończy się rozmowa z niezwykle zapracowanym „ojcem rakiety Saturn”. Niestety autor nie miał okazji przedstawić mu dokładnie ani wszystkich osobliwych odkryć, niedorzeczności pozostawionych w starych księgach w postaci nierozwiązanych zagadek, ani zadać niezliczonych pytań, jakie narzucają się po zinterpretowaniu znalezisk archeologicznych pod kątem ich związków z kosmosem.

Rozdział 12

Fabryki myśli zabezpieczają przyszłość Dawnym prorokom było łatwiej Koło się zamyka

W jakim miejscu znajdujemy się dzisiaj?

Czy człowiek opanuje kiedyś Wszechświat?

Czy obce istoty z kosmosu odwiedziły w zamierzonych czasach Ziemię?

Czy gdzieś we Wszechświecie istoty rozumne próbują nawiązać z nami kontakt?

Czy nasza epoka z wybiegającymi w przyszłość wynalazkami jest rzeczywiście taka straszna?

Czy należy trzymać w tajemnicy najbardziej rewelacyjne wyniki badań?

Czy medycyna i biologia będą umiały ożywić głęboko zamrożonego człowieka?

Czy Ziemianie zasiedlą nowe planety?

Czy wejdą tam w związki z tubylcami?

Czy ludzie stworzą drugą, trzecią, czwartą... Ziemię?

Czy specjalne roboty zastąpią pewnego dnia chirurgów?

Czy szpitale w 2100 roku będą magazynami części zamiennych dla chorych ludzi?

Czy w odległej przyszłości będzie można przedłużać życie człowieka na czas nieokreślony dzięki sztucznym organom, takim jak serce, płuca, nerki itd.?

Czy *Nowy wspaniały świat* Huxleya nie stanie się pewnego dnia w całej swojej niewyobrażalności – rzeczywistością?

Zestaw podobnych pytań mógłby wypełnić całą książkę telefoniczną dużego miasta. Nie ma dnia, żeby w jakimś miejscu na świecie nie dokonywano jakiegoś nowego, niespodziewanego odkrycia – każdego dnia jedno pytanie z zestawu „niemożliwości” zostaje skreślone, bo doczekało się rozwiązania. Uniwersytet w Edynburgu otrzymał z fundacji Nuffielda pierwszą dotację w wysokości 270 000 funtów na opracowanie inteligentnego komputera. Zaaranżowano rozmowę między prototypem tego komputera a pewnym pacjentem, który nie chciał potem wierzyć, że kontaktował się z maszyną! Profesor doktor Michie – konstruktor komputera – twierdził, że jego maszyna zaczyna prowadzić ludzkie życie...

Nowa nauka nazywa się futurologia! Jej celem jest planowanie, gruntowne zbadanie i ogarnięcie przyszłości wszelkimi będącymi do dyspozycji metodami technicznymi i teoretycznymi. Wszędzie na świecie powstają fabryki myśli, które nie są niczym innym, jak klasztorami dzisiejszych uczonych zastanawiających się nad jutrem. Tylko w samej

Ameryce pracują 164 takie fabryki, wykonujące zamówienia rządowe i wielkiego przemysłu. Najbardziej znaną fabryką myśli jest RAND Corporation w Santa Monica w Kalifornii, powstała w 1945 roku z inicjatywy Sił Powietrznych USA, bo wysokiej rangi wojskowi zażyczyli sobie programu badawczego dla wojny międzykontynentalnej. W tym dwupiętrowym, z rozmachem zaprojektowanym centrum badawczym pracuje 843 wybranych wybitnych specjalistów. W tym właśnie budynku rodzą się pierwsze pomysły i plany najbardziej nieprawdopodobnych przedsięwzięć ludzkości. Uczni z RAND-u już w 1946 roku określili przydatność statku kosmicznego dla celów wojskowych. Kiedy w 1951 roku RAND opracował program różnych satelitów, uznano to za utopię. Od początku istnienia RAND-u świat zawdzięcza mu 3000 dokładnych sprawozdań o nieznanym dotąd zjawiskach. Uczni ośrodka opublikowali ponad 110 książek, które w niesłychany wręcz sposób pchnęły do przodu naszą kulturę i cywilizację.

Nie widać końca pracy badawczej i zapewne w ogóle go nie będzie.

Podobnymi zadaniami zajmują się także inne instytuty: Hudson Institut w Harmon-on-Hudson w stanie Nowy Jork, Tempo Center of Advanced Studies koncernu General Electric w Santa Barbara w Kalifornii, Arthur Little Institut w Cambridge w stanie Massachusetts i Battelle Institut w Columbus w Ohio.

Rządy i wielkie przedsiębiorstwa nie mogą się już obyć bez futurologów. Władze państwowe muszą bowiem planować z wyprzedzeniem przedsięwzięcia militarne, zaś wielkie firmy

przeprowadzają kalkulacje inwestycji z wyprzedzeniem kilkudziesięciu lat. Zadaniem futurologii jest planowanie rozwoju dużych aglomeracji na 100 i więcej lat z góry.

Dysponując obecną wiedzą, nietrudno przewidzieć dajmy na to, rozwój Meksyku w ciągu najbliższych 50 lat. W prognozie takiej uwzględnia się wszelkie okoliczności, takie jak: współczesny poziom techniki, środki komunikacji i transportu, tendencje polityczne i potencjalni przeciwnicy Meksyku. Skoro przewidywania takie istnieją obecnie, rzecz jasna, obce inteligencje mogły opracować przed 10 000 lat prognozę również dla planety Ziemia.

Ludzkość musi, używając wszystkich dostępnych sposobów, przewidywać i badać przyszłość. Bez studium nad przyszłością nie mielibyśmy prawdopodobnie żadnych szans na rozwiązanie zagadek naszej przeszłości. Kto wie, czy wokół wykopalisk archeologicznych nie leżą w nieładzie wskazówki ważne dla rozszyfrowania przeszłości, może nawet depreczemy po nich niedbale, nie umiając ich rozpoznać?!

Dlatego właśnie wysuwamy propozycję ustanowienia Roku Archeologii Utopijnej. Tak jak sami nie chcemy bezmyślnie „wierzyć” w mądrości dawnych systemów myślowych, tak ze swej strony nie domagamy się, aby „wierzono” w nasze hipotezy. Oczekujemy tylko i mamy nadzieję, że wkrótce nadejdzie właściwy czas, aby bez uprzedzeń zmierzyć się – za pomocą najbardziej wyrafinowanej technologii – z zagadkami przeszłości.

Nie nasza wina, że we Wszechświecie istnieją miliony innych planet...

Nie nasza wina, że na hełmie japońskiego posążka z Tokomai sprzed wielu tysięcy lat widać nowoczesne zaciski i osłony...

Nie nasza wina, że istnieje kamienna rzeźba z Palenque...

Nie nasza wina, że admirał Piri Reis nie spalił swoich starych map...

Nie nasza wina, że dawne księgi i historyczne podania wykazują tak dużo niedorzeczności...

...ale to nasza wina, jeśli wiedząc o tym wszystkim, nie zwracamy na to uwagi i nie traktujemy tego zbyt poważnie!

Człowiek ma przed sobą wspaniałą przyszłość, która przewyższy jeszcze jego wspaniałą przeszłość. Potrzebujemy badań nad kosmosem i przyszłością oraz odwagi, aby realizować niemożliwe z pozoru przedsięwzięcia. Takie jak na przykład projekt kompleksowych badań nad przeszłością, który może nam dostarczyć cennych wspomnień z przyszłości. Wspomnień, których prawdziwość zostanie naukowo dowiedziona i które rozjaśnią dzieje ludzkości bez potrzeby odwoływania się do wiary w nie. A wszystko to dla dobra przyszłych pokoleń.

Bibliografia

- Allen T. *The Quest*, Chilton Books, Filadelfia 1965
- Bacon E. *Auferstandene Geschichte*, Orell Füssli 1964
- Bass G.F. *Archäologie unter Wasser*, Lübbe 1966
- Betz O. *Offenbarung und Schriftforschung der Qumransekte*,
Mohr 1960
- Boschke F.L. *Z kosmosu na Ziemię*, PWN, Warszawa 1969
- Braun von Wernher *The next 20 years of interplanetary
exploration*, Marshall Space Flight Center, Huntsville 1965
- Burrows M. *Mehr Klarheit über die Schriftrollen*, Beck 1958
- Charroux Robert *Księga zdradzonych tajemnic*, Wydawnictwo
Pandora, Łódź 1994
- Charroux Robert *Phantastische Vergangenheit*, Herbig 1966
- Clark Gr. *Die ersten 500 000 Jahre* (w: *Die Welt aus der wir
kommen*, Knauer 1961)
- Clarke Arthur *Über den Himmel hinaus*, Econ 1960
- Clarke Arthur *Im höchsten Grade phantastisch*, Econ 1963
- Clarke Arthur *Eine neue Zeit bricht an*, Econ 1968
- Cordan W. *Das Buch des Rates, Mythos und Geschichte der
Maya*, Diederichs 1962

- Cottrel L. *Die Schmiede der Zivilisation*, Diana 1962
- Cyril A. *Gott-Könige besteigen den Thron* (w: *Die Welt aus der wir kommen*, Knauer 1961)
- Dupont A. *Les écrits essenien décomerts près de la Mer Morte*, Payot 1959
- Dutt M. Nath *Ramayana*, Kalcuta 1891. (wyd. pol. R.K. Narayan *Ramajana*, Książka i Wiedza, Warszawa 1984)
- Einstein A. *Istota teorii względności*, Pruszyński i S-ka, Warszawa 1997
- Fallaci O. *Wenn die Sonne stirbt*, Econ 1966
- Hapgood Ch.H. *Maps of the ancient Sea Kings*, Chilton Books, Filadelfia i Nowy Jork 1965
- Heindel M. *Światopogląd różokrzyżowców — ezoteryczne chrześcijaństwo przyszłości*, Wydawnictwo Pegaz, Warszawa 1993
- Hertel J. *Indische Märchen*, Diederichs 1961
- Herodot *Dzieje*, Czytelnik, Warszawa 1959 (wyd. II)
- Heyerdhal Thor *Aku-aku. Tajemnica Wyspy Wielkanocnej*, Iskry, Warszawa 1966 (wyd. III pełne)
- Hoenn K. *Sumerische und akkadische Hymnen und Gebete*, Artemis 1953
- Keller W. *A jednak Pismo Święte ma rację*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1959
- Kramer S.N. *Historia zaczyna się w Sumerze*, PWN, Warszawa 1961
- Lhote H. *Malowidła kwitnącej pustyni*, Iskry, Warszawa 1964

Lovell B. *Odkrywanie dalekiego wszechświata*, PWN, Warszawa 1966

Lohse E. *Die Texte aus Qumran*, Kosel 1964

Lohse E. *Objawienie świętego Jana*, Wydawnictwo Zwiastun, Warszawa 1985

Ley Willy *W niebo wpatrzeni. Nieoficjalna historia astronomii od Babilonu do ery kosmicznej*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985

Mallovan M.E.L. *Geburt der Schrift, Geburt der Geschichte* (w: *Die Welt aus der wir kommen*, Knauer 1961)

Mellaart J. *Der Mensch schlägt Wurzel* (w: *Die Welt aus der wir kommen*; Knauer 1961)

Mason J.A. *Das alte Peru*, Kindler 1965

Pakraduny T. *Die Welt der geheimen Mächte*, Tiroler Graphik 1952

Pauwels L. i Bergier J. *Aufbruch ins dritte Jahrtausend*, Scherz 1962

Pauwels L. i Bergier J. *Der Planet der unmöglichen Möglichkeiten*, Scherz 1968

Prause G. *Niemand hat Columbus ausgelacht*, Econ 1966

Reiche Maria *The mysterious markings of Nazca*, Nowy Jork 1947

Reiche Maria *Mystery of the Desert*, Lima 1949

Rüegg W. *Kulte und Orakel im alten Ägypten*, Artemis 1960

Rüegg W. *Zauberei und Jenseitsglauben im alten Ägypten*, Artemis 1961

Rüegg W. *Die ägyptische Götterwelt*, Artemis 1959

- Roy P.Ch. *Mahabharata*, Kalcuta 1889
- della Santa E. *Viracocha*, Bruksela 1963
- Sänger E. *Raumfahrt, heute, morgen, übermorgen*, Econ 1963
- Schwarz G.Th. *Archäologen an der Arbeit*, Franke 1965
- Schenk G. *Grundlagen der XXI. Jahrhunderts*, Deutsche Buchgemeinschaft 1965
- Shapley H. *Wir Kinder der Milchstrasse*, Econ 1965
- Surgue Th. *Edgar Cayce*, Dell Books 1957
- Sullivan Walter *Signale aus dem All*, Econ 1966
- Szkłowski J.S. i Sagan C. *Intelligent Life in the Universe*, Holden-Day-Inc. 1966
- Teilhard de Chardin *Człowiek. Struktura i kierunki grupy zoologicznej ludzkiej*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1967 (III wyd.)
- Teilhard de Chardin *Pisma*, tomy I–III, Instytut Wydawniczy PAX, Łódź 1984–1987
- Tozzer A.M. *Chichén Itzá and its cenote of sacrifice*, Memoirs of the Peabody Museum, Cambridge, Mass. 1957
- Wielikowski I. *Words in Collision*, Doubleday and Co, Nowy Jork 1950
- Watson W. *Im Bannkreis von Cathay* (w: *Die Welt aus der wir kommen*, Knauer 1961)
- Wauchope R. *Implications of radiocarbon dates*, From Middle and South America, Tulane University, Nowy Orlean 1954
- Ziegel F.Y. *Nuclear explosion over the Taiga* (US-Dep. of Commerce, Office of technical Services 1962)

Źródła ogólne

Kunst der Welt, 4 tomy, Neue Schw. Bibl. 1960 i 1961

Edda poetycka, Ossolineum, Wrocław 1986

Gilgamesz, Epos starożytnego Dwurzecza, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980

Relacion de las cosas de Yucatan, D. Landa, Meksyk 1938

Bhagawadgita, czyli Pieśń Pana, Ossolineum, Wrocław 1988

Bhagavad-gita taka, jaką jest. Pełne wydanie z oryginalnym tekstem sanskryckim, łacińską transliteracją, polskimi ekwiwalentami, tłumaczeniem i gruntownymi objaśnieniami, Vaduz, Liechtenstein 1981

Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Nowy Przekład. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa 1989

Shells and other Marine material from Tikál, University of Pennsylvania 1963

Chichén Itzá, Instituto Nacional de Antropologia e Historia, Meksyk 1965

Traktat über die Kriegskunst, Ministerstwo Obrony Narodowej NRD, Berlin 1957

Swift Jonathan, *Podróże Guliwera*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1971

Dokumentarbericht über den 4. internationalen UFO/IFO – Kongress in Wiesbaden, Karl Veit 1960

Report from Mars, Mariner 1964–1966; Jet Propulsion Laboratory, California Institute of Technology

The search for extraterrestrial life, NASA, Washington, DC

NASA at the John F. Kennedy Space Center

Manned space flight 1966, NASA

Meteorological satellites and sounding rockets, NASA 1966

Astronaut training, Manned Spacecraft Center, Houston, Fact sheet 290

NASA-FACTS Vol. II, No. 13

NASA-FACTS Vol. II, No. 5

NASA Marshall Space Flight Center, Public Affairs Office, 29.03.1966

NASA Marshall Space Flight Center, Public Affairs Office, 5.08.1966

NASA Marshall Space Flight Center, Public Affairs Office, 26.09.1966

NASA Marshall Space Flight Center, Public Affairs Office, 29.09.1966

„Der Spiegel” nr 46 z 6.11.1967

„Stern” nr 47 z 19.11.1967

„Die Zeit“ nr 46 z 17.11.1967, nr 47 z 25.11.1967 i nr 51 z 22.12.1967

Drugi Program Telewizji Niemieckiej (ZDF): *Invasion aus dem Kosmos?* z 6.11.1967

„Süddeutsche Zeitung”, Monachium z 21/23.11.1967

Przypisy dolne

[1] Wszystkie cytaty biblijne według: *Biblia to jest Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu*. Nowy przekład z języków hebrajskiego i greckiego opracowany przez Komisję Przekładu Pisma Świętego, Warszawa 1991 (przyp. tłum.).

Ilustracje

Note 22: Ohlmeyer and Burroughs Correspondence

8 RECONNAISSANCE TECHNICAL SQUADRON (SAC)
UNITED STATES AIR FORCE
WESTOVER AIR FORCE BASE
MASSACHUSETTS

Reply to
Attn of: RTC

6 July 1960

SUBJECT: Admiral Piri Reis World Map

To: Professor Charles H. Hapgood
Keene Teachers College
Keene, New Hampshire

DEAR PROFESSOR HAPGOOD:

Your request for evaluation of certain unusual features of the Piri Reis World Map of 1513 by this organization has been reviewed.

The claim that the lower part of the map portrays the Princess Martha Coast of Queen Maud Land Antarctica, and the Palmer Peninsula is reasonable. We find this is the most logical and in all probability the correct interpretation of the map.

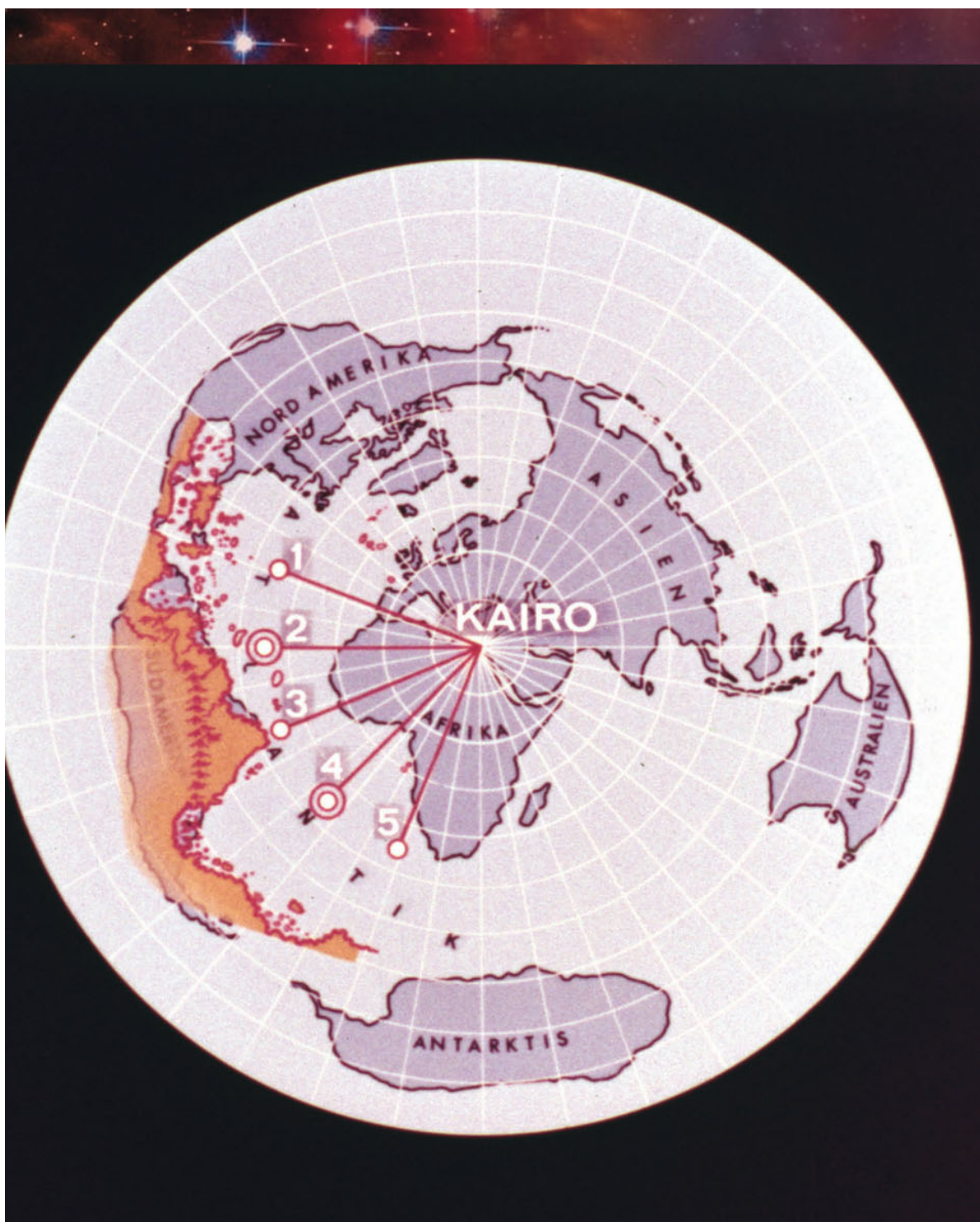
The geographical detail shown in the lower part of the map agrees very remarkably with the results of the Seismic profile made across the top of the ice cap by the Swedish-British-Norwegian Antarctic Expedition of 1949.

This indicates the coastline had been mapped before it was covered by the ice cap.

The ice cap in this region is now about a mile thick. We have no idea how the data on this map can be reconciled with the supposed state of geographical knowledge in 1513.

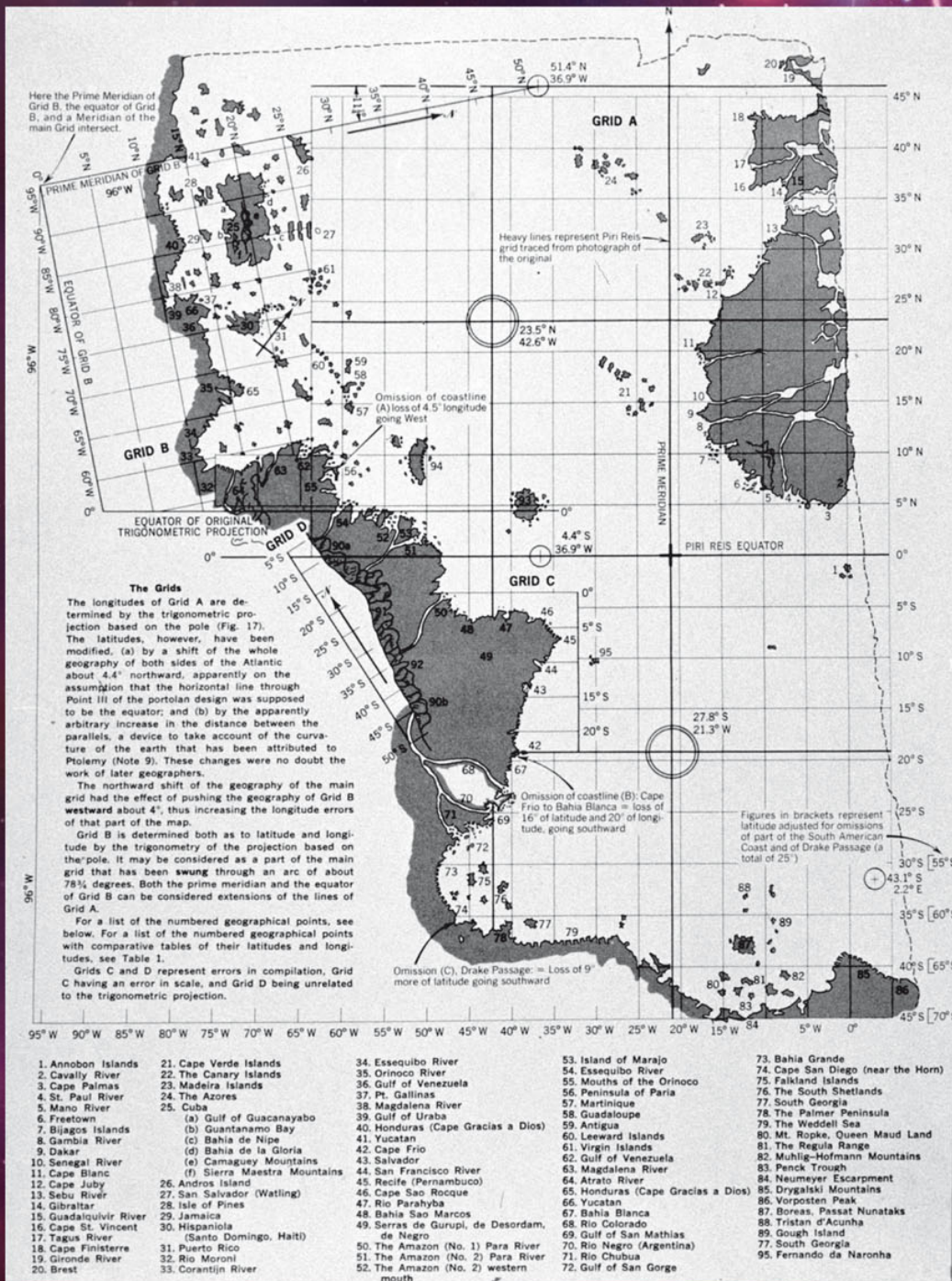
HAROLD Z. OHLMYER
Lt. Colonel, USAF
Commander

Na mapach tureckiego admirała Piriego Reisa widoczne są pasma górskie na Antarktydzie, które odkryto dopiero w XX wieku. Harold Z. Ohlmeyer tak o tym pisze w liście do profesora Charlesa Hapgooda: „Oznacza to, że linię brzegową (Antarktydy) przedstawiono na mapie, zanim została pokryta warstwą lodu”. Można więc wysunąć hipotezę, że nasi przodkowie dysponowali zdjęciami lotniczymi kuli ziemskiej. A może za pomocą echosondy potrafili przenikać przez grube pokłady lodowca? (Źródło: Charles Hapgood *Maps of the Ancient Sea Kings*, Chilton Books, Filadelfia/USA)



Oryginał mapy admirała Piriego Reisa musiał zostać sporządzony z bardzo dużej wysokości nad terytorium Egiptu. Tylko tak można wytłumaczyć, że obszary znajdujące się bezpośrednio poniżej zostały odwzorowane bardzo dokładnie, podczas gdy bardziej odległe lądy są zdeformowane, zgodnie z naturalną krzywizną kuli ziemskiej. (Źródło: Charles Hapgood *Maps of the Ancient Sea Kings*, Chilton Books, Filadelfia/USA)





Mapy admirała Piriego Reisa ukazują każdą, nawet najmniejszą wysepkę. Kartografowie Mallery i Walters skonstruowali siatkę kartograficzną i przenieśli stare mapy na współczesny globus. Co się okazało? Mapy, biorąc pod uwagę naturalną krzywiznę kuli ziemskiej, są perfekcyjnie dokładne. (Źródło: Charles Hapgood *Maps of the Ancient Sea Kings*, Chilton Books, Fladelfia/USA)





Czyżby uszkodzone wodociągi?
Wiele przemawia za tym, że nastąpiła tu powódź.



Tiahuanaco kryje jeszcze wiele nierozwiązanych zagadek. Za przykład niech posłuży niezwykle precyzyjna technika obróbki kamieni, jaką nasza cywilizacja zna dopiero od niedawna. Za pomocą jakich narzędzi osiągnięto ten efekt i wzniesiono monumenty? Z prawej strony u góry: tzw. wodociągi. A może są to kamienne osłony linii energetycznych?

Atmósfera de carbono: el camino hacia la energía limpia.

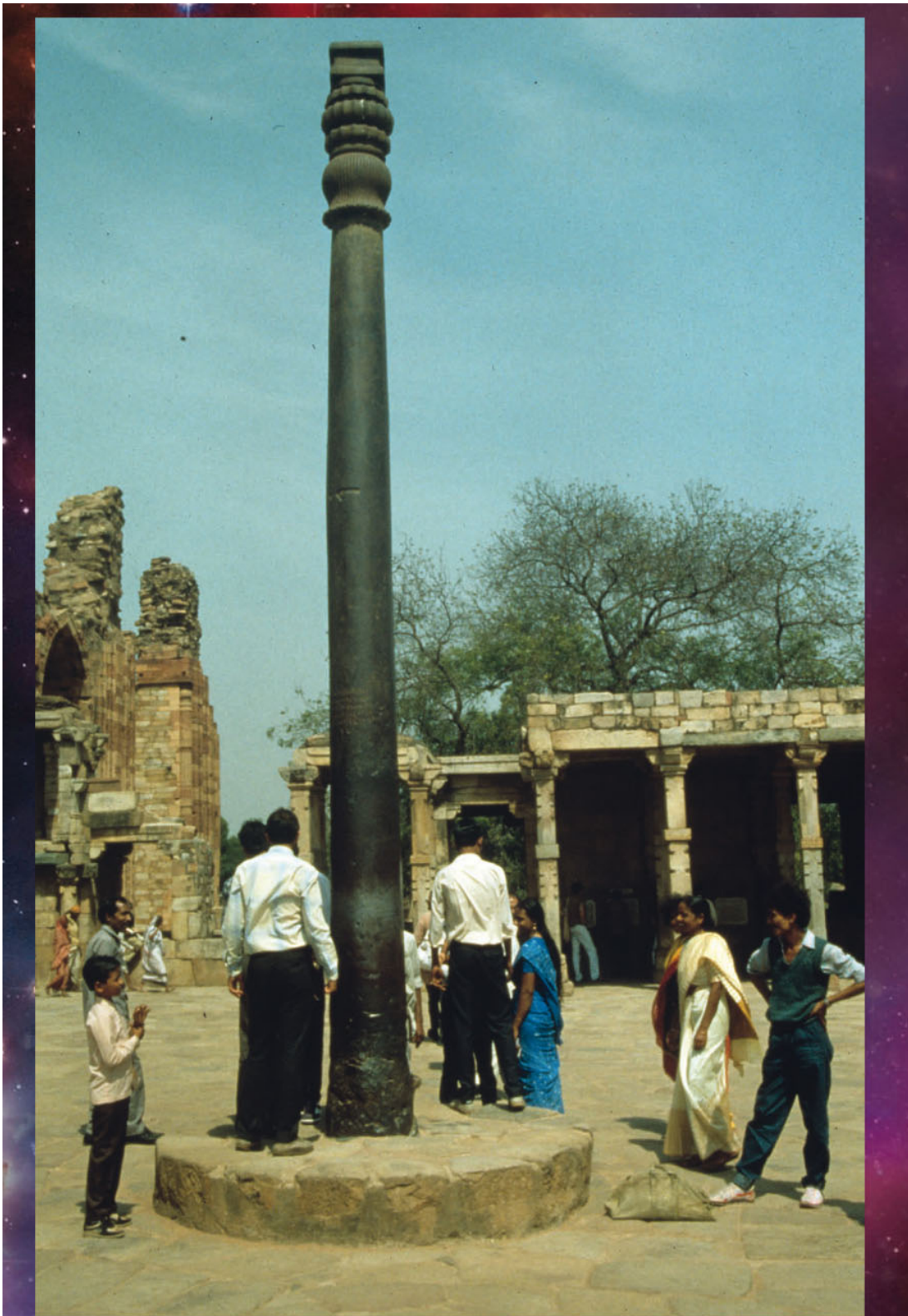


Monolityczna Brama Słońca w Tiahuanaco (Boliwia). Wyobrażenie uskrzydłonego bóstwa otacza w trzech rzędach 48 kwadratowych postaci. Jaką tajemnicę skrywa ten relief?

Na bezdrzewnej, położonej ponad 4000 metrów n.p.m. wyżynie boliwijskiej musiało kiedyś istnieć imponujące miasto. Do dziś nie wiadomo, jakimi nadzwyczajnymi środkami technicznymi dysponowali jego twórcy, by wznieść te monolityczne bloki.







„Żelazna kolumna” z Delhi. Od tysięcy lat jest odporna na wpływ pogody i nie wykazuje najmniejszego śladu rdzy. W tle widać pozostałości „wielkiej” (The Great Pillar) (The Great Pillar) (The Great Pillar).

go meczetu" Lal Kot. (Zdjęcie: Ullstein-Messerschmidt)



Uskrzydłona boska istota z reliefu znalezionego w pałacu w Chorsabadzie. Obecnie płaskorzeźba znajduje się w paryskim Luwrze. (Zdjęcie: Bildarchiv Marburg)





Tylko z lotu ptaka można ogarnąć wzrokiem i w pełni ocenić niezwykłość plątaniny tajemniczych linii i rysunków na płaskowyżu Nazca w Peru. Czy to prehistoryczne lądowisko „boskich” istot? Według niektórych archeologów był to system drogowy w państwie Inków. Ale cóż to za szlaki, które przebiegają równoległe, krzyżują się i raptownie kończą na równinie?







Pomiędzy liniami przypominającymi pasy startowe znajdują się słynne, wyżłobione w skalistym podłożu rysunki. To podobizny ptaków, pająków, małp i ludzi.

Wszystkie te szkice można rozpoznać jedynie z lotu ptaka. Z poziomu ziemi widać tylko poszczególne kreski.







Kamienne kolosy, podobne nieco do robotów, wpatrują się w przybyszy na Wyspie Wielkanocnej. Ich pochodzenie jest owiane tajemnicą.

Obecnie z ziemi wystają jedynie głowy olbrzymów. Ich ukryte w ziemi korpusy mogą mierzyć nawet 13 metrów.







Popularne wyjaśnienie, że olbrzymie posągi na Wyspie Wielkanocnej przetoczono na okrągłych drewnianych balach, jest mało wiarygodne, zważywszy na brak drzew w tej okolicy.

Transport i ociosanie olbrzymów – choć niezwykle żmudne – można było zapewne jakoś zorganizować. Całkowitą zagadką pozostaje jednak, kogo przedstawiają „kamienne roboty”.





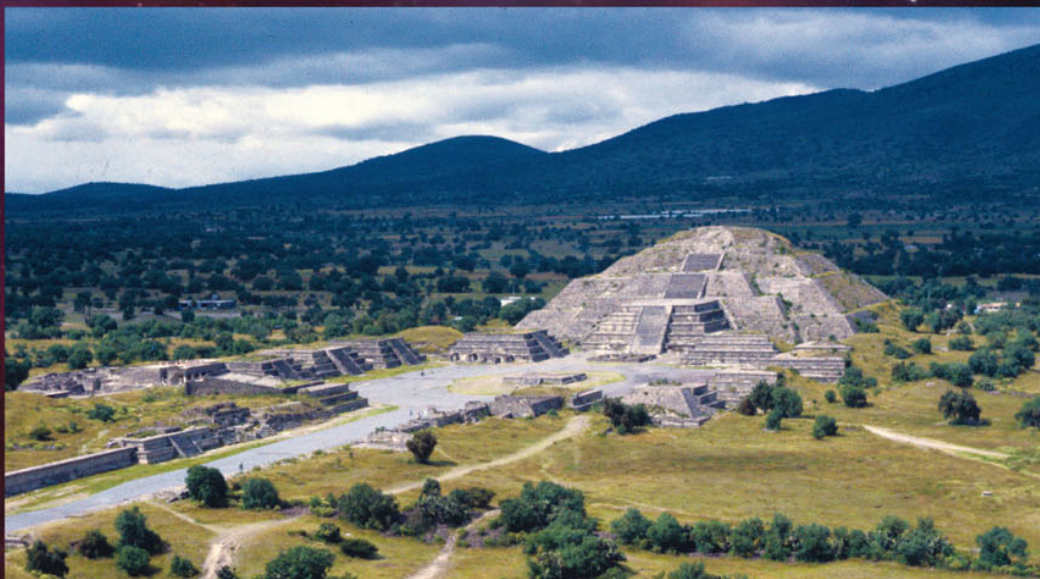


Obserwatorium w Chichén Itzá, zwane El Caracol – to monumentalne świadectwo astronomicznej wiedzy Majów. Potrafili obliczyć długość roku wenusjańskiego z dokładnością do czwartego miejsca po przecinku. Pojawia się pytanie, skąd mieli tę wiedzę?



Piramida schodkowa w Chichén Itzá. Każdy stopień budowli jest odpowiednikiem jednego dnia w kalendarzu. Co roku o wschodzie słońca 21 marca – jeszcze nawet obecnie! – święty pierzasty wąż Kukulkan ześlizguje się po schodach w stronę swych wyznawców.

Świątynia inskrypcji w meksykańskim Palenque. W środku odkryto strome schody prowadzące do tajemnej komnaty, położonej głęboko pod piramidą. Znajdował się w niej grobowiec władcy lub jakiejś znakomitości. Jego oblicze pokrywała zielona maska z jadeitu.







Na grobie leżała potężna, monolityczna płyta o wymiarach 380 na 220 centymetrów. Wryto na niej osobliwy relief.

Czy wszystko, co nasuwa skojarzenia z odwiedzinami istot pozaziemskich, jest tylko absurdalną fantazją? Obrazy mówią same za siebie. Oto widzimy pochyloną do przodu istotę w swoistej „kapsule”, która operuje drążkiem i przyciskiem.







Figury te nazywają się „dogu”. Wiele z nich znaleziono na japońskich wyspach. Postaci, odziane w ubiór przypominający skafander astronauty, wykonano najpóźniej około 600 roku p.n.e.

To jedna z ośmiu stel, znalezionych w XIX wieku w Gwatemali (obecnie znajduje się w berlińskim Muzeum Etnograficznym). Można na niej rozpoznać „zstępującego z niebios boga”, otoczonego jęzorami ognia. Ludzie składali mu ofiary”

Ladze skaidojuma „Onāry”



Wśród setek malowideł i rytów naskalnych, odkrytych przez Henriego Lhote'a na algierskiej Saharze (w górach Tasili), znajduje się „Kosmonauta” i 8-metrowy „wielki bóg marsjański”. Na zdjęciu jego fragment został podkreślony białymi liniami.



